

**ROGOZIŃSKI
SIEMBIEDA
ROZENBERG
SZCZYGIELSKI
JODEŁKA**

ZBRODNIA W OPERZE

**OSTASZEWSKI
GACEK
SKORUPSKI
GRZEGORZEWSKA
ONUFRWICZ**

**ROGOZIŃSKI
SIEMBIEDA
ROZENBERG
SZCZYGIELSKI
JODEŁKA**

ZBRODNIA W OPERZE

**OSTASZEWSKI
GACEK
SKORUPSKI
GRZEGORZEWSKA
ONUFRWICZ**

Copyright © by Katarzyna Gacek, Gaja Grzegorzewska, Joanna Jodelka, Janusz Onufrowicz, Robert Ostaszewski, Alek Rogoziński, Anna Rozenberg, Maciej Siembieda, Grzegorz Skorupski, Bartosz Szczygielski, 2023

Projekt okładki: Olga Böldok-Banasikowska

Redaktor prowadząca dział fiction: Małgorzata Hlal; mhlal@grupazpr.pl

Redaktor nadzorująca: Anna Sperling

Redakcja: Robert Ostaszewski

Korekta: Urszula Gac, Joanna Misztal

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Copyright © for the Polish edition by TIME SA, 2023

ISBN: 978-83-8343-090-4

Wydawca:

TIME SA, ul. Jubilerska 10, 04-190 Warszawa

facebook.com/hardewydawnictwo

instagram.com/hardewydawnictwo

tiktok.com/@harde.wydawnictwo

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

Spis treści

Alek Rogoziński. O mio babbino caro

Maciej Siembieda. Klucz

Anna Rozenberg. Testament sceny

Bartosz Szczygielski. Zjawia

Joanna Jodełka. Zabłąkana

Robert Ostaszewski. Zabójczy bal w operze

Katarzyna Gacek. Carmen

Grzegorz Skorupski. Bal maskowy

Gaja Grzegorzewska. Niebo pod naszymi stopami

Janusz Onufrowicz. Wysokie C (C trzykreślne)

ALEK ROGOZIŃSKI

O MIO BABBINO CARO

Zazdrość to podatek, jaki się płaci od sukcesu.

David Nicholls

Babbo, pietà, pietà..., dramatycznie zamierający sopran spinto pozostawił publiczność, zapelniającą do ostatniego miejsca widownię Opery Narodowej, w mistycznej wręcz ciszy. Dopiero po chwili rozległy się pierwsze nieśmiałe, pojedyncze oklaski, które w kilka sekund przerozdzily się w niekończącą się owację na stojąco.

Na twarzy Małgorzaty Wójcik pojawił się triumfalny uśmiech. Choć nie za bardzo pasował on akurat do tego momentu opery *Gianni Schicchi* Giacomina Pucciniego, w którym to córka tytułowego bohatera drży z trwogi o przyszłość swojego związku, to primadonna doskonale wiedziała, że nikt nie zwróci na tę niezręczność najmniejszej uwagi. Aria *O mio babbino caro* była jej wizytówką.

„Nawet sam Puccini oklaskiwałby mnie na stojąco, bo przecież napisał ją dokładnie pod mój głos”, oświadczyła kiedyś w jednym z wywiadów telewizyjnych. I choć wypowiedzi tej nijak nie dało się uznać za skromną, to nikt nie śmiał zaprzeczyć, że Wójcik miała solidne podstawy, aby ją wygłosić. W końcu twórca *Madame Butterfly* i *Toski* wiele razy podkreślał, że to właśnie sopran spinto, najrzadziej spotykany głos kobiecy, pozwalający idealnie interpretować na scenie zarówno liryczne, jak i dramatyczne partie wokalne, uważa za najszlachetniejszy i najpiękniejszy brzmiający spośród wszystkich, jakimi obdarzyła płeć piękną Matka Natura.

– Boszzzz, jak ja jej nienawidzę...

Konrad Małecki, piastujący w operze najbardziej odpowiedzialną funkcję, czyli inspicjenta, poprawił nerwowym gestem zsuwające mu się z nosa okulary, po czym odwrócił głowę w prawo i obrzucił zdziwionym spojrzeniem stojącą obok niego kobietę.

– Czemu?! – zapytał, szybko wracając wzrokiem do dzierżonego w ręku harmonogramu zmian scenografii.

W *Giannim Schicchim* było ich na szczęście tyle, co kot napłakał, podobnie jak innych punktów spektaklu, nad których koordynacją przyszło mu czuwać, mógł więc sobie pozwolić na małe rozproszenie uwagi. Tym bardziej że nie wypadało mu lekceważyć swojej towarzyszki. Bo choć w świecie opery stawiała ona dopiero pierwsze kroki, to i tak śmiało można ją było uznać za najbardziej znaną osobę znajdującą się obecnie w gmachu Teatru Wielkiego. Dwudziesto-pięcioletnia Marcelina Radecka była córką byłego prezydenta, a do tego internetową influencerką i szefową całkiem niezłe prosperującej agencji reklamowej. Słynęła też z odkrywania

w sobie co kilka miesięcy nowego talentu i przekuwania go w mniejszy lub większy sukces. Niestety, do wszystkiego miała też słomiany zapal i zaraz po osiągnięciu celu nudziła się dotychczasowym zajęciem i zaczynała szukać kolejnego. W ten sposób udało jej się wygrać najpierw show *Top Model*, następnie *Taniec z gwiazdami*, potem o mało co nie wywalczyła sobie przepustki na Konkurs Piosenki Eurowizji, zagrała główną rolę w filmie u jednego z najbardziej znanych polskich reżyserów, przyciągnęła tłumy do teatru, w którym przez całe trzy miesiące występowała w sztuce *Mistrz i Małgorzata*, a na koniec zatriumfowała w programie *Azja Express* u boku swojego ówczesnego ukochanego. Ten zresztą zaraz po ich sukcesie powiedział jej: „Żegnaj na zawsze”, bo – jak szczerze wyznał w jednym z wywiadów – nie mógł darować Marcelinie tego, że kiedy tuż przed metą skrzył nogę, jego narzeczona, zamiast się owym faktem przejąć, nazwała go „leniwym misiem koalą” i kazała mu podskakiwać do finiszu na drugiej, zdrowej kończynie, popędzając go przy tym tak miłymi słowami, jak „łamaga”, „nie-dojda” czy „safandula”.

Oczywiście od czasu do czasu pojawiały się głosy, że żadne z osiągnięć Marceliny nie byłoby możliwe, gdyby nie wpływy i niesłabnąca popularność jej ojca. Jednak nawet najbardziej zagorzali krytycy panny Radeckiej nie potrafili jej odmówić talentu, prezencji, inteligencji, a przede wszystkim piekielnej pracowitości. Obecna próba podbicia serc fanów opery była logiczną konsekwencją recenzji jej eurowizyjnego wstępu, której autor zauważył, że przykro, iż tak potężny głos marnuje się na jakieś dyskotekowe umpa-umpa, kiedy jego właścicielka równie dobrze mogłaby zachwycać melomanów w mediolańskiej La Scali czy londyńskim Royal Opera House. I choć napisał to tylko po to, aby podliznąć się byłemu prezydentowi, który po zakończeniu kadencji został szefem wielkiego koncernu medialnego, to jego myśl trafiła na podatny grunt. Marcelina na kilka miesięcy zamknęła się w domu z trenerami wokalnymi i po wielogodzinnych, żmudnych ćwiczeniach zaczęła się starać o rolę w jednym ze spektakli wystawianych przez Operę Narodową. I, jak łatwo było przewidzieć, zdobyła ją bez specjalnych problemów, bowiem władarze tego miejsca doskonale zdawali sobie sprawę, jak dużo darmowej promocji zyskają, zatrudniając prezydentównę, i to nawet do jakiejś niewielkiej roli. Nie przewidzieli jednak, że ambicje Marceliny będą o wiele większe niż skala jej głosu.

– Przecież ona się nie nadaje do roli Lauretty – warknęła wyraźnie wściekłym głosem Radecka. – Ile ona ma lat? Siedemdziesiąt? Osiemdziesiąt?! Żeby ją uwiarygodnić, to ten facet, który gra jej ojca, powinien mieć sto i nie wbiegać na scenę, tylko być wwożony na wózek inwalidzkim! Albo kuśtykać o laseczce.

– Żadnych wózków! – zaprotestował odruchowo, acz z lekkim roztargnieniem Konrad. – Z wózkami są zawsze problemy! Nie było cię tu jeszcze, kiedy reżyser Krzesiewski miał wizję opery *Manru*, w której część Romów miała jeździć na wózkach, a mój zmiennik zagapił się i zapomniał dopilnować, żeby scena obróciła się tylko o dziewięćdziesiąt, a nie sto osiemdziesiąt stopni, więc połowa obsady powpadała do orkiestronu. Potem jeden z recenzentów napisał, że widział już różne inscenizacje tej opery, ale ta ślapstikowa podobała mu się najbardziej. I że skoro jesteśmy tacy nowatorscy, to teraz czeka na *Madame Butterfly*, w której główna bohaterka zrobi striptiz, oraz *Czarodziejski flet* w wersji operowo-hiphopowej. A co do pani Małgorzaty, to jutro skończy pięćdziesiąt lat. Już dzisiaj zaczęły przychodzić pierwsze prezenty z tej okazji. Jeden chyba nawet od twojego ojca.

- Nie mówiłam?! Po prostu jest za stara! - Marcelina wzruszyła ramionami.

- Nie żartuj! - Konrad podniósł nieco głos. - Pani Małgorzata to piękna i atrakcyjna kobieta!

- Jasne - mruknęła Radecka. - Miss domu spokojnej starości...

- A poza tym widzisz w tej roli kogoś innego? - zapytał Konrad, uświadamiając sobie, że doskonale wie, co za chwilę usłyszy.

- Ta rola jest napisana dla znacznie młodszej osoby - wyjaśniła Radecka. - Ćwiczyłam partie Lauretty wiele razy z moimi nauczycielami i zdaniem wszystkich wypadalam w nich rewelacyjnie. Nie wiem, czemu reżyser upiera się obsadzać w tej roli jakieś stare próchno!

- Może dlatego, że ktoś, kogo nazywasz próchnem, od lat jest uznawany za najlepszą polską diwę operową? - podsunął Konrad, nie odrywając wzroku od rozpiski kolejnych działań scenicznych. - Chwila! - poprawił umieszczony przy ustach mikrofonik. - Garderobiana przoszona jest na scenę główną od strony Moliera. Błyskawiczna przebiórka Lauretty! Władziu, przygotuj drugi wózek od Wierzbowej, wjazd za półtorej minuty!

- A miało nie być wózków... - mruknęła Marcelina.

- Te są inne - wyjaśnił cierpliwie Małecki. - Sceniczne. Umożliwiają zmianę scenografii...

- Przecież wiem! - przerwała mu z irytacją Radecka. - Nie jestem tu pierwszy dzień!

Konrad wzruszył ramionami i darował sobie uwagę, że dla części występujących w tym miejscu śpiewaków skomplikowany system pozwalający zrealizować na scenie praktycznie każdy, nawet najbardziej niedorzeczny kaprys reżyserów nawet po wielu latach pracy pozostaje jedną wielką enigmą.

- Dałabym wszystko za to, żeby ktoś ją wreszcie odesłał na emeryturę - Marcelina wróciła do tematu, który ostatnimi czasy stał się jej obsesją.

- A co? - Konrad na chwilę znów zwrócił na nią wzrok. - Liczysz, że wskoczyłabyś na jej miejsce?

- Być może...

- Jassssssne...! - Małecki wydał z siebie niezbyt mile brzmiący w uszach jego towarzyszkii rechot. - Mierz siły na zamiary!

- Myślisz, że nie dałabym rady?! - w głosie Radeckiej było czuć złość.

- Myślę, że powinnaś się jeszcze sporo nauczyć - westchnął inspicjent, po czym znów poprawił mikrofonik. - Władziu, możesz ruszać z tym koksem! Marcela, naprawdę, bardzo cię przepraszam, ale nie mogę z tobą rozmawiać, bo w końcu coś tu zawalę...

- Jasne, jasne - mruknęła prezydentówna.

Przez chwilę powstała jeszcze przy Małeckim, obserwując z podziwem błyskawiczną zmianę dekoracji. Wymyślone w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, podczas powojennej odbudowy Opery Narodowej rozwiązania, wówczas uznawane za rewolucyjne i czyniące to miejsce technologicznym ewenementem na skalę całego świata, nadal działały bezbłędnie. I choć *Gianniego Schicchiego* można było spokojnie zaprezentować bez zmian scenografii, to reżyser zdecydował się na kilka eksperymentów. Niestety, wymiana głównej diwy nie była jednym z nich.

Marcelina westchnęła ciężko i niespiesznym krokiem udała się w kierunku garderób. Rzecz jasna, ta stara lampucera posiadała swoją własną, urządzoną w dodatku tak, jakby miała z niej korzystać jakaś królowa. Porcelanowe naczynia, meble *à la* Ludwik któryś tam, bo z nerwów Radecka nie umiała sobie nawet przypomnieć liczby przydzielonej do Króla Słońce, cholerny złoty szezlong, na którym Wójcik zrobiła sobie ostatnio zdjęcia dla magazynu „Viva!”, marmurowa toaletka, cenne obrazy na ścianach... Do kompletu brakowało jeszcze tylko gablotki na koronę, berła i złotego jabłka!

Czując, jak zaczyna ją ogarniać furia, Marcelina doszła do swojej lichawej i pozbawionej królewskich mebli garderoby, którą na dodatek była zmuszona dzielić z kilkoma innymi śpiewaczkami. Nie weszła jednak do niej, tylko ją minęła, kierując się w stronę pomieszczenia przygotowanego dla primadonny. Nacisnęła klamkę, otworzyła drzwi i powoli weszła do środka. Z nienawiścią przesunęła wzrokiem po toalecie, wieszaku z kreacjami i wielkim, kryształowym, zabytkowym lustrze w grubych, złotych, misternie rzeźbionych ramach. Po sekundzie dostrzegła obok owego wartego dziesiątki tysięcy złotych dzieła sztuki coś, czego poprzednio nigdy tu nie widziała. Podeszła bliżej...

Dwie minuty później, kiedy opuściła garderobę Małgorzaty, na jej twarzy gościł uśmiech, o którym jej znajomi powiedzieliby, że nie wróży niczego dobrego.

* * *

– Co my tu mamy? – komisarz Krzysztof Darski z trudem opanował ziewnięcie.

Jego stały współpracownik, podkomisarz Jerzy Grzelak, przyjrzał mu się z ciekawością.

– Wciąż dziecko? – upewnił się z lekkim uśmiechem.

– Yhm – Darski pokiwał głową. – Wciąż. Zwłaszcza w te dni. Wykończy mnie to jak nic.

– Nie grzesz! – Grzelak pokręcił głową z niesmakiem. – I korzystaj, póki możesz! Gdy już w końcu wam się uda, to zobaczysz, co będzie po porodzie. Seks tylko z okazji urodzin, rocznicy ślubu i od wielkiego dzwonu, na przykład na walentynki, ale też nie każde.

– Mówisz z doświadczenia – Darski zmrużył ironicznie oko – czy teoretycznie?

– Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałbym teoretyzować – westchnął ponuro podkomisarz. – Moja daje się jeszcze uprosić na miesięcznicę dnia naszego ślubu, ale już zaznaczyła, że być może zmienimy harmonogram na kwartalny. Nie udało mi się wywalczyć nawet Barbórki!

– Czemu Barbórki? – zdumiał się Darski, nieco zaskoczony tak oryginalnym wyborem święta.

– Bo przecież moja ma na imię Barbara – przypomniał Grzelak. – Myślałem, że dzień patronki może ją jakoś przekona, jednak nie...

– No dobrze – Darski, usiłujący zatrzeć wizję erotycznych figli swojego podwładnego i jego doskonale mu znanej małżonki ubranych jedynie w paradne czaka, wolał nie drażyć tematu częstotliwości jego i swoich wyczynów erotycznych. Tym bardziej że narzekanie na nadmiar seksu wydawało mu się dokładnie tym samym co kwękanie na to, że latem jest za gorąco, a zimą za zimno, czyli idiotycznym malkontentstwem. – Co mnie czeka w środku?

– Denatka nazywa się Małgorzata Wójcik – Grzelak zerknął w swoje notatki. – Śpiewaczka. Pracowała tutaj od dwudziestu dwóch lat. Jutro skończyłyby pięćdziesiątkę. Jakiś nieludzki ten morderca, że załatwił ją w przeddzień urodzin...

- Bo jakby załatwił ją dzień po, to byłby ludzki? - zdziwił się Darski z lekkim niesmakiem.

- Nie, nie o to chodzi - Grzelak machnął ręką. - Tylko... Sam zobaczysz. Cała garderoba tonie w kwiatkach i przesyłkach od wielbicieli. I w tym wszystkim, na samym środku, leży ona. Wszystko to wygląda jak scenografia filmowa, a nie rzeczywistość.

- Przyczyna zgonu?

- Uduszenie. Zdaniem Piotrusia morderca użył linki. Być może żeglarskiej, ale pewności co do tego nie ma.

- Narzędzia zbrodni pewnie też nie - domyślił się Darski.

- Oczywiście, że nie - potwierdził Grzelak. - Za to czas zgonu mamy określony zaskakująco dokładnie. Przedstawienie zakończyło się o dwudziestej drugiej. Wójcik wychodziła jeszcze do swoich wielbicieli, fotografowała się, odbierała jakieś prezenty. Normalnie nigdy tego nie robiła, ale ludzie przyszli złożyć jej życzenia urodzinowe, więc nie chciała im robić przykrości. Zdaniem świadków udała się do garderoby dopiero o dwudziestej drugiej trzydziści, z tolerancją pięć minut w tę, pięć minut we w tę. Co w sumie nie jest ważne, bo potem i tak garderobiana pomagała jej pozbyć się kostiumu. Wyszła od niej o dwudziestej trzeciej. Wójcik została, bo chciała jeszcze z kimś porozmawiać przez telefon. Trzy kwadranse później znaleźli ją ochroniarz. Przyszedł ją zapytać, kiedy opuści teatr, bo chciało mu się już trochę pokimać. To on zadzwonił pod sto dwanaście.

- Poczekaj, poczekaj - Darski podrapał się po głowie, przy okazji mierzwiąc trochę swoją bujną czuprynę. - Ile osób mogło tu być po dwudziestej trzeciej?! Chyba niezbyt wiele...

- Yhm - Grzelak pokiwiał głową. - Sześć.

Darski zmarszczył brwi.

- Chcesz mi powiedzieć, że prawie już mamy mordercę? - zapytał ze zdumieniem.

- Być może - westchnął podkomisarz. - Tym bardziej że dwie osoby z tej szóstki dają sobie wzajemnie alibi.

Doszli do garderoby primadonny, gdzie pracę kończyła właśnie ekipa pod wodzą doktora Piotra Kryńskiego, serdecznego przyjaciela komisarza Darskiego, a zarazem niedosłego męża jego nemezis, popularnej pisarki kryminalistów, Róży Krull. Po przekroczeniu progu tego pomieszczenia Darski musiał przyznać rację Grzelakowi. Faktycznie wewnątrz prezentowało się tak, jakby ktoś specjalnie je zaaranżował. Podłoga była usłana pojedynczymi kwiatami, a wokół leżącej na samym środku śpiewaczki ustawiono większe wiązanki i bukiety. Sama Wójcik wyglądała tak, jakby na chwilę dla relaksu położyła się na owym kwietnym dywanie i jako taka skojarzyła się komisarzowi ze Śpiącą Królową. Tyle że akurat w tym przypadku nie było co liczyć na księcia, który mógłby ją obudzić pocałunkiem.

- Jeśli się nad tym zastanawiasz - Piotr podszedł do Darskiego i uściśnął mu rękę w powitalnym geście - to odpowiedź brzmi: „Tak”. Zwłoki zostały przeniesione. Wszystko wskazuje na to, że morderca zaskoczył ją, kiedy siedziała przy toalecie. Usiłowała się bronić, czego dowodzą ślady na dłoniach. Jest nadzieja, że w trakcie walki podrapała go i znajdziemy pod jej paznokciami coś, co się przyda w śledztwie, ale to sprawdzę dopiero w trakcie autopsji. W każdym razie na pewno nie została uduszona na podłodze, bo ślad na szyi jest typowy dla mordercy stojącego za, a nie nad ofiarą. A, i jeszcze musiał być dość silny. Przynajmniej sporo silniejszy od niej.

- Dzięki... - Darski rozejrzał się uważnie po garderobie, a następnie podniósł wzrok i przez moment się zastanawiał, co właściwie ma przed oczami.

Piotr podążył za jego spojrzeniem.

- Trochę makabryczne, prawda? - rzekł, doskonale rozumiejąc zdziwienie przyjaciela, bo sam przeżył podobne, tylko że kilkadziesiąt minut wcześniej.

Duża część sufitu była niewidoczna za czarnymi balonami.

- Jeśli próbujesz je policzyć, to mogą cię wyręczyć - Piotr uśmiechnął się pod nosem. - Jest ich pięćdziesiąt. Dokładnie tyle, ile lat skończyłaby dzisiaj nieboszczka.

- I pojawiły się tu tuż przed jej śmiercią... - mruknął Grzelak.

- Jak to? - Darski przeniósł na niego nadal zdziwiony wzrok.

- Ano tak - podkomisarz wzruszył ramionami. - Ktoś umieścił jej tutaj w trakcie występu Wójcik na scenie. Nie wiadomo kto. Tak przynajmniej zeznała Zuzanna Andrzejczyk.

- Kto to?

- Garderobiana.

- Jakim cudem już ją przesłuchałeś? - Darski poczuł, że przybycie na miejsce z lekkim spóźnieniem sprawia, że potem człek jest wszystkim zaskoczony. - Przecież mówiłeś, że wyszła.

- Ale wróciła! - wyjaśnił Grzelak. - Opuściła operę o dwudziestej trzeciej, ale wróciła przed północą, bo przypomniała jej się, że zapomniała zabrać kostium, który miała zawieźć na przedstawienie do Łodzi.

- I ona tu jeszcze jest?

- Owszem - podkomisarz kiwnął głową. - Zatrzymałem do twojego przybycia całą piątkę, która była w teatrze po jedenastej. Szósty był ochroniarz, który jednak skończył już zmianę i zdążył pójść do domu. Tych pięcioro rozsadziłem w różnych miejscach, żeby nie mogli się porozumiewać.

- Coś o nich? Tak w telegraficznym skrócie.

Grzelak znów zerknął w swoje notatki.

- Alojzy Dudek. To ten ochroniarz, który odkrył zwłoki primadonny. Sam też zasługuje na to miano. Narobił takiego rabanu, że podobno słyhać go było w całym Teatrze Wielkim. Gdy przyjechaliśmy na miejsce i zobaczył lekarza, to próbował go nie dopuścić do nieboszczki i zająć sobą, bo twierdził, że jej już i tak nic nie pomoże, a on zaraz dostanie czegoś, od czego zejdzie jej do towarzystwa. Tylko nie mógł się zdecydować, czy zawału, czy udaru. Więc mu Piotruś coś zaordynował. Przeciwwzawałowego. Jak go znamy, to najpewniej witaminę C. Ale dzięki temu niezawodnemu środkowi facet odpuścił i dał nam pracować.

- Jakoś strasznie frywolnie dziś raportujesz... - zauważył Darski nieco karcącym tonem.

- Weź, jest prawie trzecia w nocy, nie wymagaj ode mnie za dużo - poprosił Grzelak, ponownie zerkając w swoje notatki. - W każdym razie na ryk Dudka przyleciała tutaj cała reszta. To znaczy Konrad Małecki, inspicjent, Jerzy Mogielnicki, reżyser, i, teraz trzymaj się mocno, Marcelina Radecka.

Darski zrobił wielkie oczy.

- Ta Marcelina Radecka? - upewnił się. - Skąd ona się tu wzięła?!

- Oj, widzę, że nie jesteś na bieżąco - mruknął Grzelak. - Ty? Taki spec od show-biznesu?! I celebrytów!

- Zejdź ze mnie - poprosił stanowczo komisarz, który miał po dziurki w nosie tego, że trafiają mu się wszystkie sprawy kryminalne, w które są zamieszani „znani i lubiani”. - Co córka prezydenta robiła o północy w Operze Narodowej?

- Ona tu występuje - poinformował go Grzelak. - A co robiła tak długo po spektaklu...? Hmm... Na mój nos, ale z góry zaznaczam, że nie mam na to żadnego dowodu, romansowała z reżyserem.

- Serio? - Darski popatrzył na niego z powątpiewaniem.

- W każdym razie to reżyser daje jej alibi. A właściwie dają je sobie nawzajem. Zgodnie zeznali, że byli zajęci rozmową o spektaklu i przyszłych planach. Rozmawiali mniej więcej od dwudziestej drugiej trzydzieści do czasu, aż usłyszeli krzyki ochroniarza.

- A inspicjent?

- Konrad Małecki - przypomniał Grzelak. - Moim zdaniem kręci co do tego, dlaczego siedział tutaj tak długo.

- A co mówi?

- Że jeden z pozostałych inspicjentów zachorował i musiał się przygotować, żeby przejąć jego robotę. Nie rozumiem tylko, dlaczego robił to tutaj, a nie w domu.

- To jeszcze nie przestępstwo - zauważył Darski. - Może w domu nie ma warunków.

- A co? Myślisz, że też starają się z narzeczoną o dziecko? - podsunął złośliwie podkomisarz.

- Jurek! - Darski spiorunował go wzrokiem.

- Dobra, dobra - mruknął Grzelak. - Już się tak nie unoś! W każdym razie jest w jego zachowaniu coś dziwnego. Choć zakładam, że o trzeciej w nocy może mi się tylko tak wydawać. Sam ocenisz. Jeśli chcesz z nimi porozmawiać, to przygotowałem ci jedną z garderób.

- Poczekaj, poczekaj... - poprosił Darski. - Wymieniłeś pięć osób. A szósta?

- Szósta to ochroniarz z poprzedniej zmiany. Piotr Sobieszczak. Mieli się wymienić z Dudkiem o dwudziestej drugiej, ale Alojzy miał stłuczkę, trzeba było wzywać policję i zrobili to dopiero po dwudziestej trzeciej.

Darski pokiwał głową, jeszcze raz zlustrował wzrokiem miejsce zbrodni, pokontemplował balony, po czym przeszedł do wskazanego przez podwładnego pomieszczenia. Jako pierwszy został tam zaproszony Alojzy Dudek, który w czasie ledwie dziesięciminutowej rozmowy zdążył ich poinformować, że po pierwsze, ta noc na pewno zaprowadzi go do gabinetu psychiatrycznego, a kto wie, czy nawet nie do szpitala dla obłąkanych, po drugie, że właśnie ma wylew, udar i migotanie przedsionków, w związku z czym teoretycznie należałoby wezwać do niego ambulans. Prosiłby jednak, żeby Darski tego nie robił, bo jak nic zawiozą go na SOR, gdzie wykańcza się ludzi taśmowo, tak jak jego znajomą, która pojechała tam z bólem łokcia i czekała na pomoc tak długo, aż wreszcie umarła. Po trzecie, zapewnił, że panią Wójcik bardzo lubił, bo zawsze pytała go o zdrowie i przynosiła mu znakomite leki na nadkwasotę, dnę moczanową, astmę, wysypkę, ból kręgosłupa i łysienie plackowate. I wreszcie po czwarte, podkreślił, że nie może nic powiedzieć o miejscu zbrodni, bo gdy tylko tam wszedł i zobaczył

zwłoki, to od razu zamknął oczy, żeby nie utrwać sobie tego widoku, żeby go nie prześladował w nocy, zwłaszcza że już i tak ma wieczne koszmary, bo na okrągło śni mu się poseł Kowalski w ludowym stroju łowickim, i to w dodatku damskim. Poza tym nie omieszkął podsumować, że dzień ten uważa za wyjątkowo pechowy, bo najpierw jakiś debil wjechał mu swoim autem w tył samochodu i uciekł, zanim ktokolwiek zdążył spisać jego numery, a teraz jeszcze ta tragedia, więc na pewno będzie musiał odreagować to wszystko pobyt w sanatorium, tylko innym niż to, w którym był ostatnio, bo nie chce drugi raz zjeść karalucha zaszerwanego najwyraźniej jako wkładka mięsna do żurku po staropolsku.

Od jego słowotoku, połączonego z łapaniem się za rozmaite bolące organy, od zawałowego serca począwszy, a na puchnącej kostce skończywszy, Darski sam poczuł się lekko chory i kiedy tylko ochroniarz opuścił jego tymczasowy gabinet, czym prędzej zażył ibuprom, który od lat traktował jak uniwersalny lek na każdą dolegliwość.

Jerzy Mogielnicki, niewysoki, szczupły, brodaty czterdziestolatek z bujną czupryną inspirowaną najwyraźniej koafiurą Alberta Einsteina za młodu, sprawił na Darskim wrażenie uczciwego i godnego zaufania. Potwierdził swoją poprzednią wersję wydarzeń. Od dwudziestej drugiej trzydziści spędzał czas w swoim gabinecie wraz z prezydentówną, która chciała go przekonać do tego, aby dał jej szansę na rolę w kolejnym, przygotowywanym dopiero przez niego do wystawienia spektaklu. Przy okazji rozmawiali też o *Giannim Schicchim* i o tym, czy media, kierowane przez ojca Radeckiej, nie mogłyby więcej miejsca poświęcać kulturze. Rozmawiali im się tak dobrze, że nawet nie zauważyli upływu czasu i dopiero krzyki dobiegające z oddali oderwały ich od konwersacji. Na pytanie, czy zmarła primadonna miała jakichś wrogów, Mogielnicki uśmiechnął się krzywo i stwierdził, że diwa bynajmniej nie była aniołem, ale wszyscy już się do tego przyzwyczaili i przechodzili do porządku dziennego nad jej kaprysmi i fochami.

- Wiadomo, że wszyscy wielcy artyści to przy okazji i oryginały, więc z czasem człowiek przestaje się tym przejmować. A Małgosia w swojej dziedzinie była prawdziwą geniuszką, więc sam pan rozumie... - rzekł z westchnieniem.

Pomny swoich przygód w świecie celebrytów Darski był skłonny podzielić jego opinię.

W przeciwieństwie do reżysera Konrad Małecki, zgodnie z tym, co zauważył podkomisarz, sprawiał wrażenie kogoś, kto stara się coś ukryć. Co kilkadziesiąt sekund nerwowo poprawiał okulary, pocił się i unikał wzroku Darskiego. Jednak jego tłumaczenia, dłaczego został dłużej w gmachu opery, wbrew temu, co twierdził Grzelak, brzmiały dość przekonująco. Miał mało czasu na przygotowanie się do kolejnego przedstawienia, bo jego zmiennik nagle zachorował. A właściwie nie zachorował, tylko uparł się udowodnić rodzinie, z którą przebywał na Mazurach, że mają nieopodal domku letniskowego znakomite moło, z którego można skakać na głowę do jeziora, i zrobił to tak przekonująco, że potem nie tylko trzeba było mu nastawiać kręgosłup, ale i przez kwadrans wyplątywać z jakichś glonów, na które, jak się okazało, miał uczulenie. Obecnie leży w szpitalu w kołnierzu ortopedycznym i na sterydach. Teoretycznie Konrad mógłby poznawać swoje zadania w domu, ale praktycznie tutaj wszystko miał na miejscu i gdyby cokolwiek mu się nie zgadzało, to mógł to od razu sprawdzić. Darski, który podzielał zdanie swojego podwładnego co do niepewności w zeznaniach inspicjenta, zahaczył go o jeszcze kilka dodatkowych kwestii. Małecki przeszedł gładko przez wszystkie pytania doty-

czące zmarłej śpiewaczki i dopiero przy tym – zadany przez komisarza na chybił trafił – o Marcelinę wyraźnie się zmieszal.

– No... Jakby to ująć... – rzekł niepewnie. – Nie da się ukryć, że nie za bardzo przepadała za panią Małgorzatą.

– Dlaczego? – komisarz popatrzył na niego uważnie.

Było widać, że Konrad waha się nad odpowiedzią.

– Uważała, że pani Małgorzata miała zbyt dużo lat jak na rolę, które grała – wydusił z siebie w końcu, poprawiając okulary – i że... – wyraźnie ugryzł się w język.

– Proszę, niech pan dokończy. I że...? – policjant posłał mu pytające spojrzenie.

– Że ona nadawałaby się do nich o wiele bardziej – przyznał niechętnie Małecki. – Rozmawialiśmy o tym nawet dzisiaj, w trakcie trwania spektaklu.

– Interesujące... – mruknął Darski.

– Ale to o niczym nie świadczy! – Konrad wyraźnie się sploszył. – Jestem pewny, że ona nie miała nic wspólnego z tym morderstwem!

– Pani Radecka ma alibi na czas zabójstwa – rzekł powoli Darski. – Cały czas spędziła w pokoju reżysera spektaklu. Była tam od dwudziestej drugiej trzydzieści do chwili, kiedy ochroniarz odkrył zwłoki.

– Naprawdę...? – Konrad zmarszczył brwi. – Bo wydawało mi... – urwał nagle.

– Co się panu wydawało? – popędził go Darski, nie mogąc się doczekać końca wypowiedzi.

Małecki wolno pokręcił głową.

– Nic – rzekł stanowczo, ponownie mocując na nosie zsuwające mu się okulary. – Pewnie się pomyliłem.

– Ale w czym? – nie odpuszczał komisarz.

– Przeszedłem za scenę, żeby zobaczyć, czy scenograf dobrze rozłożył rekwizyty, bo akurat w przypadku spektaklu, który mam teraz prowadzić, ma to duże znaczenie. I kiedy wracałem do siebie, to wydawało mi się, że widzę na korytarzu pana Jerzego...

– Która była wtedy godzina?

– Na pewno po dwudziestej trzeciej – Konrad na chwilę się zamyślił. – Od siebie wyszedłem dokładnie o pełnej godzinie. Wiem, bo włączył mi się alarm w telefonie. To przypomnienie, że powinienem zacząć ostatnią dzienną gimnastykę. Ćwiczę regularnie w domu ze względu na słaby kręgosłup.

– Rozumiem – Darski pokiwał głową. – Po jakim czasie pan wracał?

– Dojście do sceny zajęło mi ze dwie minuty, powrót tyle samo, tam mogłem spędzić nie więcej niż trzy, cztery, czyli w sumie siedem, osiem minut...

– I wydawało się panu, że widzi pan na korytarzu pana Jerzego... Tylko się wydawało, czy jest pan tego pewny?

– Oświetlenie tutaj, jak sam pan widzi, nie jest idealne, ale jestem prawie pewny. Tak na dziewięćdziesiąt procent.

– W korytarzu, to znaczy gdzie dokładnie?

– Między garderobą pana Walenckiego – widząc pytający wzrok Darskiego, szybko wyjaśnił: – Aktora, który gra główną rolę w *Giannim Schicchim*. Tak więc między jego garderobą a tą

należącą do pani Małgorzaty. Od razu wydało mi się to dziwne...

- Dlaczego? - przerwał Darski. - Nie ma chyba nic dziwnego, że reżyser odwiedza gwiazdę swojego spektaklu?

- Nie w tym przypadku - wyjaśnił inspicjent, starając się wyglądać na zmieszanego, choć komisarz był pewny, że jego rozmówca jest daleki od takiego uczucia. - Od kilku tygodni ze sobą nie rozmawiali.

- Czemu?

- Nie chciałem wyjść na plotkarza - zarzekł się Małecki - ale chodziły słuchy, że łączyło ich coś więcej niż tylko współpraca...

- Romans? - uściślił Darski.

Konrad pokiwał głową.

- Jednak od jakiegoś czasu, tak mniej więcej z półtora miesiąca, unikali się jak ognia. Pani Małgorzata pozwalała sobie publicznie na takie różne nie mile komentarze pod adresem pana Jerzego. Potrafiła nawet przy całym zespole zignorować jego uwagi dotyczące swojego występu. Nie było to eleganckie.

Słowa Małeckiego kilka minut później potwierdziła garderobiana. Zuzanna Andrzejczyk była prostą kobietą, nieprzebierającą w słowach i pod tym względem wzbudziła w Darskim skojarzenia z jego babcią, która słynęła z walenia prawdy między oczy z siłą udarowego młota pneumatycznego i nawet proboszczowi swojej parafii wygarnęła kiedyś, że „jak trzeci raz w tym roku kupił sobie nowe auto, to mógłby już przestać żebrać na mszach o datki na remont zakrystii”, bo się jej „flaki od tego przewracają”.

- No jasne, że ze sobą spali! - prychnęła w odpowiedzi na pytanie o stosunki łączące reżysera z primadonną. - A potem ona go pogoniła! Faceci szybko jej się nudzili. Oj, szybko. Ale wie pan komisarz, to była artystka! Takie francie to muszą mieć przemiał niczym kopalnia „Czatkowice”, bo inaczej zaczynają cierpieć. Czuje pan? Och, ach... - przyłożyła teatralnym gestem dłoń do skroni. - Nikt mnie nie kocha, nikt mnie nie chce, o ja nieboga! A tak naprawdę to była, panie, harpia. Wykorzystywała facetów i ich rzucała. Oni cierpieli po cichu, bo przecież chłopu nie wypada inaczej, a ona odgrywała teatr, jaka to jest pokrzywdzona.

- I tak było też z panem Mogielnickim?

- A jakże! Wzdychał do niej od wielu lat, więc wreszcie go jakoś upchnęła w kalendarzu. Ale na krótko. Był chłopina potem załamany. A ona? Ile to razy pokazywała mi telefon i wiadomości od niego. „Niech skamle, mój piesek”, śmiała się. Zawsze w takich momentach miałam ochotę wygarnąć jej, że może i jej kochankowie skamlą niczym pieski, ale to ona zachowuje się jak suka. W każdym tego słowa znaczeniu!

- Ale nigdy jej pani tego nie powiedziała?

- No co pan! - Zuzanna wzruszyła ramionami z politowaniem, wyraźnie całą siłą woli powstrzymując się od popukania się w czoło. - Przecież od razu by mnie wywalili! A ja lubię tę pracę. I większość ludzi, którzy tu pracują. Poza tymi... gwiazdami - w jej głosie pojawił się akcent pogardy. - Mówię panu, im kto wyżej zajdzie, tym mu bardziej sódówka uderza do głowy. Tak jak tej nowej... Prezydentównie!

- Pannie Radeckiej?

- No - Andrzejczyk pokiwała głową. - Ta to dopiero ma napiętrzone pod daszkiem! Ledwo co zaczęła tu pracować, a już by chciała, żeby ją obsadzali w głównych rolach. I żeby jeszcze toto coś umiało. Ale nie! Sadzi się, jakby była nie wiadomo kim, a przecież wszyscy wiedzą, że bez tatusia niczego by nie osiągnęła. Tkwiłaby za kasą w Żabce i tyle. Ale tatuś o wszystko zawsze zadba. Nawet tutaj. A to zaprosił całą dyrekcję na weekend do SPA, a to naszej diwie, która nie żyła za dobrze jego córunią, jakieś prezenty przysłał, a to zafundował malowanie ścian. Wie pan, jak to jest. Nazwisko i pieniądze zawsze robią swoje.

- Czyli pani Wójcik i pani Radecka też się nie lubiły? - wyłapał z jej paplaniny Darski.

- A skądże! - prychnęła Zuzanna. - Młodsza widziała się na scenie na miejscu starszej, a ta ostatnia uważała, że takie beztalencie powinno być wdzięczne, że w ogóle przebywa na jednej scenie wraz z nią.

- A kto pani zdaniem... mógł się posunąć aż do morderstwa?

Było widać, że Andrzejczyk początkowo chciała odpowiedzieć, ale w jednej sekundzie się pomiarkowała.

- Morderstwo to poważna sprawa - odpowiedziała powoli - i trzeba mieć do niego bardzo ważny powód. Nie wydaje mi się, żeby miał go Jureczek. W końcu gdyby przy każdym rozstaniu ktoś miał kogoś mordować, to niedługo zabrakłoby ludzi na Ziemi. Ta cała Marcelina też by chyba jednak nikomu krzywdy nie zrobiła.

- Pan Małecki? - podsunał Darski.

- Konradek? - garderobiana się roześmiała. - Może gdyby ktoś mu zgubił plan spektaklu, to popełniłby zbrodnię w szale. W tym no... Jak to się mówi? Takie krótkie słowo na „f”!

- W afekcie - podpowiedział komisarz.

- No właśnie! - Zuzanna obdarzyła go wdzięcznym spojrzeniem. - Wiedziałam, że na „f”! Konradek to miły i skrupulatny chłopiec. Bardzo dobrze wychowany. Wójcik zawsze miała do niego słabość. Traktowała go jak syna. Była bezdzietna, więc nie ma co się dziwić, że niektórym matkowała. Jemu wyjątkowo.

- A wasz ochroniarz?

- Ten wariat? - Andrzejczyk aż się wzdrygnęła. - Wiecznie na wszystko chory. No, ale to go niby nie czyni mordercą. Nie wiem. Nie potrafię znaleźć powodu, dla którego miałby ją zabić. Zawsze była dla niego miła. To już prędzej ten drugi.

- Drugi? - Darski zmarszczył czoło, przy okazji uświadamiając sobie, że zapomniał zapytać Dudka o jego zmiennika. Widać późna pora jemu też rzuciła się na rozum.

- Ten, który był dziś zmianę wcześniej - wyjaśniła garderobiana. - Nigdy wcześniej go tutaj nie widziałam, ale mówię panu, że źle mu z oczu patrzy! Mały, zarośnięty, jakiś taki pokurczony. Złamanego grosza bym za niego nie dała!

- Ostatnie pytanie. Balony... Podobno pojawiły się w czasie spektaklu.

Zuzanna przytaknęła.

- Kiedy przygotowywałam naszą gwiazdę do występu, na pewno ich tam nie było, a potem, kiedy pomagałam jej się rozebrać z kostiumu, wisały nam nad głowami. Zauważyła nawet, że widać ktoś chciał jej zrobić przykrość, dekorując garderobę na czarno, ale trafił kulą w płot, bo ona uwielbia ten kolor.

– Nie ma pani żadnych podejrzeń, skąd się tam wzięły?

Andrzejczyk pokręciła głową.

– Widać ktoś zrobił sobie głupi żart...

Jako ostatnia na fotelu przez Darskim usiadła prezydentówna.

– Nie, Konrad musiał się pomylić! – zapewniła kategorycznie, kiedy Darski powtórzył jej tę część zeznań Małeckiego, która dotyczyła Mogielnickiego. – Jerzy nie wychodził z pokoju, w którym rozmawialiśmy, ani na sekundę!

– Jest pani tego pewna?

– Absolutnie! Nie wiem, kogo on widział, ale na pewno nie jego.

– Pan Małecki wydawał się tego pewny.

– Ciekawe, jakim cudem, skoro jest ślepy jak kret – mruknęła Radecka.

– Słucham? – zdziwił się szczerze Darski.

– Och, nie zauważył pan? – Marcelina uśmiechnęła się ironicznie. – Gdy nosi okulary, to nie widzi nic, co znajduje się nawet kilka metrów od niego, a gdy je zdejmie, to z kolei ma problem z przeczytaniem tego, co ma przed nosem. Musiałby go pan zapytać, czy kiedy widział Jerzego, miał je na sobie, czy też nie. Poza tym nie ufałabym mu za bardzo...

– Dlaczego?

– To dziwak. Miał... To znaczy pewnie ciągle ma obsesję na punkcie tej całej Wójcik... – nazwisko primadonny Marcelina wypowiedziała tak, jakby było obelgą.

– Dlaczego pani tak uważa?

– Nadskakiwał jej, jakby był jej osobistym lokajem.

– Nie lubiłyście się?

– Nie było powodów, żebyśmy się miały lubić – Radecka wzruszyła ramionami. – Ona występowała tu od miliarda lat i wszyscy się przed nią płaszczyli, jakby była Bóg wie kim. A tak naprawdę już dawno powinno się ją przestać obsadzać w rolach nastolatek, bo na scenie wypadało to żenująco. I blokowało drogę do kariery innym. Być może nawet zdolniejszym od niej.

Darski darował sobie pytanie, kogo miała na myśli. Odpowiedź była oczywista. Na kolejne, o ewentualnych wrogów primadonny, Marcelina odpowiedziała kpiąco, że gdyby wziąć pod uwagę wszystkie osoby, które Wójcik potraktowała źle, to należałoby podejrzewać prawie wszystkich z grona dziewięciuset pracowników Opery Narodowej oraz pewnie z pół Polski. Komisarz poczuł się nieco zniesmaczony prezentowanym przez Radecką radosnym nastrojem i czym prędzej zakończył z nią rozmowę, a sam udał się do pokoju ochrony. Alojzy siedział w fotelu z boleściwą miną, lekko postępując i przykładając sobie do czoła jakiś wściekle zielony ręcznik. Dokoła roztrząsał się zapach melisy mający swoje źródło w stojącym przed Dudkiem kubku.

– A, owszem, był tu mój poprzednik – stwierdził ochroniarz, rozmasowując sobie wolną ręką kolano. – Artretyzm mi włązi coraz częściej. Pewnie już niebawem nie będę mógł normalnie chodzić.

– O której dokładnie pan przyjechał? – zapytał Darski, z miejsca czując, że i jego coś kłuje w kolanie, i przez chwilę zastanawiając się, czy artretyzm może być zaraźliwy.

– Jakoś kwadrans po jedenastej – odpowiedział Alojzy, wydając z siebie przy okazji stęknienie. – Od razu powinienem był zrobić obchód, tym bardziej że nie znałem swojego poprzednika i nie wiedziałem, czy można mu ufać. Ale byłem tak rozbity po tym wypadku, że musiałem przez chwilę odsapnąć.

– Jak to nie znał pan swojego poprzednika?

– No, pracował tu ledwie kilka dni i tak jakoś wyszło, że jeszcze nie mieliśmy okazji się zapoznać – wyjaśnił Dudek. – Dziwny facet...

– To znaczy? – komisarz postanowił podrażnić temat.

– Mrukliwy, nieprzyjemny – westchnął Alojzy. – W ogóle nie chciał słuchać o moim wypadku, tylko powiedział, że wszystko jest w porządku, szybko się pożegnał i sobie poszedł, jakby go ktoś gonił.

– Mógłby go pan opisać? – poprosił Darski.

– Taki niewielki, z brodą i takimi zmierzwionymi włosami. Całkiem jak pan Mogielnicki. Można by ich było pomylić...

I dokładnie w tym momencie za plecami Alojzego, a konkretnie za stojącym za jego krzesłem biurkiem, rozległ się cichy, stłumiony jęk. Kiedy po chwili się powtórzył, już nieco głośniejszy, Darski zrobił kilka kroków, wychylił się znad biurka i z niedowierzaniem dostrzegł leżącego tam z zamkniętymi oczami młodego, krótko ostrzyżonego blondyna, trzymającego się za głowę i wciąż wydającego z siebie ciche pojękiwania.

– Kim pan jest? – zapytał komisarz. – Co pan tu robi?

Młodzieniec otworzył oczy i popatrzył na Darskiego półprzytomnie.

– Nazywam się Piotr Sobieszczak – wyszeptał z wyraźnym trudem – i jestem tutaj ochroniarzem.

* * *

Siedzący w swoim gabinecie w Komendzie Głównej Darski po raz nie wiadomo który wpatrywał się w niezbyt wyraźny film z kamery monitorującej wejście do Opery Narodowej, a dokładnie w ten jego fragment, na którym dwóch mężczyzn, mających na głowach czapeczki z daszkami, skutecznie utrudniające identyfikację ich twarzy, wnosi do gmachu duże pudło. Komisarz wiedział już, że zostało ono, zresztą pod zyczelwym okiem mającego wówczas dyżur Piotra Sobieszczaka, wniesione do garderoby Małgorzaty Wójcik. I choć nikt nie skontrolował zawartości owej przesyłki, to Darski miał pewność, że w środku znajdowały się nie tylko czarne balony, lecz także ktoś, kto pozbawił życia primadonnę, a potem zaprawił czymś ciężkim w głowę ochroniarza, udał, że sam nim jest, a następnie spokojnie opuścił budynek. Kamera uchwyciła nawet ten ostatni moment, tyle że i to nagranie nic Darskiemu nie dawało, bo pokazywało kogoś, kto po zdjęciu peruki i sztucznej brody mógł być nawet kobietą. Jedyne ziarnko nadziei dawało zleczone przez niego badanie balonów, ale i to skończyło się kłeską, bo nadmuchano je mechanicznie.

– Myślisz, że kiedykolwiek to wyjaśnimy? – zapytał cicho Grzelak.

– Nie wiem... – Darski nie lubił oszukiwać swoich podwładnych ani też łudzić samego siebie. – Szczerze mówiąc, nie sądzę.

Marcelina weszła do gabinetu ojca i nie pierwszy raz z lekkim niesmakiem zlustrowała wnętrze tego pomieszczenia. Choć Michał Radecki często był nazywany przez media wizjonerem i człowiekiem, który idzie za pan brat z nowoczesnością, to akurat miejsce, które urządził sobie do pracy, świadczyło o czymś odwrotnym. Prezentowało się niczym osiemnastowieczne muzeum. Drewniane meble, koszmarny, zdaniem Marceliny, dywan tkany w jakieś średnio-wieczne esy-floresy, przeszklone regały wypełnione starymi księgami. *Jak w Hogwarcie*, pomyślała, ale kolejny raz zachowała te spostrzeżenie dla siebie, uroczo uśmiechając się do wstającego właśnie z fotela byłego prezydenta.

– Cóż to sprawiło, że przyjechałaś z wizytą do swojego staruszka? – zapytał Michał, podchodząc do niej i tuląc ją na powitanie.

– Już ty mnie nie zbijaj z tropu tym staruszkiem – zaśmiała się Marcelina.

Faktycznie, nawet mając pięćdziesiąt pięć lat, były prezydent mógł być uznawany za wyjątkowo atrakcyjnego. Dbający o sylwetkę, uczęszczający regularnie na siłownię i basen, odwiedzający często salony SPA, zawsze bezbłędnie ubrany Radecki bez przerwy trafiał do rankingów najbardziej seksownych polskich „znanych i lubianych”. A że w kategorii „stary, ale jary”, to już inna sprawa.

– Cóż więc cię sprowadza w gościnne progi domu, który niegdyś był twoim rodzinnym? – zapytał inaczej Michał, wracając na swój fotel, podczas gdy Marcelina zajęła identyczny, znajdujący się po drugiej stronie biurka. – I czemu mnie nie uprzedziłaś? Poleniuchowalibyśmy w ogrodzie, a tak to mamy ledwie kilka minut, zanim przyjedzie delegacja z Japonii i zmusi mnie do jedzenia jakichś białych robali i innych oślizgłych morskich paskudztw, które musiałem z okazji ich wizyty zamówić. Czy ci Azjaci nie mogliby wreszcie docenić schabowego z buraczkami? Czemu to zawsze musi smakować jak smarki z nosa?

– Naprawdę próbowałaś smarków? – Marcelina nie była w stanie ukryć zniesmaczenia.

– A znasz dziecko, które by przynajmniej raz nie spróbowało? – zdziwił się szczerze jej ojciec.

– Owszem, znam. Siebie.

– Zawsze byłaś oryginalnym dzieckiem.

– A ty bardzo oryginalnym ojcem.

– Dziękuję – Radecki kiwnął głową – o ile, rzecz jasna, to miał być komplement. A więc... Czemuż zawdzięczam zaszczyt goszczenia cię tutaj? – wrócił do nurtującego go zagadnienia.

– Chciałam ci podziękować.

– Mnie? – zdziwił się Michał. – Za co?

– Za usunięcie przeszkody, która stała mi na drodze do tego, aby dostać główną rolę w *Gianim Schicchim* – wypowiadając te słowa, Marcelina patrzyła mu prosto w oczy. I jeśli jeszcze przed wejściem do jego gabinetu miała pewne wątpliwości dotyczące tego, kto stał za wydarzeniami rozgrywającymi się tydzień wcześniej w operze, to teraz pozbyła się ich całkowicie. Ojciec mógł omamić kilkadziesiąt milionów swoich rodaków, ufających, że jest prawym i szlachetnym człowiekiem, ale przed nią nie umiał niczego ukryć. I nigdy nawet nie próbował tego zrobić.

- A, proszę bardzo - rzekł powoli. - Jesteś zadowolona?

- Musiałaś się jej pozbyć w taki sposób? - westchnęła. - Nie mogłeś potrząsnąć sakiewką? To zawsze dawało dobre rezultaty.

- Myślisz, że nie próbowałem? - Michał wzruszył ramionami. - Ale w jej przypadku to była przegrana sprawa. Nigdy by na to nie poszła, a przecież wiedziałem, jak ci na tym zależy.

- Powiedz mi jeszcze, po co były te balony.

- Na wypadek, gdyby komuś wpadło do głowy, żeby otworzyć pudło i zobaczyć, co jest w środku. A jakim cudem ty się domyśliłaś, jeśli można spytać?

- Byłam w jej garderobie. To pudło mnie zaciekało. Otworzyłam je i balony same zaczęły wylatywać. To był swoją drogą głupi pomysł. Gdy wyleciało kilka, odsłonił się twój prawdziwy prezent.

- Cud, że nie oberwałaś...

- O mały włos! Ale kiedy tylko ów ktoś w środku zobaczył, kogo ma przed sobą, od razu spasował. I dokładnie w tym samym momencie uświadomiłam sobie dlaczego.

- I nie próbowałaś go powstrzymać? - ojciec posłał jej ironiczne spojrzenie. - Uratować swojej starszej koleżanki?

- Żartujesz? - Marcelina wzruszyła ramionami. - Sama dumałam nad tym, jak się pozbyć tej wiedzy. Poza tym nie zapominajmy, czyją jestem córką. Mam twoje geny.

Pukanie do drzwi dało znać, że delegacja japońskiego koncernu prasowego właśnie dotarła na miejsce i Radecki powinien ją przywitać.

- Moje geny... - były prezydent wstał z fotela

- Yhm - przytaknęła Marcelina z uśmiechem. - Psychopatycznej przestępczyni. Leć, nie daj im czekać, a ja zostawię ci na biurku zaproszenie na nową premierę *Gianniego Schicchiego* ze mną w roli głównej. No już, sio! I pamiętaj, że cię kocham, staruszk.

* * *

Babbo, pietà, pietà..., sopran Marceliny, wpatrującej się ze sceny, zamiast w aktora grającego Gianniego Schicchiego, prosto w twarz siedzącego w pierwszym rzędzie ojca, na moment pozostawił publiczność Opery Narodowej w ciszy. Jednak po chwili rozległy się głośnie brawa. Michał Radecki poderwał się z fotela jako pierwszy, a za jego przykładem poszła też grzecznie reszta widowni.

Moja kochana dziewczynka, pomyślał były prezydent. Zrobiłbym dla niej wszystko. Zawsze.

MACIEJ SIEMBIEDA

KLUCZ

Jarzeniówka pod sufitem wydała dźwięk ostrzegający, że pracuje resztkami sił i powinna ją zastąpić młodsza. Parę razy błysnęła tak ostro, że trzeba było zmrużyć oczy, i zaczęła buceć. Mimo to zmobilizowała się, być może po raz ostatni, aby rozruszać zawartą w sobie rtęć, wykrzesać promieniowanie UV, a potem we współpracy z białą substancją pokrywającą ścianki szklanej rurki podarować ludziom światło.

Jego blask przez moment rozświetlił zielone oczy dziewczyny leżącej na wznak pod jarzeniówką, jakby była w solarium, które zdążyło już dotrzeć z Zachodu i robiło w Warszawie furorę.

Była naga.

Jej ciało o idealnych proporcjach mogłoby być inspiracją dla malarzy i fotografików poszukujących tajemnicy piękna. Miała zgrabne, długie nogi zwieńczone łagodnie sklepionym wzgórkiem łonowym z równobocznym trójkątem czarnych, gęstych włosów. Trójkąt podkreślał perfekcyjną talię, połączoną z płaskowyzem brzucha u stóp wzgórz pełnych, jędrnych piersi. Równie nieskazitelne były obojczyki, ramiona i szyja, ale wszystko to bladło wobec twarzy. Regularnych rysów podbródka, nosa, brwi i zmysłowych ust. I oczu. Dużych, zielonych oczu, które z przerażenia stały się jeszcze większe. Teraz miały barwę malachitu, podkreśloną przez oliwkową karnację skóry i granatowy cień, jaki pozostał na czaszce po starannym ogoleniu włosów.

Nawet z ogoloną głową i w sztucznym świetle jarzeniówki dziewczyna była piękna.

Tak piękna, że mężczyzna, który się nad nią pochylił, przez dłuższą chwilę stał jak zahipnotyzowany i po raz pierwszy w życiu się zawahał, zanim wbił w jej ciało ciężki, ostry nóż, niszcząc dzieło sztuki, które i tak nie miało najmniejszych szans na przetrwanie.

Wtorek

Andrzej Florczak, niewysoki brunet po czterdziestce, tuż po wschodzie słońca wsiadł do windy na dziewiątym piętrze wieżowca na warszawskim Targówku, ale rzut oka na przyciski z numerami pięter sprawił, że Florczak popsuł poranek bardzo ordynarnym słowem.

Wszystkie przyciski świeciły, jakby jakiś szalony pasażer zapragnął nagle odwiedzić każdą kondygnację po kolei. Na dodatek część z guzików torturowano zapalniczką, co sprawiło, że się stopiły i straciły sens. Zapach spalonego plastiku jeszcze unosił się w kabinie windy, sugie-

rując, że dzieła zniszczenia dokonano całkiem niedawno, najpewniej w nocy. Florczak rozmarzył się przez chwilę, wyobrażając sobie, że łapie wandala na gorącym uczynku, ale fantazjowanie przeszło mu podczas wędrówki po schodach, które musiał pokonać objuczony sprzętem wędkarskim.

Na plac przed blokiem wyszedł za pięć szósta.

Kiwnął głową dwóm sąsiadom, którzy kończyli dyżur przed śmietnikiem w ramach formacji SOM, czyli Sąsiedzkiej Ochrony Maluchów. Lokatorzy wprowadzili ją przed kilkoma tygodniami, bo wcześniej nie było nocy, żeby z kilkudziesięciu małych fiatów 126p parkujących przed blokiem przynajmniej dwa nie stały rano na ceglach. Złodzieje kradli koła maluchów na potęgę.

Florczak też jeździł fiacikiem w unikalnym, fioletowym kolorze, ale nie należał do straży obywatelskiej. Jego auto było nietykalne i wiedziała o tym cała targówecka żulia. Mógł zostawić je na noc otwarte i nawet nie wyjmować radia.

Zdawał sobie sprawę, że sąsiedzi patrzą na niego spode łba, a po osiedlu krąży dowcip: „Wiesz, dlaczego ten z dziewiątego piętra ma fioletowego malucha? Bo mu żona przycięła drzwiami od sypialni”, ale nic sobie z tego nie robił. Ludzie muszą jakoś dać upust emocji z powodu tego, co im nie pasuje. Tak naprawdę byli nieszkodliwi. Florczak od lat żył w bardzo brutalnym świecie i wiedział doskonale, że obrabianiem tyłka i drwinami nikt nikomu jeszcze zębów nie wybił.

Kończył układanie teleskopowych wędek, torby i podbieraka na tylnym siedzeniu małego fiata, gdy usłyszał gwizd, jakiego nie powstydziliby się żaden cwaniak z Targówka. Wysunął tułów z auta, wyprostował się, podniósł głowę i, osłaniając oczy dłonią od słońca wschodzącego nad Rembertowem, spojrzął na dziewiąte piętro. W otwartym oknie stała żona, w samej nocnej koszuli, i właśnie przykładała palce do ust, aby zagwizdać ponownie, ale złapała z mężem kontakt wzrokowy. Ostentacyjnie potrząsnęła trzymaną w dłoni słuchawką aparatu telefonicznego na długim, spiralnym kablu.

Niech to szlag – pomyślał Florczak. Że też nie mogła powiedzieć, że już wyjechałem na ryby. Ale nie. Za uczciwa jest. I nie przepuści żadnej okazji, aby udowodnić swoją tezę, że dla niego liczą się tylko te telefony i robota, a dom oraz rodzina bynajmniej nie.

Wspinał się po dwa stopnie, przeklinając windę i tego, kto ją uszkodził. Ponownie zapragnął dostać go w swoje ręce, ale tym razem jego fantazja już ociekała krwią.

Wpadł do mieszkania dziesięć po szóstej, zdyszany. Oparł się o framugę, aby chwilę odsapnąć. Ściągnął czapkę z odznaką Polskiego Związku Wędkarskiego i odgarnął włosy, które nigdy nie układały się tak, jakby sobie życzył. Wytarł czoło rękawem koszuli i podszedł do aparatu telefonicznego stojącego w pokoju córki, która była jeszcze na wakacjach. Zerknął niechętnie na zamknięte drzwi sypialni, ale nie było potrzeby wchodzić tam i pytać żony, kto dzwonił. I tak wiedział. Gdyby to był ktokolwiek inny, z pewnością nie urządziłaby teatru w oknie.

Wybrał numer i odczekał kilka sygnałów z naiwną nadzieją, że może nie odbiorą.

– Oficer dyżurny Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych – usłyszał po upływie co najmniej dwudziestu sekund.

– Tu kapitan Florczak.

– Kolombo? – upewnił się dyżurny.

– Nie – warknął. – Kodzak. Po jakiego... – darował sobie rzeczownik – dzwonicz skoro świt, i to w dniu, w którym nareszcie mam wolne?

– Bo jest trup, Kolombo – powiedział beznamiętnie głos po drugiej stronie linii. – I to nie byle jaki.

– Dlaczego nie byle jaki?

– Bo w operze.

To rzeczywiście brzmiało osobliwie. Zwykle trupy znajdowano nad Wisłą, w spelunkach albo mieszkaniach. Ale w operze?

– Mów – rzucił do słuchawki.

– Kobieta. Lat około dwudziestu pięciu. Brunetka, sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, średniej budowy ciała. Ubrana w białą bluzkę...

– Ona zginęła czy zaginęła? – przerwał Florczak zirytowany.

Dyżurny zamilkł na kilka sekund.

– No przecież mówię ci, że trup. Zginęła, znaczy się.

– To po jaką cholere podajesz mi jej rysopis?

– No... – zastanowił się głos. – Myślałem...

– Kiedy została znaleziona?

– Pół godziny temu.

– Kto już jest na miejscu?

– Krawężniki zabezpieczający teren, technicy oraz twój z kryminalnego. Jedzie również zastępca komendanta.

– Zastępca? A ten po co?

– Pojęcia nie mam. Może lubi operę? Chłopaki z drogowki widzieli go raz na mieście w smokingu. Dasz wiarę?

Florczak nie odpowiedział.

– I jeszcze coś – dorzucił dyżurny. – To zastępca kazał ściągnąć cię z wolnego.

Kapitan westchnął. Pomyślał o Zalewie Zegrzyńskim i cudem zdobytej kolbie kukurydzy, na którą karpie brały jak oszalałe.

– Jadę – uznał. – Wrzucił na radio, że będę za pół godziny.

– Nie żartuj – stwierdził dyżurny. – Chcesz tak szybko dojechać z Targówka na plac Teatralny tym swoim fioletowym kaszlakiem? Wysłałem po ciebie radiowóz. Powinien już czekać przed domem.

Wtorek, nieco później

Florczak odpowiedział machnięciem ręki salutującym mu milicjantom i obrzucił wzrokiem hol opery. Na kontuarach szatni technicy kryminalni rozkładali walizki ze swoim sprzętem, a wokół kręciło się kilku asów z sekcji zabójstw. O wielu za dużo jak na zwykłą zbrodnię.

Zignorował ich i podszedł do szyby z napisem „Kasa biletowa”. Poranne słońce nie zdążyło jeszcze rozgościć się w foyer, dlatego w pomieszczeniu kasowym panował półmrok jak na obrazach holenderskich mistrzów.

W skąpym świetle dostrzegł czarnowłosą dziewczynę siedzącą na krześle z rękami opuszczonymi wzdłuż tułowia. Miała na sobie pomiętą białą bluzkę noszącą wyraźne ślady szamotaniny i patrzyła w sufit szeroko otwartymi oczami. Bez wątplenia była martwa i z pewnością nie umarła śmiercią naturalną. Florczak widział w życiu zbyt wiele ofiar morderstw, aby stwierdzać takie rzeczy bez konieczności oględzin.

– Dzień dobry, kapitanie – z zamyślenia wyrwał go głos zastępcy komendanta.

Odwrócił się i wyprostował.

– Obywatelu pułkowniku – zaczął regulaminowo, ale przełożony powstrzymał służbowy meldunek gestem dłoni. Był wyraźnie zatroskany.

– Co o tym myślicie? – zapytał.

– Za wcześniej na wnioski – zaczął ostrożnie Florczak, dostrzegając szefa techników, który podszedł w towarzystwie starszego, wystraszonego mężczyzny.

– Dzień dobry, pułkowniku – przywitał się. – Cześć, Kolombo.

– Kolombo? – zastępca komendanta uniósł brwi. Najwyraźniej był jedynym milicjantem w pałacu Mostowskich, który nie znał ksywki Florczaka.

– No tak – potwierdził szef techników.

Pułkownik obrzucił kapitana badawczym spojrzeniem. Niesforne, ciemne włosy i jasny, wysłużony płaszcz rzeczywiście nasuwały skojarzenia z gliniarzem z amerykańskiego serialu. Otwierał usta, żeby to skomentować, ale szef techników wypchnął przed siebie starszego człowieka, z którym podszedł.

– Nocny portier – poinformował tonem przewodnika oprowadzającego po muzeum. – To on znalazł zwłoki.

Wszyscy jak na komendę spojrzeli przez szybę pomieszczenia kasowego.

– Wchodziliście tam? – spytał Florczak.

– Nie, panie władzo – odparł portier. – Zresztą drzwi zamknięte.

– Skąd pan wie? Dotykał pan klamki?

– Nie dotykałem, przysięgam Matce Najświętszej. Ale Bożenka zawsze zamykała się od wewnątrz, zostawiając klucz w zamku, żeby nikt nie mógł otworzyć drzwi nawet zapasowym albo dorobionym. Mówiła, że strzeżonego Pan Bóg strzeże i że tak będzie lepiej. Dla pieniędzy, co je tam trzymała. No i dla niej.

– Niewiele jej to pomogło – rzucił szef techników i spojrzął na Florczaka, który dosłownie przykleił nos do szyby i oświetlił pomieszczenie latarką wyjętą z kieszeni płaszcza.

– W drzwiach nie ma klucza – stwierdził.

– Może tym razem gdzieś go odłożyła? – odpowiedział zastępca komendanta, ale portier pokręcił głową:

– Eeee, to nie Bożenka. Ona była dokładna jak szwajcarski zegarek. Zawsze zostawiała klucz w zamku.

Zapadła chwila milczenia.

– Zastanawiam się – zastępca komendanta najwyraźniej chciał się wykazać talentem detektywistycznym – jak sprawca wszedł do pomieszczenia, skoro było ono zamknięte?

Popatrzył pytająco na Florczaka, a ten podszedł do drzwi od strony holu, ukrył dłoń w rękawie prochowca, żeby nie zostawić odcisków, i z wyczuciem nacisnął klamkę. Nie ustąpiła.

– Jak wszedł, to wiem, obywatelu pułkowniku – powiedział z namysłem. – Bardziej mnie interesuje, jak wyszedł. No, chyba że mamy do czynienia z upiorem w operze, który przenika przez zamknięte drzwi.

– Nie róbcie sobie żartów, kapitanie – upomniął go zastępca komendanta i dodał tonem wyczekiwania: – Słucham waszej wersji.

– Uważam, że sprawca nie tyle wszedł do kasy, ile został wpuszczony. Klucz tkwił w zamku, ale ofiara – wskazał podbródkiem denatkę za szybą – wstała i raczej bez obaw otworzyła drzwi. Wniosek: dobrze знаła mordercę i mu ufała. Tę kobietę zabił ktoś bliski. Znajomy z opery, kolega, przyjaciel, narzeczony, ktoś z rodziny, kto mógł tu wejść, wykorzystując nieuwagę portiera. – Spojrzał wymownie na starszego mężczyznę, który w tej samej chwili wyraźnie pobałdł.

– Ja nie śpię na służbie, panie pułkowniku – zwrócił się do najstarszego stopniem głosem drżącym z emocji. – Ale od północy do pierwszej robię obchód całego gmachu.

– Codziennie? – upewnił się Florczak.

Portier energicznie pokiwał głową.

– No to mamy czas zgonu – Kolombo rozpiął płaszcz, bo chłód poranka zaczynał ustępować miejsca ciepłemu przedpołudniu. – Plus potwierdzenie tezy, że zabił ktoś dobrze zorientowany w zwyczajach opery i kasjerki. Często zostawała do późna? – zwrócił się do portiera.

– Tylko przed końcem miesiąca, gdy sporządzała raport kasowy – odpowiedział po chwili namysłu. – Wczoraj był trzydziesty pierwszy...

Florczak popatrzył na pułkownika wzrokiem Archimedesesa w kąpeli.

– Szukamy kogoś dobrze znanego ofierze – podsumował Kolombo. – Mordercy lub mordercy, chociaż stawiam moje auto przeciwko czapce fioletowych śliwek, że to był mężczyzna.

Zastępca komendanta chrząknął.

– Towarzysze – zwrócił się do oficerów z kryminalnego, czekających w głębi holu na koniec tej dyskusji. – Podejdźcie tu, z łaski swojej. A wam, obywatelu – zerknął na portiera – na razie dziękujemy. Nie wyjeżdżajcie z miasta. Bardzo pomogliście i będziemy was jeszcze potrzebować.

Starszy mężczyzna ochoczo pokiwał głową i zamienił się miejscami ze specami od zabójstw.

– Towarzysze – powtórzył pułkownik. – Sprawa jest szczególnej wagi. W swoim czasie dowiecie się dlaczego. Śledztwem pokieruje kapitan Florczak. Dobierzcie sobie dwóch ludzi z tu obecnych – zalecił. – Plus kogo tam uważacie z pałacu.

Kolombo rozejrzał się uważnie po twarzach kolegów. Przypomniał sobie, jak pod trzepakiem wybierało się chłopaków do podwórkowej drużyny piłkarskiej.

– Bryś i Przybylski – powiedział.

Wskazani poruszyli się, wyraźnie zadowoleni z wyróżnienia.

– Czekam na szybkie rezultaty – oświadczył pułkownik. – Raporty bezpośrednio do mnie.

Zebrani zaszurali podeszwami po marmurach opery i wykonali regulaminowe „w tył zwrot”. Zastępca komendanta przytrzymał za łokieć szefa ekipy.

– Powiedźcie mi, tak prywatnie – zniżył głos i odczekał, aż wszyscy odejdą. – Dlaczego nazywacie Florczaka Kolombem?

– Bo wygląda jak łajza – stwierdził szef techników, który zawsze walił prawdę prosto w oczy i pewnie dawno wyleciałby ze stołecznej, gdyby nie olbrzymia wiedza kryminalistyczna i jeszcze większe umiejętności jej praktycznego stosowania. – Sfatygowany płaszcz, koszula jak psu z gardła wyjęta, wiecznie poplamiony krawat i rozdeptane buty. Ale łeb ma nie od parady.

– Myślicie? – upewnił się zastępca, chcąc zweryfikować decyzję o powierzeniu Florczakowi śledztwa.

– Pułkownikowi – szef techników popatrzył na niego z pobłażaniem. – Moi ludzie jeszcze nie dokonali wstępnych oględzin miejsca zbrodni, prokurator dopiero skończył śniadanie i jedzie na plac Teatralny, nikt jeszcze nie otworzył pomieszczenia kasowego, a Florczak już ma trop. Nie martwcie się, pułkownik. – omal nie poklepał zastępcy komendanta po ramieniu. – Kolombo jest nie w ciemną bity.

Środa

Dym papierosowy był tak gęsty, że szef techników zaraz po wejściu do pokoju odpraw zaczął ostentacyjnie kaszeć. Podeszedł prosto do okna i otworzył je na całą szerokość.

– Orłów nie ma, nie wylecą – odpowiedział na zdumione spojrzenie Florczaka prowadzącego naradę.

– Siadaj – odparł kapitan. – I pamiętaj, żeby po odprawie nie wychodzić drzwiami.

Rozległy się chichoty. Koledzy z wydziału zabójstw uwielbiali potyczki Kolomba i szefa techników, obydwu nazywając mistrzami ciętej riposty.

– Chwalcie się – zarządził Florczak. – Darek. Czas i przyczyna zgonu?

Przybylski, wyrwany do odpowiedzi, zaczął szukać w papierach protokołu sekcji.

– Lekarz medycyny sądowej – pokręcił głową – był pod takim wrażeniem urody tej zamordowanej dziewczyny, że miał problem z rozcięciem jej zwłok, a po wszystkim musiał się urżnąć. Mówi, że pierwszy raz mu się to zdarzyło.

– Nie o to pytam – skarcił go Florczak.

– Jasne. Sorry. No więc zgon nastąpił między północą a godziną pierwszą dnia następnego, co pokrywa się z czasem obchodu portiera. „Śmierć nastąpiła z powodu niedostatecznego zaopatrzenia tkanek w tlen, wywołanego uniemożliwieniem wymiany gazów w płucach” – odczytał i wyjaśnił po swojemu: – Czyli uduszenie gwałtowne. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent przez zatkanie otworów oddechowych, nosa i ust.

– Skąd to wiemy?

– Na szyi ofiary nie było śladów zadzierzgnięcia ani mechanicznego uciśnięcia narządów. Poza tym...

– Dzięki – uciął Kolombo, a Przybylski popatrzył na niego zdumiony. Kapitan był do bólu konkretny. Nie interesowało go nic poza odpowiedzią na pytanie, jakie zadał.

– Sławek – zwrócił się do Brysia. – Co masz z wywiadu?

Notes starego wygi wydziału kryminalnego był już otwarty na właściwej stronie.

– Zamordowana to Bożena Mirska, lat dwadzieścia cztery, zameldowana w Warszawie, panna, bezdzietna, mieszka z rodzicami przy ulicy Jaracza. Nienotowana. Studiowała na Akademii Muzycznej, wydział wokalnno-aktorski, ale dwa lata temu wykryto u niej guz tarczycy. Podczas operacji doszło do uszkodzenia strun głosowych, co przekreśliło jej karierę. Nie była jakąś, bo już na pierwszym roku studiów zdobywała międzynarodowe nagrody. Ponoć kochała operę. Dlatego po tym, jak musiała przerwać studia, rozpoczęła pracę kasjerki w Teatrze Wielkim, ale pomagała też w przygotowywaniu przedstawień i szkoliła się na inspicjentkę.

– Poszli jej na rękę – uznał Florczak.

– Nie dziwię się – potwierdził śledczy. – Mirska była bliską krewną wiceministra kultury.

Kolombo gwizdnął.

– To mamy jasność, dlaczego sprawa ma szczególną wagę. Wywołałeś zdjęcia? – spytał fotografa siedzącego po jego lewej ręce.

Ten kiwnął głową, sięgnął do tekturowej teczki i wręczył kapitanowi kilkadziesiąt odbitek. Florczak oglądał je i puszczał w obieg.

– Niezła dziunia – skwitował szef techników. – Pewnie adoratorów miała jak Kaśka wstądek. Może któryś poczuł się zazdrosny i...

– Wręcz przeciwnie – zgasił go Bryś. – Z opinii sąsiadów i kolegów z pracy wynika, że Mirska stroniła od mężczyzn. Irytowały ją końskie zaloty i nieustanne próby podrywu. Nie miała chłopaka, co w jej wypadku wydawało się co najmniej dziwne. Rodzice martwili się, że córka nie układa sobie życia, a parę osób w operze sugerowało...

– Lesbijka? – przerwał mu szef techników.

Bryś rozłożył ręce i zrobił minę „bo to wiesz, jak nie wiesz?”.

– Nie była lesbijką – nieoczekiwanie oświadczył Przybylski i wszyscy spojrzeli w jego stronę.

– Skąd to wiesz? – spytał Florczak.

– Z protokołu sekcji.

– Odbyla przed śmiercią stosunek? – Kolombo aż podniósł się na krześle.

– Przed śmiercią nie. Ale była w trzecim miesiącu ciąży.

– Dlaczego od razu nie mówiłeś? – zezłościł się Florczak.

– Bo nie dałeś mi dokończyć – przypomniał Przybylski i powoli zapalił papierosa. – Mamy podwójne morderstwo – stwierdził, wypuszczając dym.

Piątek

Porucznik Jadwiga Kowalczyk wypija łyk zimnej kawy ze szklanki, w której ciągle tkwiła łyżeczka. Brunatna woda o aromacie starej ściereki zdążyła się już oddzielić od warstwy fusów na dnie. Funkcjonariuszka stołecznej dochodzeniówki skrzywiła się z niesmakiem i spojrzała na leżący na biurku grafik przesłuchań.

Od wczoraj przepytala dziewiętnaście osób z najbliższego otoczenia Bożeny Mirskiej, które mogły coś wiedzieć o jej życiu prywatnym. Porucznik Kowalczyk była z wykształcenia psychologiem i potrafiła wydobyc z ludzi wszystko. Ale nie tym razem. Świadkowie jakby się umówili. Zgodnie podkreślali przyzwoitość ofiary i jej dystans do mężczyzn. Według dziewiętnastu niezależnych opinii zamordowana kasjerka bardziej niż do opery nadawała się do klasztoru i była święta.

A przecież nie była.

Świadczył o tym trzymiesięczny płód zamordowany wraz z matką.

– Sprawcą jest ojciec dziecka – uznał Kolombo na przedwczorajszej odprawie. – Jego szukamy. Jadźka, dowiedz się, kto się kręcił koło Mirskiej, nagabywał ją, podrywał, kochał, ślinił się na jej widok. Rodzina, sąsiedzi, przyjaciele i wrogowie z pracy wiedzą takie rzeczy. My też musimy wiedzieć. Pogadaj z Brysiem i Przybylskim. Niech ci wytypują źródła informacji.

Ale dziewiętnaście źródeł okazało się pustych. O mężczyźnie w życiu Bożeny Mirskiej nikt niczego nie wiedział.

Kowalczyk zerknęła na zegarek i raz jeszcze wzięła do ręki grafik. Jeszcze dwie osoby: chórzystka z opery, która uchodziła za dobrze poinformowaną, oraz absolwentka czwartego roku Akademii Muzycznej, która była z Bożeną Mirską w tej samej grupie. Jedyna, która utrzymywała z nią kontakt po operacji tarczycy i przymusowym przerwaniu studiów.

Porucznik wstała, przeciągnęła się, zrobiła dwa przysiady, utrudnione przez wąską spódnicę munduru, poprawiła włosy, przeglądając się w oszklonym dyplomie wiszącym na ścianie, wyjrzała na korytarz i poprosiła kolejnego świadka.

Dziewczyna ze studiów była tak zszokowana śmiercią Mirskiej, że nie potrafiła powiedzieć niczego sensownego. Odpowiadała monosylabami przerywanymi przez szloch, a kiedy się uspokajała, trzeba było powtarzać pytania, bo wydawały się do niej nie docierać. Niewyklucone, że przed przyjściem do komendy naćpała się relanium.

Za to chórzystka z opery nawijała jak katarynka.

Była typem plotkary, która wie wszystko o wszystkich, gromadzi setki informacji niczym komputery, które właśnie wchodziły do służby, a potem je przetwarza. Podczas pierwszych pięciu minut rozmowy z milicjantką chórzystka zdążyła, niby przypadkiem, donieść na koleżankę, która wynosi tkaniny z teatralnej pracowni krawieckiej, oraz podgryźć szatniarza przeglądającego kieszenie gości.

Gdy rozmowa zeszała na relacje damsko-męskie, na twarz chórzystki wypełzły rumieńce podniecenia.

– Jest taki jeden – szepnęła konfidencjonalnie. – Tenor. Stary, obleśny dziad po pięćdziesiątce, z przyklejonymi włosami, ale ciągle uważający się za casanovę. Powiem pani, żadnej babie nie przepuści. Ładna chórzystka, jak chce mieć solówki, to musi chodzić do niego na korepetycje. Ze śpiewu – wymownie zmrużyła oko. – Odbywa się to w kawalerce na Żoliborzu. Nawet przytulne gniazdko. Dużo zachodnich rzeczy, bo on kiedyś śpiewał w Paryżu...

– Rozumiem, że pani również brała lekcje? – przerwała jej milicjantka.

Chórzystka wzruszyła ramionami i przyjrzała się swoim paznokciom.

– Ja tam lubię seks – stwierdziła wyzywająco. – Życie jest krótkie, trzeba korzystać.

– Bożena Mirska też uczęszczała na korepetycje?

– No wie pani! – obruszyła się chórzystka. – Ona się w ogóle nie знаła na tych sprawach. Chodziłyśmy razem na pływalnię, to powiem pani, że jakby pani zobaczyła, jaką ona nosiła bieliznę, toby się pani normalnie przekręciła. Niby taka ładna, ale staniki to chyba miała po babci z czasów okupacji, a majtki? Bawełniane, bure, rozciągnięte. Żadnemu facetowi by nie sta...

– Rozumiem – ucięła milicjantka. – Czyli pan tenor się nią nie interesował?

Chórzystka najwyraźniej czekała na to pytanie.

– Czy ja powiedziałam, że nie? Latał za Bożeną jak pies. Gerbery kupował, czekoladki wędłowskie. Wystawał pod teatrem, czekając, aż wyjdzie z pracy. A ona nic. Rumieniła się, spuszczała te swoje długie rzęsy, przeproszała i odmawiała. Powiem pani, że zrobiła się z tego niezła farsa. Cały zespół miał ubaw z naszego donżuana, który dostawał kosza za koszem.

– Myśli pani, że miał o to żal do Mirskiej?

Twarz chórzystki nagle stężała.

– Myślę, że jej nienawidził – stwierdziła twardo.

Środa

Juliusz Korwin – tenor uważający się za następcę Kiepurę – prychnął jak wściekły kocur i wymownie popukał się w czoło. Nikt z artystów pracujących od kilku miesięcy nad wystawieniem w Warszawie opery Verdiego nie mógł sobie pozwolić na takie zachowanie wobec reżysera widowiska, ale Korwin to był Korwin. Rozkapryszony, chimeryczny gwiazdor. Prima-donna płci męskiej.

Właśnie po niewinnej uwadze reżysera przerwał próbę tradycyjnym „Tak się nie da pracować” i ostentacyjnie zszedł ze sceny. Pochwyił białą flanelową marynarkę, niedbale rzuconą na oparcie fotela w pierwszym rzędzie, i pchnął drzwi wyjściowe.

W foyer jego wzrok przykuła przystojna blondynka z ciemną oprawą oczu, która najwyraźniej się w niego wpatrywała. Korwin natychmiast zmienił grymas oburzenia w czarujący uśmiech amanta i ruszył w jej stronę. O dziwo, w ogóle się nie spłoszyła.

Zatrzymał się metr przed nią, przecesał dłońią włosy, starając się nie naruszyć tupecika na czubku głowy, i w szerokim uśmiechu zaprezentował kunszt swojego stomatologa:

– Autograf? – spytał uwodzicielsko.

– Poproszę – odparła blondynka. – Najlepiej pod protokołem przesłuchania. Porucznik Jadwiga Kowalczyk, Stołeczny Urząd Spraw Wewnętrznych – dodała, otwierając trzymaną w dłoni legitymację służbową.

Korwin się skrzywił.

– Czy jestem aresztowany? – zapał dramatycznie niczym Alfred w trzecim akcie *Traviaty*.

– Nie – odparła milicjantka.

Miała brzydki, niemal męski głos. *No nie!*, jęknął w duchu Korwin. *Twarz i figura całkiem całkiem, ale ten głos? No i imię! Jadzia. Porucznik Jadzia. Okropne.*

– Chciałabym zadać panu kilka pytań w sprawie śmierci Bożeny Mirskiej – dodała.

- To straszne, co się stało - tenor zakrył twarz dłońmi, jakby dowiedział się o tragedii przed chwilą. - Co pani chce wiedzieć?

- Porozmawiajmy u mnie - zaproponowała blondynka.

- Czyli? - Korwin zniżył głos, przeciągając pytanie.

- W pałacu Mostowskich.

- W sumie niedaleko - uznał. - Spacer?

- Na zewnątrz czeka radiowóz.

- Boi się pani, że ucieknę?

Nie odpowiedziała. Ręką wskazała mu drzwi.

Prychnął, choć znacznie dyskretniej niż na scenie, i ruszył przodem.

Kwadrans później, już w pokoju przesłuchań, Korwin sięgnął do kieszeni marynarki, wydobywając z niej jedwabny szalik w pawie oka.

- Pozwolą państwo? - zapytał, zarzucając go szyję. - Chłodno tu, a ja muszę dbać o struny głosowe. Wkrótce premiera.

- Gdzie one się właściwie znajdują? - spytał zaintrygowany Kolombo, siedzący obok pani porucznik po stronie przesłuchujących. - Bo nigdy nie wiem.

- Tu - tenor przeciągnął palcem od podbródka w dół. - To znaczy tam, w głębi. Na samej górze jest gardło, z kolei tu - dotknął dołka między obojczykami - tchawica. A między nimi krtań. Z chrząstką, którą u mężczyzn nazywamy jabłkiem Adama - delikatnie ujął dwoma palcami podskórną narośl.

- Doskonale się pan zna na anatomii szyi - stwierdził Florczak.

- Przez grzeczność nie zaprzeczę - pokraśniał tenor. Uwielbiał pochlebstwa.

- Komuś z taką wiedzą o wiele łatwiej byłoby udusić człowieka niż zwykłemu mordercy. - Kapitan twardo spojrzał mu w oczy.

- Co pan sugeruje? - sploszył się Korwin, ale w tym samym momencie dostał kolejny cios od porucznik Kowalczyk:

- Gdzie pan był w nocy z ubiegłego poniedziałku na wtorek, między godziną dwudziestą trzecią a drugą nad ranem?

- Czy ja jestem o coś oskarżony? - tenor znów wpadł w dramatyczny ton.

- Proszę odpowiedzieć na pytanie.

Korwin się zastanowił.

- W domu byłem - odparł. - Spałem.

- Czy ktoś to może potwierdzić?

Zawahał się.

- Pewna młoda dama z baletu.

- Nazwisko i adres.

- Wolałbym jej w to nie angażować.

- Panie Korwin - Kolombo położył dłonie na stole. - Chodzi o morderstwo. Powiem więcej: morderstwo osoby, która budziła pańskie wielkie zainteresowanie i, jak się wyraził jeden

z kolegów ze sceny, była powodem pańskiego „seksualnego niepokoju”.

– Ludzie plotą bzdury – zachnął się tenor.

– Tak? – Florczak uniósł brwi, otworzył teczkę akt i wyjął z niej kilka kartek eleganckiej papeterii z monogramem. Były pokryte kształnym, zamaszystym pismem.

– Rodzice ofiary pozwolili nam wczoraj na przeszukanie jej rzeczy osobistych. Znaleźliśmy w nich pańskie listy. Skoro ludzie plotą bzdury i nic pana nie łączyło z Bożeną Mirską, to jak pan wyjaśni na przykład takie sformułowanie: „Przestań mnie wreszcie zwodzić, bo nie odpowiadam za siebie. Zobaczysz, to się źle skończy”? – odczytał Kolombo.

Korwin zbladł jak ściana za jego plecami.

– To... to... – łapał powietrze jak ryba wyciągnięta z wody. – Dobrze – uległ wreszcie. – Przyznaję się.

Dwoje milicjantów spojrzało na siebie w tym samym ułamku sekundy.

– Do czego się pan przyznaje?

– No, do flirtowania z tą Mirską.

– „Nie odpowiadam za siebie” i „To się źle skończy” – zacytował Florczak, tym razem bardziej dobitnie. – Może się nie znam, ale to się nie kojarzy z flirtem. A ty jak myślisz, pani psycholog? – zwrócił się do koleżanki.

– To są groźby, panie Korwin – odparła zimno.

Tenor zwiesił głowę.

– Ja... ja jestem artystą dramatycznym. Życie sceniczne przenika do mojej prywatności i... czasami używam takich wyolbrzymionych środków wyrazu – stwierdził.

– Ta premiera, o której pan wspomniał to...? – zagadnęła Kowalczyk.

– *Otello* – dokończył tenor.

– *Otello* – powtórzyła. – Historia o zazdrości, która doprowadziła do zbrodni. A może dowiedział się pan, że Mirska kogoś ma, jest z nim w ciąży, i to było ponad siły człowieka, który „nie odpowiada za siebie”? Co, panie Korwin? Może tym razem życie sceniczne zbyt mocno „przeniknęło do pana prywatności”?

Tenor zerwał się z krzesła.

– To są insynuacje! – krzyknął. – Ja żądam adwokata! Ja was zaskarżę! Ja niebawem mam premierę i nie mogę się denerwować!

– A ja – powiedział spokojnie Florczak – proszę, aby pan usiadł. Ochłonął, a potem uprzejmie udał się do pomieszczenia dla zatrzymanych. Radzę się tam pomodlić, żeby młoda dama, z którą rzekomo spędził pan poniedziałkową noc, potwierdziła ten fakt.

– A jeśli nie potwierdzi? – Korwin znów popadł w przygnębienie. – Trochę się posprzeczałyśmy przed jej wyjściem.

– Wtedy pana najbliższe występy będzie reżyserował prokurator – dodała porucznik, której głos rzeczywiście nie miał w sobie nawet śladu damskiej linii melodycznej.

Czwartek

Żelazko wydawało się dostatecznie rozgrzane, ale Florczak wołał delikatnie splunąć na nie dla pewności. Metal zasyczał, na co kapitan MO kiwnął głową i przeciągnął nim wzdłuż spodni munduru rozłożonych na desce do prasowania. Powtórzył czynność kilkakrotnie, po czym przyjrzał się swoim dokonaniom i zaklął. Nogawki zyskały drugi kant i wyglądały komicznie. Wyobraził sobie komentarze, jakie padną na korytarzach pałacu Mostowskich, ze złością wyszarpnął wtyczkę żelazka z kontaktu i postanowił, że do raportu u zastępcy komendanta stanie w garniturze. Na szczęście nieprasowanym od lat.

Nie spodziewał się pochwał. Od śmierci Bożeny Mirskiej minęło jedenaście dni, a specjalna ekipa śledczych oddelegowana do „sprawy szczególnej wagi” znajdowała się w punkcie wyjścia.

Zadowolona mina pułkownika kompletnie go zaskoczyła.

– Słyszę, że macie podejrzanego – szef przywitał go z uśmiechem i szerokim gestem wskazał miejsce przy stole nakrytym zielonym suknem, na którym w idealnych odstępach stało kilka kryształowych popielniczek, literatek i butelek wody mineralnej z kapslami, do których dobiegała się rdza.

– To jeszcze nic pewnego, obywatelu pułkownika – odparł Florczak. – Jeden z artystów operowych, erotoman znany w środowisku pracy ze skłonności do młodych kobiet, nagabywał ofiarę i był zły z powodu jej konsekwentnych odmów.

– No to mamy motyw – ucieszył się zastępca komendanta.

Kolombo niechętnie kiwnął głową.

– Można tak domniemywać, obywatelu pułkownika – zgodził się Florczak. – Zwłaszcza że znaleźliśmy jego prywatne listy do Mirskiej, a w nich sformułowania, które sąd może uznać za groźby karalne.

– Świetnie! – pułkownik palnął otwartą dłońią w sukno stołu, aż zadrżały butelki z Buskowską. – Zatrzymaliście podejrzanego?

– Na czterdzieści osiem – potwierdził Florczak. – Żeby uniemożliwić mu ewentualne mataczenie. Bryś jest teraz w operze i sprawdza jego alibi. To wybitny artysta...

– No i dobrze – uznał zastępca komendanta. – Niech społeczeństwo wie, że przedstawiciele tak zwanych elit bynajmniej nie są u nas pod ochroną. Gratuluję, kapitanie – dodał i wyciągnął dłoń. – Czekam na rychły sukces. Towarzysz minister spraw wewnętrznych już dzwonił w tej sprawie. Wiecie, że zamordowana była...

– Wiem – Florczak z trudem przełknął ślinę, bo nagle zaschło mu w gardle, ucisnął podaną mu rękę i regulaminowo się odmeldował.

Czwartek, jakiś czas później

Starszy sierżant sztabowy Sławomir Bryś nie zdążył przekroczyć progu pokoju śledczych, gdy Florczak znalazł się tuż przy nim, jakby czatował przy drzwiach. Był wyraźnie podminowany.

– I co? – spytał gorączkowo.

– Nic – Bryś rozłożył ręce. – Korwin ma alibi. W poniedziałek w nocy rzeczywiście obracał baletnicę. Potwierdziła.

Kolombo ciężko opadł na krzesło. Tenora trzeba będzie przeprosić i wypuścić. Pewnie narobi rabanu na całą Warszawę. Zastępcą komendanta się nie ucieszy.

- Ale - Bryś zapalił iskierkę nadziei - dowiedziałem się czegoś ciekawego.

- Mów - ożywił się Kolombo.

- Baletnica powiedziała parę ciekawych rzeczy o tej chórzystce, co podkablowała Korwina.

- No? - spytał zaciekawiony Florczak.

- No więc - sierżant sięgnął do notatek - „ta mała, co śpiewać nie umie i na scenie drze się jak stare prześcieradło, kłamie jak z nut” - Bryś nie odmówił sobie przyjemności zacytowania. - Okazuje się - dorzucił już od siebie - że chórzystka nigdy nie była kochanką Korwina, bo zwyczajnie jej nie chciał. Zdaniem baletnicy z zemsty postanowiła go pograżyć.

- Czy ty, do kurwy nędzy, pracujesz w obyczajówce? - zdenerwował się Florczak. - Co mnie obchodzi jakiś brazylijski serial odstawiany przez tych pojebanych artystów?

- Poczekaj - uspokoił go Bryś. - Jak to usłyszałem, to też się wkurzyłem. Zwłaszcza że wychodząc, na korytarzu zauważyłem chórzystkę, która na mój widok zaczęła spierdzielać. Dogoniłem ją i postraszyłem, że zostanie pociągnięta do odpowiedzialności za utrudnianie pracy organom ścigania poprzez świadome wprowadzanie w błąd milicji. Rozryczała się i powiedziała, że była wściekła na Mirską, bo Korwin latał za kasjerką jak kot z pęcherzem, a na nią, artystkę z chóru, nawet nie spojrział.

- Znowu mi nawijasz operę mydlaną? - spytał Kolombo i nagle się zastanowił: - Myślisz, że chórzystka mogła zabić Mirską?

- Mogła - zgodził się Bryś. - Ale nie zabiła.

- Skąd wiesz?

- Bo zabił ojciec dziecka. Miałeś rację.

- Czyli kto?

- Posłuchaj - powtórzył Bryś. - Jak chórzystka pękła, to wylała przede mną wszystkie żale. Poza tym, że była zazdrosna o Mirską, to jeszcze wkurzały ją jej przywileje w operze. Wszyscy wkoło niej skakali, a ledwo zaczęła pracę po operacji tarczycy, dyrektor załatwił jej sanatorium w Ciechocinku. Wiesz - Bryś mrugnął porozumiewawczo - kuzynka ministra. No i chórzystka się wściekła, bo ona nie mogła doprosić się w dyrekcji choćby o jeden dzień wolnego.

- I co z tego? - zniercierpliwił się Florczak.

- Mirska była w sanatorium trzy miesiące temu. Rozumiesz?

Kolombo wpadł na matematyczną zależność Ciechocinka od ciąży akurat w momencie, gdy do pokoju wszedł Juliusz Korwin, po którego wcześniej wysłał Przybylskiego.

Kapitan chrząknął.

- Przykro mi, że spędził pan noc na dołku - oświadczył - ale to sprawa o morderstwo. Mam nadzieję, że pan rozumie.

- Wybaczam wam - tenor wykonał wielkopański gest. - Ale na przyszłość pomyślcie, kogo zatrzymujecie. Mam nieposzlakowaną opinię.

- Z tym bym się akurat nie zgodził - nie wytrzymał Kolombo. - Do pańskiego zatrzymania przyczyniły się akurat pańskie rozliczne kontakty z płcią przeciwną.

Korwin spojrział na niego wyniośle.

– Czytał pan Konfucjusza? Nie przypuszczam. A ten mędrzec dał mężczyznom wyraźną wykładnię: „Czajnik jest jeden, ale filiżanek wiele”. Żegnam panów – tenor ukłonił się scenicznie i wyszedł, wachlując się przepustką podstemplowaną w sekretariacie.

Piątek

Ciechocinek podrygiwał w rytmie popołudniowych potańcówek.

Fajfy zaczynały się punktualnie o siedemnastej i wywoływały falę romantycznych wspomnień u kuracjuszy, niczym ciepły wiatr sprowadzający przypyły. Starsi państwo, wystrojeni jak na komunię wnucząt, przeżywali spóźnione uniesienia. Widok par tańczących, trzymających się za ręce w parku pod tężniami i szepczących sobie czułe słówka na ławkach dowodził, że miłość po siedemdziesiątce ciągle ma szansę, choć seks wydaje się już przereklamowany.

Kapitan Florczak wolał się nie zastanawiać, które z par są małżeństwami, bo gdyby miał obstawić to u bukmacherów, wybrałby opcję: żadne. Minał park, postał przez chwilę przed przestrzennym klombem w kształcie wiewiórki zbudowanej z kwiatów, odetchnął i wrócił do sanatorium Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Głowa Kolomba przypominała okrągłe plastikowe pudełeczko do gry zręcznościowej, w którego płytkich otworach trzeba było umieścić kilka niezwykle ruchliwych kulek. Wymagało to prawdziwej ekwilibrystyki i potrząsania pudełeczkiem tak, aby kulki, które już utkwiły na miejscach, nie wyskoczyły z nich podczas prób unieruchomienia pozostałych. Sukces odnosiło się tylko wtedy, gdy wszystkie wskoczyły na swoje miejsca.

Ze sprawą zabójstwa Bożeny Mirskiej ciągle tak nie było, choć wiele elementów udało się już dopasować. Pozostała ostatnia kulka – najtrudniejsza do uchwycenia.

Florczak skorzystał ze specjalnej linii resortowej i wybrał numer ich pokoju w pałacu Mostowskich. Bryś, który czekał na wieści, odebrał po drugim dzwonku.

– Jak Ciechocinek? – zapytał.

– Obiecująco.

– Trafiłeś na coś? – kolega wyraźnie się ożywił.

– Tak. W sanatorium Mirska mieszkała w dwuosobowym pokoju z niejaką Barbarą Banaś. Kucharką z naszego kasyna w Łodzi. Świeżą emerytką. Ponoć bardzo się polubiły.

– Masz potwierdzenie, że Mirska się z kimś spotykała w Ciechocinku?

– Personel nic nie wie. Sanatorium MSW ma status szpitala. Nie wolno tu przyjmować gości. Więc jeśli się spotykała i zaszła w ciążę, to nie tu. Postaram się dowiedzieć czegoś od tej Banaś. Namierz mi ją przez chłopaków z Łodzi, ustaw na jutro i przyslij informację teleksem do Ciechocinka.

– Zostajesz na noc?

– Tak. Szpital ma pokoje gościnne. Odeśpię i rano ruszam.

– Zastępca komendanta o ciebie pytał.

– Czego chciał?

– Nie zwierzał się. Powiedział tylko, że się guzdrzemy i ciągle nie mamy podejrzanego.

– To niech sam ruszy tłustą dupę i go szuka, jak taki mądry – stwierdził Kolombo.

- Powiedz mu to - zaproponował Bryś, ale propozycja nie spotkała się z entuzjazmem.

Sobota

Barbara Banaś nie potrafiła opanować płaczu.

Wiadomość o śmierci Bożeny poruszyła ją tak mocno, że trzeba było sięgnąć po krople uspokajające. Doszła do siebie po dziesięciu minutach, ale nagle przypomniała sobie pocztówkę z pomnikiem Chopina w Łazienkach, którą dostała od Mirskiej przed dwoma tygodniami, i znów wpadła w rozpacz.

Florczak zaczynał tracić nadzieję.

- Pani Basiu - położył jej dłoń na ramieniu jak starej znajomej. - Ja wiem, że to straszna tragedia, ale muszę pani zadać kilka pytań. Jest pani moją ostatnią nadzieją na schwywanie sprawcy tego morderstwa.

- Ja? - kobieta wysmarkała nos w chusteczkę i popatrzyła na niego oczami pełnymi łez.

- Pani. Mieszkałyście razem w jednym pokoju w Ciechocinku przez trzy tygodnie. Czy Bożena spotykała się tam z jakimś mężczyzną?

Barbara Banaś spojrzała z wyrzutem.

- Ona nie była taka - stwierdziła.

Florczak ze świątem wypuścił powietrze. Kolejny trop zakończony ścianą z wywieszonym na niej transparentem o nieskazitelnej moralności Bożeny Mirskiej.

- Niech pan tak o niej nie myśli - upomniała Florczaka. - Że niby taka ładna, to pojechała do sanatorium i zaraz romans. Nic z tych rzeczy, panie kapitanie. Ona się po prostu zakochała.

Kolombo z trudem utrzymał się na krześle.

- W kim?!

- No w mężczyźnie. Też był w sanatorium, ale kolejowym.

- Widziała go pani? Może pani podać rysopis?

- Nie widziałam. Bożenka tylko o nim opowiadała, choć nie była skora do zwierzeń.

- Pani Barbaro - Florczak popatrzył na nią niemal błagalnie. - Proszę przypomnieć sobie wszystko, absolutnie wszystko, co pani wie o tym człowieku. Każdy szczegół jest niesłychanie ważny.

Banasiowa zmarszczyła czoło.

- Zenek - powiedziała cicho, ale natychmiast się poprawiła: - Nie, nie Zenek. Zbyszek.

- Jest pani pewna?

- Jestem. Na sto procent Zbyszek. Kolejarz. Z Opola. Mieszka przy ulicy Krakowskiej.

- Nazwę ulicy dobrze pani zapamiętała?

- Dobrze. Bożenka tam u niego była.

- Kiedy?

- Zaraz po sanatorium. Przesłała mi stamtąd pocztówkę.

- Jej rodzice nic nie wspominali o żadnym narzeczonym z Opola - zaznaczył Florczak.

- Nie wiem dlaczego - kobieta wzruszyła ramionami. - Pewnie nie wiedzieli. Może Bożenka chciała odczekać, aż ten związek się jakoś umocni?

- Coś jeszcze? - Florczak zdążył trzykrotnie podkreślić każdą z informacji zapisanych w notesie, aż przedziurawił kartkę. - Numer domu? Jakiś szczegół? Sklep na dole? Coś w sąsiedztwie?

- Nic więcej nie wiem.

Kiedy wyszedł, kręciło mu się w głowie i wirowała w niej ostatnia kulka, która zataczała coraz ciaśniejsze kręgi wokół miejsca, w które powinna wpaść.

Sobota, nieco później

Dyżurny Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Łodzi popatrzył na Florczaka jak na wariata, ale po obejrzeniu legitymacji wpuścił go do środka i wskazał telefon bez tarczy z numerami.

- Proszę - powiedział - szybka linia. Obywatel kapitan się częstuje.

Kolombo podniósł słuchawkę, podał kryptonim i poprosił o połączenie z prywatnym mieszkaniem zastępcy komendanta stołecznej.

Numer zgłosił się natychmiast.

- Dzień dobry, towarzyszu pułkowniku - celowo użył formy partyjnej z nadzieją, że ludziom, którzy tytułowali się „towarzyszami”, nie wypadło wydzierać na siebie mordy.

- Gdzie wy jesteście, Florczak, do ciężkiej cholery? - pułkownik najwyraźniej jednak nie znał tego obyczaju.

- W Łodzi, obywatelu pułkowniku. Na tropie podejrzanego.

- Już to słyszałem. Tymczasem towarzysz minister dzwoni codziennie, a mnie już brakuję wymówek, Kolombo - zastępca komendanta wypowiedział ostatnie słowo z wyraźną drwiną.

- Tym razem to pewniak - zaryzykował Florczak.

- Oby.

- Ale...

- Żadnego „ale”, Florczak. Oczekuję rezultatów. Macie czterdzieści osiem godzin.

- Powiniennem zdążyć, obywatelu pułkowniku, ale potrzebuję obywatela pułkownika pomocy.

- Mówcie.

- Trzeba postawić na nogi dochodzeniówkę w Opolu. Podejrzany mieszka tam na ulicy Krakowskiej. Pracuje na kolei. Muszą go namierzyć.

- Jak się nazywa?

- Zbyszek.

- Zbyszek jaki?

- Nie dało się ustalić. Wiem tylko, że Zbyszek. Zbyszek kolejarz z ulicy Krakowskiej w Opolu. Trzy miesiące temu spotykał się z Bożeną Mirską w Ciechocinku. Była w nim zakochana.

- Macie zamiar sprawdzić wszystkich mężczyzn o tym imieniu pracujących w Opolu w Polskich Kolejach Państwowych? - upewnił się zastępca komendanta.

- Tak jest, obywatelu pułkowniku.

- Dobrze. Zadzwoń do MSW, niech zapędzą Opole do roboty. Jak sądzicie, ile może być tych Zbyszaków kolejarzy?

- Nie mam pojęcia. Może dwudziestu, może pięćdziesięciu, może stu. Ale szybko pójdzie, bo przy Krakowskiej mieszka jeden, najwyżej dwóch.

Pułkownik nie zareagował.

- A wy co zamierzacie, kapitanie?

- Jadę do Opola.

- Zabraniam. Pojedziecie, jak wam znajdą podejrzanego. Jak teraz się tam zjawicie, to się obrażą, że przyjechaliście patrzeć im na ręce, i odwalą robotę na odpierdol. Niech się poczują ważni. Bez nadzoru.

- Tak jest, obywatelu pułkowniku. Dziękuję za radę.

Zastępca komendanta odłożył słuchawkę bez pożegnania.

Wtorek

- Dupa, obywatelu kapitanie – rozległo się w słuchawce, którą Florczak podniósł tuż po porannej kawie.

- Kto mówi?

- Major Szreter, Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Opolu. Sprawdziliśmy wszystkich czterdziestu trzech mężczyzn o imieniu Zbigniew zatrudnionych w naszym rejonie PKP. Żaden z nich nie mieszka na Krakowskiej.

- Wywiadowcy byli u nich wszystkich? – upewnił się Florczak.

- A jak? Dałem do tego najlepszych ludzi. Łazili po domach niby pod pretekstem kradzieży w lokomotywowni, a tak naprawdę wypytywali o wszystko, co mogłoby naprowadzić na trop człowieka, którego szukacie. Żaden nie pasował.

- Żaden – powtórzył Florczak jak echo.

- Trudno – uznał major. – Zmarnowaliśmy sporo czasu. Ale taka robota. Czołem, kapitanie.

- Majorze... – zatrzymał go Florczak.

- Tak?

- Skoro żaden Zbyszek kolejarz nie mieszka na Krakowskiej, to czy moglibyście sprawdzić wszystkich mężczyzn noszących to imię i mieszkających na tej ulicy?

W słuchawce zabrzmiało coś w rodzaju bulgotu.

- Pogięło cię, człowieku? – spytał major.

- To nieduża ulica. Parę kamienic.

- Rozłączam się, bo zaraz ci, kurwa, coś powiem...

- Rozłącz się – stwierdził Florczak. – Następnym telefon odbierzesz od ministra spraw wewnętrznych.

Szreter rzucił słuchawką.

Środa

Szef grupy dochodzeniowej wszedł do pokoju wywiadowców bezpośrednio po odprawie u komendanta, a oburzenie pozwoliło mu wypowiedzieć tylko dwa słowa:

– Pieprzona Warszawka.

– Co? – ożywił się jeden z milicjantów, ubrany w czarny dres jeszcze po treningu judo, w którym odnosił spore sukcesy. – Znowu będziemy szukać Zbyszka kolejarza?

– Tym razem tylko Zbyszka – odparł szef grupy. – Mamy sprawdzić wszystkich tak ochrzczonych frajerów na całej ulicy Krakowskiej pod kątem tego morderstwa w operze.

Wywiadowcy zaniemówili.

– Żartuje szef? – spytał ten w czarnym dresie.

– Rozkaz z samej góry. Podnosić tyłki i do roboty. A ty się przebierz – polecił chłopakowi w sportowym stroju. – Pytania?

Judoka był zmęczony i łażenie po prywatnych mieszkaniach było ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę.

– Jak szef ocenia szanse? – spytał.

– Jedna na milion – odparł przełożony. – Startujemy.

Dziesięć minut później judoka, już w dżinsach, koszuli i wiatrówce, wyszedł z gmachu Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Opolu, skręcił w prawo, w ulicę Powolnego, przeszedł sto metrów i znalazł się na Krakowskiej. Niechętnie spojrzął na rozpiszkę kamienic, które miał odwiedzić, splunął pod nogi i ruszył w kierunku adresu pierwszego Zbigniewa.

Po godzinie miał dość.

Wszedł do kolejnej klatki schodowej, spojrzął na spis lokatorów i nagle coś zwróciło jego uwagę. Pod siódmką mieszkał Wojciech Mirski.

Jedna szansa na milion sprawiła, że wywiadowca był tym samym funkcjonariuszem, który przed tygodniem sprawdzał Zbyszków kolejarzy i na opolskim osiedlu Związku Walki Młodych rozmawiał ze Zbigniewem Wirskim – konduktorem. Zapamiętał go. Przede wszystkim dlatego, że w wykazie sporządzonym przez dyrekcję PKP dla potrzeb milicji ktoś zrobił błąd i przekreślił pierwszą literę nazwiska. Konduktor Wirski naprawdę nazywał się Mirski. Tak samo jak zamordowana.

Poza zbieżnością nazwisk nie miał z nią nic wspólnego.

Nie znał kasjerki z warszawskiej opery, nigdy jej nie spotkał i nie miał czasu na romanse z kobietami, bo w dwupokojowym mieszkaniu na ZWM-ie czekali na niego żona i dwoje dzieci, które wiecznie czegoś potrzebowały, więc konduktor musiał brać nadgodziny. Wywiadowca, który z nim rozmawiał, zwrócił uwagę na coś jeszcze: Zbyszek kolejarz z ZWM-u był mężczyzną wybitnie nieatrakcyjnym: łysiejącym, zgarbionym, z nadwagą i twarzą jak po ospie.

Wspomniał o nim w raporcie, ale major nadzorujący poszukiwania uznał, że skoro brzydki Zbyszek kolejarz nie mieszka na Krakowskiej i nie jest typem amanta, to nie o niego chodzi w Warszawie.

A tu znowu Mirski.

Wywiadowca wszedł na drugie piętro i zapukał do drzwi.

Otworzył je mężczyzna po czterdziestce, który zdziwił się wizytą milicji, ale chętnie odpowiadał na pytania. Był zaopatrzeniowcem w jakiejś centrali rolniczej. Żadna z jego odpowiedzi

nie pasowała do operowej układanki.

Wychodząc, wywiadowca zapytał go o Mirskiego z ZWM-u.

- Zbyszek to młodszy brat - odparł zaopatrzeniowiec. - Często opiekuje się moim mieszkaniem, bo ja przez cały czas w rozjazdach. Niby podlewa kwiatki - Wojciech Mirski puścił do milicjanta oko - ale jest konduktorem w pociągach i ciągle poznaje jakieś babki. Ma coś takiego w sobie, że na niego lecą. Podejrzewam, tak między nami mężczyznami - zastrzegł - że je tu sprowadza pod moją nieobecność.

Wywiadowca uśmiechnął się porozumiewawczo, podziękował i wyszedł.

Czwartek

Zbigniew Mirski, zatrzymany wczoraj pod zarzutem zamordowania Bożeny, która nosiła takie samo nazwisko jak on, siedział w pokoju przesłuchań. Drżał. Nie spał przez całą noc, był nieogolony, pod oczami miał sińce wywołane zmęczeniem i napięciem.

Drgnął na odgłos otwieranych drzwi, w których pojawiło się dwóch mężczyzn w garniturach. Major z Opola i kapitan z Warszawy. Florczak, o ile dobrze usłyszał.

Ten drugi zadawał pytania. Spokojnie i rzeczowo.

Zbyszek kolejarz odpowiadał. Im więcej mówił, tym mniejszy wydawał mu się ciężar, który dźwigał od dwóch tygodni. Opowiedział o pobycie w szpitalu kolejowym w Ciechocinku, poznaniu w kawiarni pięknej Bożeny i płomiennym romansie, który rozgorzał nieoczekiwanie dla niego samego. Potem o jej wizycie w Opolu i upojnej nocy w mieszkaniu brata na Krakowskiej.

A jeszcze później o jej telefonie. O ciąży.

Pojechał do Warszawy się z nią rozmówić. Bożena uznała, że najbardziej dyskretnie będzie u niej w pracy podczas obchodu nocnego stróża.

Czekał do dwunastej przed Teatrem Wielkim. Pięć minut po północy uchyliła drzwi dla personelu i na niego kiwnęła.

Rozmawiali coraz bardziej nerwowo. Ona o ślubie, on o skrobance. Przerodziło się to w awanturę. Bożenka zaczęła krzyczeć - oświadczył Zbyszek kolejarz i zamilkł.

- ...podczas której - dokończył za niego Florczak - chcąc ją uciszyć, zakryłeś usta ofiary dłonią, co stało się bezpośrednią przyczyną pozbawienia jej tlenu i w następstwie tego - zgonu.

Zbigniew Mirski zaczął spazmatycznie płakać.

Z majorem próbowali go uspokoić. Bezskutecznie. Opolski oficer wezwał milicjanta czekającego za drzwiami.

- Odprowadzić zatrzymanego - polecił. A potem położył Florczakowi dłoń na ramieniu:

- Nic więcej dziś z niego nie wyciągniesz. Daj mu skruszeć do jutra. Zapraszam do restauracji Pod Pałkami.

- Co to za knajpa?

- Nasze kasyno. Tak je nazywamy.

Zjedli zimne nóżki w galarecie, wypili po dwie wódki.

– Jutro będzie lepiej – powiedział na odchodnym major.

Piątek

Ale nie było.

Konduktor Mirski starannie i ze szczegółami ponownie relacjonował wydarzenia z Ciechocinka, Opola i Warszawy, aż docierał do momentu, po którym miało nastąpić zamknięcie Bożenie ust, i tu się blokował. Nie był w stanie wydusić słowa, szlochał albo patrzył na Florczaka pustym, nieruchomym wzrokiem.

Po trzeciej próbie Kolombo zadzwonił do porucznik Jadwigi Kowalczyk.

– Potrzebuję twojej psychologii – stwierdził i zrelacjonował jej przesłuchania Mirskiego.

Zastanowiła się.

– Pomiń ten moment – uznała po dłuższej chwili.

– Jak to? – zdziwił się. – Przecież to najważniejsze. Albo uzyskamy przyznanie się do winy, albo nie. To jedyny dowód, jaki mamy. A raczej nie mamy. Bez tego sąd nas pogoni.

– Niekoniecznie – stwierdziła Kowalczyk. – Mówię ci, pomiń.

Piątek, nieco później

Zbigniew Mirski splótł dłonie na stole i rozpoczął swoją opowieść po raz czwarty. Tym razem na prośbę kapitana milicji ograniczył się do Warszawy. W momencie, gdy był już w pomieszczeniu kasowym, a Bożena zaczęła krzyczeć, Florczak uniósł dłoń:

– Dalsze szczegóły sobie darujmy – stwierdził. – Proszę powiedzieć, co pan zrobił, kiedy było już po wszystkim.

Mirski spojrzał na niego z nieopisaną wdzięcznością.

– Wyszedłem, zamykając drzwi na klucz, i udałem się na Dworzec Centralny.

– Co pan zrobił z tym kluczem?

– Przez cały czas miałem go w kieszeni. Przesiedziałem do rana na ławce w poczekalni, o świcie wsiałem do pociągu do Katowic. Wtedy sobie o nim przypomniałem. Opuściłem okno na korytarzu i wyrzuciłem ten klucz.

– Pamięta pan gdzie?

– Parę kilometrów za Warszawą Zachodnią.

Epilog

Klucza wyrzuconego z pędzącego pociągu w miejscu wskazanym podczas wizji lokalnej przez oskarżonego szukało stu milicjantów.

Po porażce pierwszego dnia, podczas którego przeszukano każdy centymetr kwadratowy ziemi obok torowiska, do akcji dołączono saperów z wykrywaczami metalu oraz słuchaczy szkoły wojskowej.

Wyglądali jak zbieracze truskawek na filmie o zwolnionych obrotach.

W pewnej chwili jeden z nich wstał i uniósł rękę tak wysoko, jak tylko się dało. Trzymał w niej klucz Zbyszka kolejarza – niezbity dowód zabójstwa Bożeny Mirskiej. Chciał krzyknąć, że znalazł, ale emocje odebrały mu głos. To się zdarza. Ponoć nawet śpiewakom operowym.

Zbigniew Mirski został skazany prawomocnym wyrokiem sądu. Zamordował swoje nienarodzone dziecko oraz piękną kobietę, która przypadkiem nosiła takie samo nazwisko i zakochała się w opolskim konduktorze od pierwszego wejrzenia, choć stroniła od mężczyzn, a on był wyjątkowo nieatrakcyjny.

Tej tajemnicy nie udało się wyjaśnić do dziś.

PS. Opisana historia wydarzyła się naprawdę. Zmienione zostały personalia oraz niektóre okoliczności, czas i miejsca zdarzeń. To samo nazwisko sprawcy i ofiary, szczególnie poszukiwań Zbyszka kolejarza w Opolu, zamiana Mirskiego na Wirskiego, psychiczna blokada zeznań oskarżonego, który nigdy nie wypowiedział słowa „zabiłem”, oraz znalezienie klucza wyrzuconego z pociągu są autentyczne.

ANNA ROZENBERG

TESTAMENT SCENY

Bristol 1970

Na palcu Kazimierzy dyskretnie połykiwał pierścionek. Bohdan zerkał ukradkiem na wsuniętą pod jego ramię zadbaną dłoń, z trudem powstrzymując się od radosnego pogwizdywania. Kazia, ubrana w doskonale skrojoną suknię, wydawała się spięta niedawnymi oświadczeniami. Wizyta w Operze Uniwersytetu w Bristolu była zwieńczeniem niespodzianek, jakie przygotował na ten wieczór dla swojej dziewczyny, choć nie podejrzewał, że sam wieczór jeszcze go zaskoczy.

Zewsząd nadciągali ludzie. Patrząc na Kazię, która co jakiś czas się z kimś witała, domyślił się, że na premierę *Straszного двору* zjechała cała brytyjska Polonia. Z ożywionych rozmów Bohdan łowił te z silnym angielskim akcentem. Zastanawiał się, czy sam, mieszkając tu, umiałby obronić przed tym nalotem polską mowę. W trakcie tych dni pobytu w Anglii z pewnością nie zdąży się o tym przekonać.

Kiedy rozbrzmiały pierwsze takty *Gdy więc się rozstaniem*, oboje zadrżeli ze wzruszenia. Moniuszko przełożony na język Dickensa w odczuciu Bohdana brzmiał trochę obco, ale unosząca się w sali atmosfera przekonała go, że za wrażeniem tym stoi wyłącznie jego ignorancja.

Kolejne arie wybrzmiewały w ścianach opery uniwersyteckiej, wprawiając gości w zachwyt. Patos i wzruszenie zdawały się wibrować między dźwiękami. Bohdan był niemal pewien, że siedzący obok niego mężczyzna ociera chusteczką kąciki oczu.

Opuszczali budynek w podniosłych nastrojach. Rzeka ludzkich głów żłobiła swoje koryto w stronę dworca kolejowego, a oni pozwolili się nieść nurtowi i własnemu szczęściu. Odbili, dopiero gdy zobaczyli wieżę kościoła św. Piotra wystającą ponad obrys drzew starego parku.

– Czy teraz wrócisz do Polski? – zapytał z nadzieją w głosie, gdy usiedli na jednej z ławek. – Wróćcie? – poprawił się.

– A może ty zostaniesz? – Kazia spoglądała gdzieś w dal, jakby nieobecna.

– Jak? Mam pracę...

– Ja też – przerwała mu zimno, wciąż nie patrząc w jego stronę. – Poza tym mam perspektywę.

– Przecież wiesz, że polska władza się o mnie upomni. Jestem milicjantem. Muszę wrócić.

– Mogę ci umożliwić zostanie tu – oznajmiła szybko.

– Jak?

- Mam swoje sposoby.

- To nie jest wyjście, Kaziu. Nie chcę być zbiegiem z własnego kraju.

- Tosia ma szkołę - ciągnęła, jakby nie dotarły do niej słowa Bohdana. - W przyszłym roku idzie do liceum. Czy ten twój kraj pozwoli jej iść na studia? A może polska władza zrobi z niej szwaczkę, sprzedawczynię w Społem albo zwykłą kurę domową, rodzącą dzieci na chwałę ustroju? A może uzna ją za wroga, skoro zna obce języki?

Bohdan milczał, nie znajdując kontrargumentu albo chociaż powodu, dla którego matka jego dziecka miałaby porzucić dobre życie w Wielkiej Brytanii i jechać z nim do kraju okrytego szarym, drapiącym kocem socjalizmu. Poczul na ramieniu dłoń Kazimiery. Odwrócił się w jej stronę, doskonale wiedząc, co za chwilę nastąpi. Znał ją i taką ją kochał - nieustępliwą, uczciwą wojowniczkę. Spojrzał na pierścionek, który zamiast na palcu, połykiwał teraz na śródręczu dziewczyny.

- Przykro mi - powiedziała i wręczyła mu złoty krążek zwieńczony rubinem.

Bohdan otworzył usta, by zaprotestować. Jednak już dźwięk pierwszej sylaby rozerwał strzał, a zaraz po nim krzyk z wielu gardeł.

Byli narzeczeni zerwali się i pobiegli w stronę niepokojących odgłosów. Tłum gęstniał w miarę jak zbliżali się do centrum zdarzenia. Bohdan przepchnął się przez zebranych. Wpadł w pierwszy rząd, o mało nie dotykając czubkami butów powiększającej się kałuży krwi, w której leżał elegancko ubrany mężczyzna. Zza narastającego szumu w uszach dotarły do niego pisk Kazimiery i jęk policyjnych syren.

Woking 2013

Bohdan wszedł do archiwum, rozglądając się za materiałami, o które klient poprosił przed chwilą. Zapach starych dokumentów, map i czasopism dziś wyjątkowo wwiercał mu się w nos, choć alergia nigdy nie była jego problemem. Przeglądał gazety w poszukiwaniu kilku egzemplarzy wymienionych w zleceniu. Zebrał wszystko, spakował do teczek i zaniósł do sali. Za biurkiem niepodzielną władzę sprawował Jeff.

Bohdan przekazał mu materiały i wrócił do archiwum, by rozłożyć mapy zostawione przez klientów, którzy odwiedzali rano Centrum Historii Surrey. Kiedy wchodził na niewielką drabinę, w drzwiach stanął Jeff.

- Nie wiem, o co chodzi, ale mężczyzna przeglądający materiały chciałby z tobą rozmawiać.

- Brakuje czegoś? - zaniepokoił się Bohdan.

- Nie, to chyba nie to. Wymienił cię z nazwiska.

- Powiedz mu, że zaraz przyjdę.

Próbował sobie przypomnieć, jakie konkretnie tytuły przygotowywał, ale zautomatyzowane od lat ruchy nie pozwalały zbyt wiele zapisywać w pamięci. Milicyjny nos wyczuwał zapach kłopotów. Odstawił drabinę i podążył za Jeffem.

Na tle granatowej wykładziny złączone stoły z jasnego drewna przywodziły na myśl wyspę, na plaży której rozbitkowie czekali na ratunek. Bohdan zbliżył się do siedzącego pod oknem

mężczyzny. Łysiejący staruszek uniósł wzrok zza piankowego kokpitu, na którym spoczywała jedna z gazet.

– Pan mnie nie kojarzy, ale ja pana tak – rozpoczął bezceremonialnie. Nie czekając na odpowiedź Bohdana, przeniósł periodyk bezpośrednio na blat i przesunął w stronę archiwisty. Bohdan przeczytał nagłówek, usiłując zachować spokój.

– Był pan tam, prawda? Wtedy, pod operą bristolską? Pan jest tym milicjantem? – coraz mocniej przyszpilał Bohdana pytaniami.

Na czarno-białym zdjęciu były milicjant rozpoznal siebie, usiłującego zatamować krwawienie u postrzelonego mężczyzny. Trzymająca go za skraj marynarki dłoń wciąż dawała nadzieję na ratunek.

– To pan? – ponowił pytanie staruszek.

Bohdan potwierdził powolnym skinieniem głowy.

– Ale to było czterdzieści lat temu – powiedział po chwili, zerkając na papierową przepustkę wypisaną na nazwisko Kotowski.

– I jak dotąd nie znaleziono tego, kto to zrobił – odrzekł hardo przybysz.

– A dlaczego pana to tak bardzo interesuje? – zapytał Bohdan i przyjrzał się mężczyźnie, który albo był bardzo zniszczony, albo dużo starszy od niego.

– Bo ten zamordowany to nie tylko dekorator, który pracował wtedy przy przedstawieniu, ale i mój serdeczny przyjaciel.

– Ale dlaczego akurat teraz?

– Po pierwsze, znalazłem nowe dowody, a po drugie, znalazłem pana.

– Jak?

Mężczyzna odchylił jedną z klap tweedowej marynarki, szukając czegoś w wewnętrznej kieszeni. Po chwili na blacie wylądował wyrwany z „Woking News & Mail” artykuł, a w nim zdjęcie okopconego wieżowca przy Constitution Hill. Tuż obok Siwiaszczyk zobaczył fotografię, na której stoi obok ubranego w mundur młodego policjanta.

– Teraz już pan wie, skąd wiem. Pomoże mi pan?

– Ale ja od ponad dwudziestu lat nie mieszkam w Polsce i od tego czasu nie jestem też gli-niarzem – bronił się, wciąż nie mogąc pojąć, jak dziennikarze zdobyli jego zdjęcie z wnukiem.

– Ma pan kontakty z datą produkcji, która mnie interesuje – odparł z lekkim uśmiechem mężczyzna.

– Ale data ich ważności dawno wyszła – nie ustępował Bohdan i zaczął się wycofywać, czując, że powinien jak najszybciej zakończyć rozmowę.

– Mam podejrzenia, że sprawa sięga Opery Narodowej w Warszawie – powiedział staruszek, wstając. Zgarnął z blatu swój wycinek i zaczął zbierać się do wyjścia.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego miałbym panu pomagać.

– Bo w ten proceder mogła być zamieszana Kazimiera z domu Pająk.

Wychodząc z samolotu, wciąż miał wyrzuty sumienia, że okłamał wnuka, z którym mieszkał pod jednym dachem od kilku tygodni. Nigdy wcześniej mu się to nie zdarzało. Odkąd adoptował młodego Davida w latach dziewięćdziesiątych, postawił na prawdę. Tym bardziej nie mógł się pozbyć ciężkiego kożucha poczucia winy. Po trzydniowym pobycie u siostry w Częstochowie ruszył do Warszawy, właściwie nie mając pojęcia, od czego zacząć. Miał tylko dwa dni, by rozwiązać zagadkę morderstwa Maja.

Od Kotowskiego otrzymał szczątkowe informacje, parę wycinków z gazet i wydruków z internetu. Wiedział, że Maj wyszedł z premiery *Straszego dworu* wstrząśnięty, a dwa dni później zniknął. Dopiero po kilku miesiącach przysłał kogoś, kto przekazał Romanowi, że udało mu się przedostać do Anglii i że spróbuje też go wyciągnąć.

Bohdan do umówionego telefonicznie spotkania z dyrektorem miał jeszcze ponad godzinę. Na rozgrzewkę postanowił więc przyjrzeć się operze. Z radością przyjął fakt, że przebycie drogi do celu autobusem od przejścia jej pieszo różni zaledwie pięć minut. Mimo podszytej jesiennym chłodem aury wybrał drugą opcję i już po dwóch kwadransach podziwiał wspaniałą architekturę budynku, który pochłonęła wojna, a który udało się odbudować zaledwie dwadzieścia lat po jej zakończeniu. Corazzi, a później Pniewski zadbali, by mimo swej masywności budynek tchnął lekkością. Rzędy jasnych kolumn cięły pionowo fasadę, zupełnie jakby tym nienamacalnym podziałem chciały dawkować oglądającym piękno. Patrząc na majestat budowli, Siwiaszczyk musiał przyznać, że mógł on przywracać nadzieję, tak brutalnie zdeptaną kamaszem wojny.

– Rozumiem, że interesuje się pan naszą inauguracją – rozpoczął mężczyzna, kiedy uprzejmościom stało się zadość. – Swoją drogą zaintrygował mnie pan tym telefonem. Opera brytyjska, angielskie archiwum, no, no.

Siwiejący dyrektor usiadł za biurkiem i spod czarnych brwi przyglądał się uważnie Bohdanowi, który czuł, że zasłona rozpostarta przed tym człowiekiem zaraz opadnie.

– Właściwie chodzi mi o osobę, która najprawdopodobniej pracowała przy premierze – powiedział ostrożnie Siwiaszczyk. – Nazywał się Wacław Maj.

– A mogę wiedzieć, dlaczego akurat ten człowiek?

– Sprawa jest dość delikatna i jestem zmuszony prosić o dyskrecję – odparł tajemniczo Bohdan, nie mogąc oderwać wzroku od intrygującego dołka w brodzie dyrektora. – Wacław Maj został zastrzelony w Bristolu...

– Co pan opowiada?! – przerwał mu mężczyzna i wyprostował się.

– W listopadzie siedemdziesiątego przed operą brytyjską – dokończył Siwiaszczyk.

– Ale co to ma wspólnego z nami? – zapytał dyrektor.

– Świadek twierdzi, że ma. Podobno Maj pracował przy *Strasznym dworze* jako krawiec, dekorator czy ktoś podobny, a po premierze zapadł się pod ziemię, by po paru miesiącach pojawić się w Anglii. Z tego, co wiem, był studentem na ASP.

– Byłbym mocno zdziwiony, gdyby dopuszczono jakiegoś studenta do takiej produkcji – mruknął mężczyzna i wyciągnął z leżącej na biurku teczki kilka kartek. Wertował je przez chwilę, mamrocząc coś pod nosem, aż wyjął tę, której, jak się wydawało, szukał. Omiótł wzrokiem wydrukowane na niej kolumny, a następnie położył papier przed Siwiaszczykiem.

- Niestety, nie ma w spisie pracowników żadnego Wacława Maja – pokręcił bezradnie głową.

- A Kotowski?

- Proszę sprawdzić – zachęcił.

Bohdan przyciągnął kartkę i przejrzał listę, ale nie znalazł Romana. Zdenerwował go brak postępów. Miał poczucie, że Kotowski wystawił go do wiatru, wysyłając tutaj.

- Wiem, że Maj w jakiś sposób był związany z operą i możliwe, że dlatego zginął.

- Przez operę? – zdziwił się dyrektor. – W tych murach rodzi się muzyka, a nie zbrodnia – odparł filozoficznie, wprawiając Bohdana w irytację. – Jeśli to panu w czymś pomoże, to proszę zatrzymać te materiały. To kopie tego, co udało mi się znaleźć.

Siwiaszczyk podziękował i wstał. Zanim złapał za klamkę, usłyszał:

- Wie pan co, przyszło mi jeszcze coś do głowy. Chyba znam człowieka, który mógłby panu pomóc – zerknął na nadgarstek, który opasywała bransoleta złotego zegarka. – Jest teraz w Ministerstwie Kultury, ale za pół godziny będzie z powrotem.

- Wspaniale – odparł bez entuzjazmu Siwiaszczyk.

- Oczywiście z zachowaniem dyskrecji – uśmiechnął się porozumiewawczo dyrektor. – Jeśli miałby pan ochotę zaczekać, to zapraszam do naszej galerii – zasugerował, nie zostawiając pola dla odmowy.

Z przyjemnością przechadzał się po wystawie. Był ciekaw, czy znajdzie wśród afiszów ten, o którym wspominał mu Kotowski – wielka premiera *Straszneho dworu* z 20 listopada 1965 roku. Roman Kotowski uważał, że stało się wtedy coś, co doprowadziło do śmierci jego przyjaciela, który w owym czasie był pomocnikiem krawca albo kimś takim. Siwiaszczyk zastanawiał się, jak wielką zbrodnię popełnił Maj, że dopadła go tysiąc mil od domu.

Spacerując wzdłuż białych ścian, wyłapywał znajome tytuły i nazwiska – *Odetta* w wykonaniu Modrzejewskiej, *Krakowiaci i Górale* z udziałem samego Wojciecha Bogusławskiego. Wreszcie dotarł do interesującego go plakatu. Studiował uważnie obsadę, ślizgając się wzrokiem po pożółkłym papierze. W Stefana wcielił się Paprocki, w Zbigniewa – Kossowski, w Hannę – Słonicka, a w Jadwigę – Szczepańska. Nazwiska niewiele mu mówiły. Może dlatego, że w latach sześćdziesiątych bardziej był skupiony na budowaniu kariery w częstochowskiej milicji niż na wydarzeniach kulturalnych kraju. Z końca sali dobiegł go dźwięk równych kroków. Odwrócił się w ich stronę.

- Podobno interesuje pana ta premiera – zagadnęła młoda kobieta w szarym kostiumie, podkreślając jej rubensowskie kształty. Przez ramię miała przewieszony warkocz w kolorze zachodzącego słońca, gruby niczym ogon żbika.

- Tak, bardzo ciekawy *event* – potwierdził Bohdan, w myślach ganiąc się, że miesza języki. – Niewątpliwie odbyła się z wielką pompą.

- Oczywiście. Otwarcie teatru po odbudowie było wydarzeniem epokowym. Cały świat o tym pisał.

Siwiaszczyk miał w pamięci kilka stron internetowych opisujących premierę, ale nie był przekonany, czy naprawdę cały glob zauważył otwarcie teatru za żelazną kurtyną. Zdawał

sobie oczywiście sprawę, że dla tamtych ludzi transmisja w NRD to właśnie był cały świat. Najwyraźniej jednak miał do czynienia z prawdziwą fanką teatru, której entuzjazm mógł mu się przydać. Przejornie wolał go nie gasić.

– Dyrektor powiedział mi, że jest pani pasjonatką historii opery.

– Moja babcia przyjaźniła się ze Słonicką – rozmówczyni wskazała na nazwisko kobiety grającej Hannę. Siwiaszczyk pojął podłoże zachwytu. – Babcia opowiadała, że nigdy wcześniej ani nigdy później nie widziała takiego rozmachu. Scenografia, stroje artystów, ach!

– Babcia była na widowni?

– No co pan? – skrzywiła się. – Tam zasiadali sami prominenci, łącznie z przedstawicielami Chin i Japonii. Babcia podglądała zza kulis. Opowiadała o niesamowitym przepychu.

– Czytałem, że podawano nawet czarny kawior.

– Tego akurat nie wiem – mruknęła. – Mogę zapytać, dlaczego to pana tak bardzo interesuje?

Bohdan się zawahał, ale nie zamierzał dzielić się prawdą.

– Moja zmarła żona kochała tę operę. Zbierała wszystkie informacje na jej temat, wie pani, imigracja odcisnęła na niej piętno. W jesieni życia podążam jej śladami – dodał nieco zbyt nostalgicznie.

– Rozumiem. Opera przenika przez polską historię od początków istnienia – mówiła lekko rozmarzona, co dodawało jej uroku. – Wiedział pan, że Wojciech Młynarski jest stryjecznym wnukiem Emila Młynarskiego, pierwszego dyrektora po pierwszej wojnie światowej?

– Nie wiedziałem – odparł Siwiaszczyk.

– Mogłabym pana zasypać ciekawostkami, ale jeśli chce pan się czegoś dowiedzieć o otwarciu w sześćdziesiątym piątym, to najlepiej poinformowaną osobą jest moja babcia.

– Bardzo chętnie.

– Jeśli ma pan teraz czas, to babcia siedzi w parku i karmi gołębie. Czeka na mnie. Za pół godziny kończę pracę, to pana przedstawię. Ona wszystko panu opowie.

Wyszli na plac przed teatrem. Kobieta miała na imię Bogna, studiowała zarządzanie w kulturze i zdobywała w teatrze praktykę u boku kierownictwa. Siwiaszczyk oszczędnie opowiedział jej o sobie, akcentując jedynie fakt, że przyjechał z Anglii. Zanim minęli linię drzew, mieli za sobą wstępną prezentację.

Słońce wychynęło zza chmur, podkreślając złotymi cieniami wciąż zielone oczy jesieni. W jednej z alejek dostrzegli siedzącą na ławce kobietę. Szaroniebieskie ptaki dziobały rzucane przez nią ziarno, przepychając się i gruchając głośno, ale stukot butów Bohdana sprawił, że rozpięchły się i odleciały. Słyszając o karmieniu gołębi, Siwiaszczyk spodziewał się osoby w zbliżonym do jego wieku i stopniu rozkładu. Tymczasem miał przed sobą Jane Fondę z długimi, zaplecionymi w srebrny warkocz włosami.

– Babciu, to jest Bohdan Siwiaszczyk, archiwista z Anglii – rozpoczęła Bogna.

– Bardzo mi miło – Bohdan ujął podaną mu przez kobietę dłoń i pocałował.

– Lordowskie maniery, proszę, proszę – skwitowała z uśmiechem Jane i dodała: – Barbara Piech.

– To ja się przejdę i wrócę później – wtrąciła nieśmiało młodsza z kobiet i się oddaliła.

– Co pana sprowadza do naszego smutnego kraju? – zapytała Barbara, gdy Bogna zniknęła za drzewami. – Czyżby tęsknota?

– Też – odparł wymijająco Siwiaszczyk. – Chciałem się dowiedzieć czegoś o premierze, która otwierała teatr w sześćdziesiątym piątym. Podobno miała pani okazję ją oglądać.

– Owszem – odparła Barbara i gestem wskazała Bohdanowi miejsce obok siebie. – Przepiękne wykonanie, przepych i kunszt pod każdym względem – rozmarzyła się.

– Czytałem – odparł i usiadł na brzegu ławki.

– Moja przyjaciółka nosiła nawet na premierze biżuterię od samego Mankielewiczca – pochwaliła się, ale widząc niepewność na twarzy Bohdana, dodała: – To najszlachetniejszy warszawski jubiler. W okresie międzywojennym każdy chciał mieć tę biżuterię.

– Teatr było stać na takie rekwizyty? – zdziwił się Bohdan.

– To było takie mrugnięcie okiem w stronę widowni, a w zasadzie do jednego z widzów, sowieckiego dygnitarza, który, namówiony przez dyrektora czy scenarzystę, zgodził się wypożyczyć diament. Duma go unosiła pięć centymetrów nad ziemią, że mógł się pochwalić swoim bogactwem. Podczas gdy nasz kraj... Tfu! – Barbara splunęła przed siebie w złości. – Moja przyjaciółka zaśpiewała wtedy nawet arię w czwartym akcie, która zwykle jest pomijana w całej operze, żeby ten bufon mógł podziwiać klejnot w świetle reflektorów.

– Czy mówi pani coś nazwisko Kotowski? Roman Kotowski.

– Nie, ale coś mi mówi, że nie chodzi o sentymentalną podróż, panie Siwiaszczyk. Dlaczego tak pana interesuje ta premiera?

Siwiaszczyk czuł, że dłużej nie może zwodzić kobiety. Po cichu liczył, że zostanie nagrodzony za swoją szczerość.

– W siedemdziesiątym *Straszny dwór* przetłumaczono na angielski i wystawiono w Bristolu. Byłem na tej premierze z... narzeczoną. Po przedstawieniu ktoś z zimną krwią zastrzelił pewnego człowieka. Nazywał się Waclaw Maj. Widziałem, jak umiera...

– To dlaczego pyta pan o Kotowskiego? – przerwała mu Barbara i rzuciła przed siebie garść ziaren.

– Bo to on zgłosił się do mnie po pomoc. Byli z Majem przyjaciółmi, którzy uciekli z kraju. Kotowski uważa, że za śmierć jego kolegi odpowiada ktoś, kto był związany z teatrem.

– A może to po prostu władza się upomniała o tego Maja? Musiał być dość bogaty, skoro udało mu się czmychnąć. Pomijając fakt, że podróże na Zachód były w tym czasie niemal niemożliwe, to w dodatku kosztowały majątek. Władza nie lubiła i nie lubi, jak im znikają towarysze z pieniędzmi – spojrzała na Siwiaszczyka z błyskiem w oku.

– Niech pani na mnie tak nie patrzy, wyjechałem już z paszportem bez ludowego dopisku, a także bez pieniędzy – dodał po chwili.

– Przejdźmy się – zaproponowała Barbara i wstała z gracją.

Szli w stronę Pałacu Kultury, łapiąc ostatnie promienie słońca. Gdy doszli do pomnika Nike, kobieta się odezwała:

– Na pana miejscu dowiedziałabym się, w jaki sposób obaj panowie wydostali się z kraju, bo mam ciche podejrzenie, że to nie pozostaje bez związku.

Szpieg?

Barbara nie odpowiedziała, wpatrzona w przebiegającą przez chodnik wiewiórkę. Siwiaszczyk miał przecucie, że kobieta nie mówi mu wszystkiego. Postanowił, że zada najbardziej nurtujące go pytanie:

- Czy znała pani Kazimierę Pająk?

- Nie kojarzę – pokręciła głową i przełożyła warkocz na plecy. – Długą ma pan tę listę nazwisk – dodała z przekąsem. – Ale...

Nagle tuż za nimi stanęła Bogna.

- Jeśli chodzi o nazwiska, to jedna z kasjerek ma niesamowitą pamięć – powiedziała, uśmiechając się szeroko. Barbara otaksowała ją zimnym spojrzeniem, jakby wnuczka prze-rwała jej ważną przemowę.

- Myśli pani, że mogłaby mnie z nią umówić?

- Wcale nie muszę umawiać – odparła, nie kryjąc entuzjazmu. – Proszę jutro podejść pod kasy i powołać się na mnie. Bogna Piech.

Siwiaszczyk pożegnał kobiety i poszedł do hotelu, od którego dzieliło go kolejne dwadzieścia minut spaceru. Listopad zdecydowanie łagodniej obszedł się w tym roku z Polską aniżeli z Anglią, która kilka dni temu żegnała go siekącym, marznącym deszczem.

Zarezerwował pokój w Ibisie, licząc na angielski standard, ale kiedy w swojej kwaterze nie znalazł ani czajnika, ani nawet porządnej szafy, stwierdził, że w wyścigu po gwiazdki przybytek utknął już na pierwszym pit stopie. Patrząc na prowizoryczny mebel, zdecydował, że wiekowa torba Polsportu od siostry musi wystarczyć. Za to nie mógł się pogodzić z tym, że wziął od Jasi grzałki, którą jeszcze tuż przed wyjściem usiłowała mu wcisnąć do kieszeni.

Dobrze byłoby napić się herbaty, pomyślał, przeżuując jedną z kanapek z pasztetem i ogórkiem kiszonym, które dostał na drogę. Z czułością i rozbawieniem pomyślał o siostrze, która, wręczając mu prowiant, dotknęła jego ramienia i powiedziała:

- Tam tego nie masz.

Włączył telewizor, by nie czuć pustki, jaka zwykle ogarnia człowieka, który drzwiami hotelowego pokoju odcina się od prawdziwego życia. Ustawił kanał informacyjny i ściszył do minimum, by słyszeć tylko szum, który wyprze poczucie samotności.

Usiadł na łóżku i wyciągnął z torby materiały, które otrzymał od Kotowskiego. Według nich Maj był krawcem w jednym z zakładów w Bristolu, a do przedstawienia zgłosił się jako wolontariusz, by pomagać przy strojach i dekoracjach. Siwiaszczyk rozprostował nogi na łóżku i myślami wrócił do rozmowy z Romanem.

- Skąd pan znał Maja? – zapytał Bohdan, kiedy obaj usiedli w hallu Centrum Historii.

- Poznaliśmy się w Harendzie na początku lat sześćdziesiątych. Wacław grywał tam na saksofonie.

- Zawodowo?

- Nie, mieli z kolegami z ASP amatorski zespół. Wacek był niewątpliwym multitalentem. Studiował wzornictwo, dostrzeżono go i już na trzecim roku zasilił szeregi krawców w Operze Narodowej, którzy mieli pracować przy premierze *Strasznego dworu*.

- Proszę opowiedzieć o tamtym wieczorze. Był pan w operze?

- Wacek mnie zaprosił, ale musiałem odmówić, bo akurat wypadła mi zmiana w pracy. Byłem piekarzem w Mountstevens.

- Poszedł więc sam?

- Wacek? Nigdy! - uśmiechnął się szczerze. - Zawsze był otoczony wianuszkami znajomych.

- A jednak zaprosił właśnie pana. Wie pan dlaczego?

- Po dziś dzień się zastanawiam. Może gdybym z nim poszedł, teraz siedzielibyśmy w parku i grali w szachy, które tak lubił.

- Może się czegoś bał?

- Nawet jeśli, to nigdy się z tym nie zdradził. W dzień przedstawienia wpadł do mnie pożyczony garnitur. Ćwierkał jak skowronek. Cały Wacek.

- Skąd się pan dowiedział o śmierci kolegi?

- Mieszkałem wtedy niedaleko uniwersytetu, więc przybiegł do mnie Bolek Malinowski, znajomy, który był w operze. Pamiętam, że byłem już w piżamie, bo miałem bardzo męczącą zmianę. Pobiegłem tak, jak stałem, zarzuciłem tylko płaszcz. Przedarliśmy się przez tłum. Wacek tam leżał. W kałuży krwi. A nad nim pan - Kotowski ciął zdania na małe kawałki, jakby miało to sprawić, że prawda, którą ze sobą niosły, stanie się łatwiejsza do udźwignięcia.

- Co mówili znajomi? Jak to się stało? - dopytywał Siwiaszczyk.

- Szli na końcu grupy wychodzącej z opery. Nagle usłyszeli, że ktoś za nimi biegnie, odwrócili się i zobaczyli mężczyznę w prochowcu. Padł strzał, a facet zniknął między budynkami. Wacek podobno nawet nie krzyknął. Po prostu osunął się na ziemię. Zbiegli się ludzie, a potem podobno zaraz przybiegł pan i próbował go ratować.

Leżąc w hotelowym łóżku, Siwiaszczyk odtworzył w pamięci tę scenę. Maj w agonii trzymał go za klapę garnituru i patrzył gasnącym spojrzeniem. Nagle poraziła go myśl, że wzrok konaącego był skierowany ponad jego ramię. Dokładnie w miejsce, gdzie stała Kazimiera.

Paski informacyjne zionęły czerwienią kolejnych sensacyjnych doniesień. Siwiaszczyk zerknął na zegar, który wskazywał osiemnastą z minutami. Zastanawiał się, czy to odpowiednia pora na telefon. Ostatecznie sięgnął do spodni po komórkę i wybrał z listy numer stacjonarny, mając nadzieję, że jest aktualny.

- Karol? - zapytał, gdy uzyskał połączenie. - To ja, Bohdan.

- Siwek? - zakrzyknął mężczyzna po drugiej stronie. - Rany boskie, chłopie, nie słyszałem cię sto lat.

- Dwadzieścia trzy - poprawił go Siwiaszczyk. - Co słyhać?

Czuł, że po takim czasie jest winien dawnemu koledze z pracy tę uprzejmość, choć inne pytania paliły go żywym ogniem.

- Byczę się na emeryturze - odparł Karol ze śmiechem. - A ty nadal w Anglii?

- Chwilowo w Polsce, ale generalnie na Wyspach.

- Jak w Polsce, to wpadnij na kielicha czy coś! - ekscytował się Karol.

- W naszym wieku to już prędeż na szklanekę dziurawca i raphacholin.

- Pitolisz, a nie solisz - obruszył się starszek. - Jeszcze niejednego szczawia byśmy przepili. To co, kiedy zaszczycisz mnie swoją obecnością?

– Teraz jestem w Warszawie, ale za parę dni wracam do Częstochowy, to zajrzę – Siwiaszczyk wziął głęboki oddech i dodał: – Słuchaj, Karol, mam sprawę.

– No wiadomo – odparł były policjant, ale nie było w tym grama wyrzutu.

– Pamiętasz moją Kazię?

– A kto by nie pamiętał? Piękna i mądra kobieta. Co z nią?

– Twoja Marysia się z nią przyjaźniła, razem studiowały w Warszawie. Czy znały tam kogoś o nazwisku Kotowski albo Maj? Marysia coś ci mówiła?

– Siwek, rany boskie, wyciągasz jakiegoś zbuka sprzed pięćdziesięciu lat i myślisz, że będę pamiętał?

– Wiem, chciałem tylko, żebyś spróbował sobie przypomnieć albo... – Bohdan zagrał zaważanie, choć doskonale wiedział, o co chce prosić. – Albo żebyś zerknął w archiwa.

– Interesują cię stare teczki? Będziesz się lustrował? – zaśmiał się Karol, ale Siwiaszczyk nie podjął żartu. – Dobra, uruchomię swoje kontakty. Będę potrzebował więcej szczegółów.

Bohdan zreferował mu wszystko, czego dowiedział się o obu mężczyznach, a także wyjaśnił, dlaczego tak go interesują. Im dłużej o nich mówił, tym silniej do jego świadomości przebijają się słowa Barbary Piech. Zabójstwo Wacława Maja naprawdę mogło być egzekucją, i to taką, która miała nieść wiadomość dla szerokiej grupy albo dla jednej, konkretnej osoby.

* * *

Spotkanie z kasjerką, mimo ogromnej serdeczności kobiety, nie przyniosło tak wielkiego kroku w śledztwie, jak się spodziewał. Wyszedł na korytarz opery lekko rozczarowany, po czym wolnym krokiem udał się w stronę schodów, studiując kartkę, którą otrzymał od uroczej sześćdziesięciolatki. Miał wrażenie, że odbija się od ścian jakiegoś labiryntu, ale szybko sobie przypomniał, że przecież tak wyglądała kiedyś jego praca, za którą jeszcze niedawno tęsknił.

Kiedy był na ostatnim stopniu, usłyszał za sobą dźwięczny głos:

– Panie Bohdanie, niech pan zaczeka.

Bogna zrównała się z nim i zapytała:

– Dowiedział się pan czegoś od kasjerki? Bardzo się z babcią tym ekscytujemy.

– Niestety, kolejny adres – westchnął Siwiaszczyk, który zdawał sobie sprawę, że jutro wieczorem będzie musiał wrócić do Częstochowy. – Wie pani, gdzie to jest?

– Tak. Trochę krążenia, ale jeśli pan chce, to mogę z panem pojechać. Czyj to adres?

– Osoby, która podobno pamięta wszystko z tamtego dnia – powtórzył słowa kasjerki, które usłyszał kilka minut wcześniej.

– To musi być ktoś z kulis – zaśmiała się Bogna.

– Tak, garderobiany – odparł Siwiaszczyk.

– Oni wiedzą wszystko. Tak jak babki z kas – dodała konspiracyjnie. – Postaram się urwać za godzinę i razem pojedziemy do pana Arnolda.

Bohdan pożegnał Bognę w zdecydowanie lepszym nastroju, który sprawił, że do głosu doszedł głód. Po wyjściu z gmachu rozejrzał się za jakąś jadłodajnią, ale obawiał się, że każda, która wabiła elegancką witryną, znajdowała się poza jego emeryckim budżetem. Skreślił w Bieleńską, do czego zachęcił go widok bloku, który przypominał mu Polskę taką, jaką zapamiętał,

choć był to obrazek zdecydowanie w odcieniach szarości. Wszedł do pierwszego lokalu, który łączył umiarkowany wystrój ze skromnym menu. W oczekiwaniu na posiłek przeglądał zawartość teczek od dyrektora opery, którą zabrał ze sobą. Jedno z czarno-białych zdjęć przedstawiało cały zespół na scenie, którą ozdabiał monstrualnej wielkości kosz kwiatów. Siwiaszczyk domyślał się, że dobrano je w barwach narodowych i z pewnością były to goździki spopularyzowane przez PRL niczym karp na Wigilię. Rozpoznał na nich przyjaciółkę Barbary Piech. Ale w całej tej scenerii czegoś mu brakowało.

O umówionej godzinie stanął się przed bocznymi drzwiami opery, z których po chwili wyszła Bogna. Droga do Arnolda Bukowskiego faktycznie była dość zawiła. Po trzeciej przesiadce Siwiaszczyk przestał liczyć przystanki.

Kiedy dotarli do niewielkiego bloku na skraju osiedla, szybko udało im się odnaleźć właściwą klatkę. Siwiaszczyk zdziwił się, że nie ma przy niej domofonu, ale widocznie wiedzę o bezpieczeństwie mieszkańcy uznali za zbędną. Wspięli się na pierwsze piętro i zapukali do drzwi opatrzonej staromodną mosiężną plakietką z nazwiskiem. Ku swojemu zaskoczeniu usłyszeli prośbę o wejście. Stanęli w niewielkim przedpokoju, od którego odchodziło tylko dwoje przeszklonych drzwi.

– Niech państwo wchodzi – zachęcił garderobiany. – Jestem w pokoju po lewej.

Ściągnęli buty i podążyli za głosem. Znaleźli się w niewielkim pomieszczeniu, które wyglądało jak jedna z sal muzeum teatru. Na komodach, w przeszklonych witrynach i na licznych półkach stały pamiątki i zdjęcia z przedstawień, wydarzeń. Siwiaszczyk pomyślał, że skąpany w sepii pokój przypomina mu bursztyn, w którym zatopiono miniony czas.

Arnold Bukowski siedział zamyślony na wózku inwalidzkim. Wyglądał niczym nobliwy posąg wyrzeźbiony w wosku przez popołudniowe słońce, które zaglądało przez osłonięte pożółkłą firanką okno. Usiedli na kanapie, którą im wskazał.

Siwiaszczyk nie musiał długo mówić, z czym przychodzi. Dyrektor opery właściwie przez telefon wszystko opowiedział za niego, kiedy zapowiadał wizytę byłego milicjanta.

– Doskonale pamiętam to przedstawienie i oczywiście Basię Walasek, która podkochiwała się w naszym oświeceniowcu i często gościła za kulisami – odezwał się lekko zachrypniętym głosem starego palacza.

– A ja myślałam, że babcia odwiedzała panią Słonicką – nagle urwała i zdziwiona spojrzała na staruszkę. – Walasek, a nie Piech?

– Wtedy nazywała się Walasek, ale po mężu mogła być Piech – zgodził się Bukowski.

– Babcia nigdy nie wyszła za mąż – powiedziała cicho Bogna, jakby zawstydzona i przejęta.

– A skoro jesteśmy przy pani Słonickiej – przerwał niezręczność Bohdan – podobno wokół jej arii urosło wiele kontrowersji.

– Nie wiem, czy można to nazwać kontrowersjami, ale operę wykonano niezwykle szczegółowo, nie pomijając żadnego fragmentu, co podobno znużyło publiczność. Zanim dyrektor Słowiński ostatecznie przystał na pomysł Jerzego Merunowicza, to znaczy reżysera opery, wiele osób wyrażało wątpliwości, ale ostatecznie wykonano całą ponad czterogodziną operę.

– A czy poza tym wydarzyło się coś szczególnego, coś, co mogło doprowadzić do śmierci młodego człowieka? – zapytał ostrożnie Siwiaszczyk.

– Wydarzyło się mnóstwo rzeczy, proszę pana, także tych przykrych. Na przykład podczas przemowy Jarosława Iwaszkiewicza nie padło nazwisko Szyfmana, dawnego dyrektora Teatru Polskiego, a gdy ten przemawiał, jakimś dziwnym trafem przestał działać mikrofon. Totalna katastrofa.

Siwiaszczyk notował wszystko w pamięci, ale jak dotąd żadne z wymienionych przez świadków zdarzeń nie składało mu się na motyw zamordowania Maja.

– Wiem, że interesuje pana pan Waclaw – odezwał się po chwili milczenia Arnold. – Jedyny Wacek, jaki kołaczę się po mojej dziurawej pamięci, to Raczyński, ale nie pamiętam, czym się u nas zajmował. Młody był, to pewnie i przystojny – staruszek zamyślił się na chwilę. – Pracował chyba przy strojach, bo często go widywałem, ale nie przypominę sobie. To chyba ten, który był dość blisko ze Strzeleckim, scenografem. Ech, głowa mnie zawodzi – westchnął ciężko.

– Świetnie pan sobie radzi – podrzuciła Bogna, dodając staruszkowi otuchy, a Siwiaszczyk wyciągnął z portfela zdjęcie, które dał mu Kotowski.

– Czy to ten człowiek? – pokazał fotografię Arnoldowi.

– Taaak, chyba ten, ale nie dam sobie ręki uciąć – staruszek wahał się, mrużąc oczy. – W każdym razie na otwarcie opery ściągnęli dziennikarze z całego świata, nawet z Urugwaju. Podobno miała być też Maria Callas, ale chyba zaniemogła, biedaczka.

– Chyba na fali tego sukcesu postanowiono przetłumaczyć operę na angielski i wystawić w Bristolu.

– Słyszałem coś, choć żelazna kurtyna była dość dźwiękoszczelna – uśmiechnął się blade Arnold. – Trochę jak moja pamięć.

– Bardzo nam pan pomógł – zapewniła łagodnie Bogna i Bohdan był gotów przyznać jej rację. Usłyszał coś, co wpasowywało się w obraz dawnych zdarzeń, ale jeszcze nie umiał tego uchwycić. Podziękowali Arnoldowi za poświęcony czas i wyszli do przedpokoju.

– Proszę zaczekać. Coś mi się jeszcze przypominało. Był pewien bardzo przykry incydent.

Bohdan i Bogna przestali zakładać buty i przyglądali się uważnie mężczyźnie, który wjechał wózkem.

– Po przedstawieniu do garderoby Słońskiej wpadł jakiś mężczyzna, szarpał ją i krzyczał po rosyjsku coś o diamentach. Prawie zdarł z niej ubrania w tym szale, a pokój wywrócił do góry nogami. Wybuchł skandal, bo podobno ktoś wypożyczył od niego klejnoty, żeby uświetnić występ, a one zniknęły. Późniejsze cztery przedstawienia odbyły się już z mniejszym rozмахem. Każdy był przygnębiony i podejrzliwy.

– A to nie była biżuteria od Mankielewicza? – dopytał zaciekawiony Siwiaszczyk.

– Zgadza się! Konkretnie brosza – Arnold sprawnym ruchem wyciągnął z boku wózka długopis i zestaw krzyżówek, na okładce których szybko narysował coś na kształt kwiatu z mnóstwem drobnych płatków. – O taka. A wiedział pan, że jego pracownia mieściła się właśnie w gmachu dawnego Teatru Polskiego? Pojawienie się tej biżuterii było niezwykle symboliczne.

– Ale co brosza polskiego jubilera robiła w rękach Sowietów? – zdziwiła się Bogna.

Bukowski z Siwiaszczykiem wymienili spojrzenia.

– Pytanie brzmi, jak ruscy zgodzili się wypożyczyć klejnot na patriotyczną operę.

* * *

Pokój hotelowy, pozbawiony dźwięku człapiących psich łap, zapachu krupniku i widoku zawieszonoego nad komputerem wnuka, wydał się Bohdanowi obcy i zimny. Dziwnie przygnębiony wszedł do środka. Na długim blacie pod oknem rozłożył zakupy, które zrobił w pobliskiej Żabce. Musiał się zadowolić mrożoną herbatą z butelki, choć żołądek domagał się czegoś ciepłego. Z niechęcią odkręcił zakrętkę i upił spory łyk. Zanim zdążył do reszty się zdemerować, zadzwonił telefon.

– Znalazłem tego twojego Kotowskiego – rozpoczął konkretnie Karol. – Był pod lupą służb jako że inżynier, a wtedy, jak wiesz, inteligencja z gruntu miała przesrane. Widywano go w klubach studenckich i chyba podejrzewano o działalność wywrotową, ale za rękę nigdy nie złapano – w słuchawce było słychać szelest kartek. – Często kręcił się koło niego jakiś Mankel. Jest tu jakaś niewyraźna notatka.

– Jak ten pisarz?

– No chyba – bąknął Karol. – Pewnie to jakiś pseudonim, może jakiś agent.

– Najpewniej, chociaż w latach sześćdziesiątych nikt jeszcze nie słyszał o Henningu. W każdym razie facet, o którego mi chodzi, nazywał się Waław Maj.

– Wiem. Majów mam kilku, ale żaden nie pasuje do twojego opisu. I od razu uprzedzę twoje pytanie: Kazi nie ma w papierach.

Siwiaszczyk podziękował i się rozłączył. Udział Kazimiery w morderstwie wydał mu się absurdalny, ale dźwięczał w zakamarkach umysłu niczym niedający się wyłączyć budzik.

Rozsiadł się na łóżku z trójkątną kanapką, która w smaku przypominała rozmoczoną tekturę, i włączył przeglądarkę internetową w telefonie. Wpisał pierwsze hasło, które wybrzmiewało mu w głowie, ale poza suchymi faktami z życia Michała Mankielewicz nie znalazł niczego ciekawego. W archiwach Allegro widział wykonaną przez jubilera papierośnicę, a w grafikach – kilka jego dzieł, które osiągały na światowych aukcjach ceny, jakie mogły skłonić kogoś do morderstwa. Przytłoczony czarnymi myślami postanowił zadzwonić do domu.

– O, dziadek! – ucieszył się wnuk. – Jak tam badania? Chyba masz już wyniki?

– Nie, jeszcze nie – odparł speszony własnym kłamstwem. – A co tam w domu?

– Radzimy sobie z Banditem całkiem nieźle, ale piecho strasznie za tobą tęskni.

– Najbardziej chyba za mortadela – roześmiał się Siwiaszczyk, ale po chwili uśmiech spęłzył mu z twarzy. Kolejny kwadrat mrocznej kostki Rubika właśnie wskoczył na swoje miejsce.

– Raczej za spacerami i Nielimitowanym głaskaniem – odparł z rozbawieniem wnuczek.

– Dobra, Dawidek, muszę kończyć – wszedł mu w słowo Bohdan. – Chciałem tylko sprawdzić, jak żyjecie.

– Wszystko gra? – zatroskał się młodszy z mężczyzn.

– Tak, jestem po prostu zmęczony. Ciotka Jaśka potrafi zagłaskać kotka na śmierć – wysilił się na śmiech, po czym się pożegnał.

Za oknami hotelu niepostrzeżenie zmrok przykrył miasto, choć dopiero minęła piąta. Siwiaszczyk pomyślał, że jeszcze nie jest za późno, by zadzwonić do Bogny, która na zakończenie wizyty u Bukowskiego dała mu swój numer.

– Pani Bogno, czy mógłbym rozmawiać z pani babcią? – zapytał, kiedy usłyszał w słuchawce głos kobiety.

– O, pan Bohdan – ucieszyła się. – Jasne, już daję.

Siwiaszczyk zorientował się, że kobieta przełączyła telefon w tryb głośnomówiący.

– Chodzi mi o broszkę, którą miała na sobie pani przyjaciółka. Czy wie pani może, skąd pomyślał na jej użycie w przedstawieniu?

– Jeśli mnie pamięć nie zawodzi, pomyśl wyszedł od scenarzysty. Pamiętam też, że Halinka nie chciała jej przypiąć, bała się, że zgubi albo uszkodzi.

– I ostatecznie tak się stało, bo brosza zniknęła.

– Tak, to było okropne. Zaraz po zakończeniu wszyscy sobie gratulowali, była wspaniała atmosfera. Dziesięć minut owacji na stojąco to nie byle co. A tu nagle wpadł ten ruski generał czy inny oficjel. Krzyczał, dopadł Halinki, a ona stała jak sparaliżowana, nawet się nie broniła – mówiła z przejęciem. – W końcu go odciągnęli.

– Była pani za kulisami. Z kim Słońska rozmawiała między zakończeniem przedstawienia a ukłonami i całą tą szopką z kwiatami? – zerknął na fotografię, którą dostał od dyrektora. Śpiewaczka na niej nie miała biżuterii.

– Nie mam pojęcia. Tam się przewijały setki ludzi. Jeśli znalazłaby chwilę na rozmowę, to ze mną, ale pamiętam, że nie zamieniłyśmy ani słowa. Halina dosłownie wpadła za kulisy, wzięła łyk wody i wybiegła ze wszystkimi na scenę.

– Musiał być ktoś, kto miał możliwość odpiąć diament i wynieść w całym tym zamieszaniu.

– Ruski szedł odebrać broszkę – wtrąciła się Bogna. – Nie mógł wiedzieć, że zniknęła, a jednak od razu przeszedł do rękoczynów. Dlaczego?

– Musiał się po drodze zorientować, że nie ma jej w garderobie. Jak?

– Widział z widowni, że Słońska już nie ma broszki, ale to o niczym nie świadczy. Założył, że klejnot został skradziony, choć operowa Hanna mogła go ściągnąć i odłożyć w bezpiecznym miejscu – snuł domysły Siwiaszczyk.

– Ale tego nie zrobiła, nie miałyby czasu – podsunęła Barbara.

– Najważniejsze pytanie: jak to się łączy z denatem? – Bohdan wziął do ręki zdjęcie z angielskiej gazety i wpatrywał się w leżącego na chodniku Wacława Maja.

– Mam nadzieję, że się pan dowie – usłyszał głos Bogny.

– Chyba już wiem.

Nie mogąc zapanować nad ekscytacją, pożegnał się z pracownicą opery, po czym rozłożył na łóżku wszystkie materiały od dyrektora. Tego wieczora wypowiedział jeszcze tylko dwa zadania:

– Panie Bukowski, będę potrzebował pana pamięci jeszcze raz.

Oraz:

– Karol, sprawdź mi jedno nazwisko.

Woking 2013

Wszedł do domu w doskonałym nastroju, który dodatkowo polepszył widok uśmiechniętej mordki szczeniaka. Musiał przyznać sam przed sobą, że stęsknił się za domem ze wszystkimi jego blaskami i cieniami – za codziennym gotowaniem, wszędzie walającą się sierścią, utarczkami z wnukiem, a przede wszystkim za rutyną, która cicho wystukiwała rytm dnia.

Po obiedzie przeprosił wnuka, wykręcając się zmęczeniem, i poszedł do swojego pokoju. Postawił walizkę koło łóżka i podszedł do szafy, jedno ze skrzydeł której od niepamiętnych czasów zastawiało krzesło. Trzymał tam rzeczy po Kazimierze – parę kartonów bibelotów, które za życia miały utrwać chwile, a po śmierci przypominać, jak ulotne one były. Bohdan odsunął stół i otworzył drzwi. Wiedział, czego i gdzie szukać.

Brodził w pamięci w poszukiwaniu momentu, w którym zdecydował o zostawieniu wszystkiego Kazimierze. To był dzień po bristolskiej premierze. Wrócili do Londynu, prawie się do siebie nie odzywając. Oboje zdawali sobie sprawę, że przyspawani do swoich miejsc nie są w stanie poruszyć się w żadną stronę. Wieczorem, gdy ich córka już spała, pożegnał się z niedoszlą żoną i wyszedł tylko z niewielką walizką, zostawiając bagaż, z którym przyjechał.

Dopiero po jej śmieci przekonał się, że Kazimiera zachowała wszystko. Łącznie z garniturem, który miał na sobie tego wieczora w Bristolu.

Bohdan wyciągnął jeden z kartonów i otworzył go. Dotknął wełnianego materiału, który jakimś sposobem oparł się molom. Patrząc na spoczywającą w swojej dłoni broszkę, wciąż nie mógł uwierzyć, że nie poczuł wsuwającej się do jego kieszeni dłoni Raczyńskiego. Mężczyzna musiał wierzyć, że to diament ściągnął na niego śmierć.

Siwiaszczyk przyglądał się biżuterii, której brakowało kilku kamieni. Znał powód ubytków. Raczyński kupił nimi wolność od Kazimiery.

Bohdan wsadził klejnot do kieszeni spodni i wyszedł z domu na umówione wcześniej spotkanie.

Kotowski czekał na niego w parku na jednej z niedawno odnowionych ławek. Gdy zobaczył Siwiaszczyka, uklonił się w milczeniu.

– Nigdy bym nie przypuszczał, że Basia była do tego zdolna – rozpoczął bez słowa powitania, gdy były policjant zajął miejsce obok.

– Najwyraźniej zламаł pan serce nieodpowiedniej kobiecie.

Roman spojrzał na Bohdana zaskoczony. Po chwili opuścił wzrok, poprawiając w zakłopotaniu kapelusz.

– Ale jak jej się to wszystko udało? – zapytał, nie kryjąc goryczy.

– Przekonała odpowiednich ludzi, że wie, gdzie jest klejnot, i że jest w stanie go odzyskać. Jako lojalna i dobra współpracownica zyskała zaufanie. Wiedziała też, że Wacław pojawi się w operze bristolskiej.

– Ale nie wiedziała, że Wacek będzie miał broszkę przy sobie – wyraził wątpliwość Roman.

– Bo ona w ogóle jej nie obchodziła.

– Nie rozumiem.

– Rozumie pan – Siwiaszczyk pokiwał wymownie głową.

– A pan? – zapytał gorzko, wbijając w Bohdana zmęczone spojrzenie. – A czy pan to rozumie?

– Wydaje mi się, że tak – mruknął Siwiaszczyk. – Panie Kotowski, obaj żyjemy wystarczająco długo, żeby się zorientować, że to naprawdę nie ma znaczenia. Najważniejsze, że są miłość, szacunek. A że między dwoma mężczyznami? Żeby świat miał tylko takie problemy.

– Wiedziałem, do kogo się udać – szepnął Kotowski w zamyśleniu.

Siwiaszczyk nie skomentował komplementu.

– W każdym razie to pan był tym inżynierem, oświetleniowcem, w którym kochała się Barbara Piech.

– Walasek – poprawił go Kotowski.

– Zmieniła nazwisko po pańskiej ucieczce – wyjaśnił Bohdan. – Chyba na złość.

– Na złość?

– Wnuk mnie natchnął, mówiąc o naszym piesku „piecho”. Tak mi się więc skojarzyło.

– Faktycznie – Kotowski uśmiechnął się blade i westchnął. – Kobiety...

Siwiaszczyk pokiwał w milczeniu głową, wciąż nie mogąc uwierzyć, że tak niewiele wiedział o Kazimierze, że nie skojarzył, że jej londyńskie mieszkanie i stroje były stanowczo za dobre jak na pracę tłumaczki, nawet jeśli założyć różowe okulary angielskiego kapitalizmu.

– Jak pan się domyślił? – zapytał Kotowski, przerywając przedłużającą się ciszę.

– Internet dopomógł – oznajmił szczerze. – Klejnot był charakterystyczny dzięki swemu twórcy, przyjrzałem się więc jubilerowi. W pierwszych tygodniach wojny prezydent Starzyński polecił, by otworzono warszawskie sklepy jak gdyby nigdy nic. Żona Mankielewicza zastosowała się do tego apelu i... zginęła od bomby zrzuconej na stolicę. Nazywała się Raczyńska, a Wacław był synem jej i „Mankiela”.

– Nigdy się z tym nie zdradził – szepnął Kotowski z zalem. – Tak jak i z prawdziwym nazwiskiem. Kiedy mieszkaliśmy w Warszawie, wszyscy mówili do niego „Maj”, a ja nie sprawdzałem. Tutaj też miał dokumenty wystawione na to nazwisko.

– Wiedział pan, że pana prześwietlają? – zapytał Siwiaszczyk, unikając komentarza na temat tajemnic Raczyńskiego.

– Dlatego uciekłem – wyznał bez emocji. – Bez Wacka by się nie udało. Usłyszał, że jest ktoś, kto pomaga w wydostaniu się z kraju.

– Potrzeba było tylko pieniędzy – dopowiedział Bohdan, starając się nie myśleć o Kazimierze, która umożliwiła rodakom ucieczkę do lepszego świata.

– Nie pieniędzy, ale kruszcu i kamieni – sprostował Roman.

– Więc Wacek wymyślił plan – snuł swoją opowieść Siwiaszczyk. – Wiedział, że jeden ruski ma skradzioną biżuterię Mankielewicza, może nawet go znał. Namówił więc scenarzystów do wykorzystania broszy ojca w spektaklu. Ruski na to poszedł, bo lubił takie szopki. Pół świata miało okazję oglądać brylant.

– Tylko że ja o niczym nie miałem pojęcia.

– Raczyński pana w ten sposób chronił, wiedział, że jest pan na celowniku służb. Stara zasada: mniej wiesz, krócej zeznajesz – Bohdan zaśmiał się bez wesołości i wyciągnął z kieszeni okaleczoną broszkę.

- Ale jak? – szepnął Kotowski zdumiony, przyglądając się biżuterii.
- Proszę nie pytać – odparł Siwiaszczyk, po czym wstał i skierował się do bramy parku.
- Oddam ją wnuczce – usłyszał za sobą.

Bohdan stanął jak wryty i odwrócił się. Spojrzał na wydruk ze strony internetowej, który uznał za zupełnie nieistotny, a który Roman trzymał teraz w wyciągniętej ręce. Były policjant dopiero teraz zauważył podobieństwo między Kotowskim a Piech.

- Wtedy jeszcze poszukiwałem siebie – wyjaśnił Roman.
- Najważniejsze, że pan znalazł.

Niektórzy wciąż jeszcze szukają, dodał w myślach.

Godzina 3.12

Nigdy nie widział martwego człowieka.

Kilkukrotnie przejeżdżał samochodem obok miejsca wypadku i owszem, wtedy zerkał w stronę pracujących tam służb. Nie gapił się. Nigdy się nie gapił. Wierzył, że zmarłym należy się szacunek, a wpatrywanie się w leżące na asfalcie ciało naszpikowane fragmentami karoserii, szkła i ulicznego brudu było czymś paskudnym. Niskim i podyktowanym chorobą ciekawością stanem, którego Michał nie potrafił zrozumieć. Uważał się za człowieka sztuki. Kogoś, komu nie przystoi gapienie się na martwą osobę razem z rozentuzjasmowanym tłumem. Wprawdzie do tej pory nie odkrył dziedziny, w której mógłby się spełniać, ale miał jeszcze czas. Dopiero skończył studia, a wielu artystów powołanie odkrywało znacznie później. Nie liczył na sławę, bo ta mogła nigdy nie nadejść.

Niektórzy zyskiwali ją dopiero po śmierci.

Michał nie porównywał się do Norwida, Lautreca czy van Gogha, ale kiedy spoglądał na fragment zaszuszonej skóry, który miał teraz przed sobą, trudno mu było myśleć o czymś innym. Próbował opanować oddech, ale przez ostatnie kilkanaście minut biegał po Teatrze Wielkim, próbując dogonić zjawę, która straszyla w murach tego budynku od kilkunastu lat. Z początku nie wierzył w słowa swojego przełożonego. Sądził, że ten chce nastraszyć świeżaka, który pracował w ochronie zaledwie od tygodnia. Teraz miał inne zdanie na temat słów Jacka, który uchodził wśród pracowników teatru za największego gawędziarza w historii. Wprawdzie Michała uprzedzano, by nie wierzył w każde jego słowo, ale miał przed sobą dowód, że przełożony jednak mówił prawdę.

Spoglądał na martwego człowieka.

– Co... – nie potrafił wykrztusić z siebie nic ambitniejszego. – Co...

Dalej był w szoku i wątpił, by ten stracił na swojej mocy w najbliższych godzinach, a może i dniach. Ciało Michała zastygło niemal w bezruchu. Jedynie klatka piersiowa rytmicznie unosiła się i opadała, kiedy próbował uspokoić oddech. Bezowocnie, ale tym nie zamierzał się przejmować. Przynajmniej nie teraz.

Zastanawiał się, co powinien zrobić.

Stał pośrodku jednego z wielu korytarzy, których nie zdążył nawet dokładnie poznać, a po ciemku dla niego wszystkie wyglądały niemal identycznie. Zdawało mu się, że znajduje się nie-

opodal mniejszego z warsztatów, gdzie zajmowano się przygotowywaniem rekwizytów potrzebnych na scenie. Był tego pewien na osiemdziesiąt procent, choć jeszcze do niedawna ze stuprocentową pewnością powiedziała, że duchów nie ma. Próbował zapamiętać rozkład całego Teatru Wielkiego, ale ten liczył sobie jakieś trzydzieści kilometrów korytarzy, przejść i zakamarków, do których dostęp mieli nieliczni. Michał nie był nawet pewien tego, czy on może wejść wszędzie. Zamierzał kiedyś to sprawdzić, ale po wydarzeniach dzisiejszej nocy wiele może się zmienić.

Mundur zaczynał lepić mu się do skóry, a za kilka minut będzie już w całości przesiąknięty potem, choć na korytarzu było maksymalnie osiemnaście stopni. Wyciągnął z kieszeni smartfon i spojrzął na ekran. Cyfrowy zegar informował go, że jest kwadrans po trzeciej w nocy. Godzina duchów, kiedy to świat materialny miesza się z tym niematerialnym. Spoglądając na martwe ciało, a raczej jego fragment, Michał nie mógł się skupić. Powinien zadzwonić na policję. Zamiast tego schował telefon na miejsce i poświęcił latarką na leżącą przed nim rzeźbę.

Teatralne rekwizyty z daleka wyglądały na prawdziwe. Tory kolejowe sprawiały wrażenie ciężkich i odlanych z metalu, a tymczasem zostały wykonane ze styropianu i odpowiednio pomalowane przez artystów. Łódki stojące pod ścianą podobnie, a żyrandole, które widział w sąsiednim pomieszczeniu, miały wykończony jedynie front, ponieważ tyłu nikt z widowni i tak nie oglądał. Wszystko w teatrze było grą z widzem, ale posąg jednego z greckich bogów, który przewrócił się na podłogę, był prawdziwy.

Częściowo.

Fragment głowy się odłupał, odsłaniając ciało znajdujące się wewnątrz rzeźby. Michał dostrzegał jedynie część kogoś, kto znajdował się pod warstwą cementu lub innego tworzywa, które posłużyło do jego zalania. Nie znał się na tych rzeczach i nigdy nie podejrzewał, że przyjdzie mu się nad tym zastanawiać. Robił wszystko, by za długo nie skupiać się na nieboszczyku. Wyszuszone twarz kontrastowała z szarą powierzchnią posągu i nawet dostrzegał podobieństwo między postaciami. Broda, wyraźnie zarysowane kości i spojrzenie, którego nie da się zapomnieć. On z pewnością nie będzie w stanie tego zrobić. Nie potrafił ocenić, ile lat ma martwy mężczyzna, ale wyglądał na takiego mocno po siedemdziesiątce.

Wyprostował się i sięgnął po walkie-talkie, które miał przyłączone do paska.

– Jacek – powiedział do mikrofonu. – Znalazłem coś.

Odczekał chwilę, ale nie usłyszał odpowiedzi. Michał przypomniał sobie, że jednym z elementów jego pracy było posuszne wykonywanie rozkazów przełożonego, który wyraźnie żartował sobie z żółtodzioba. Teraz nie było mu do śmiechu, ale musiał skontaktować się z szefem. Odwrócił się, by nie patrzeć na ciało, i raz jeszcze podjął próbę kontaktu z przełożonym.

– Gołąb do Jastrzębia, odbiór.

Michał nie wnikał w to, czemu dostał taki przydomek od Jacka, ani tym bardziej, dlaczego on sam kazał się tytułować Jastrzębiem. Jacek ważył dobrze ponad sto kilo, nosił wąs tak krzaczysty, że mógłby przechowywać w nim drugie śniadanie i zapewne tak robił, bo pachniał jak dział mięsny na targu w upalne lipcowe popołudnie. Za to o Teatrze Wielkim wiedział dosłownie wszystko. Udowodnił mu to dziś, robiąc wykład, którego Michał dalej nie potrafił do końca zrozumieć.

– Jastrząb zgłasza się – głos w walkie-talkie był lekko zniekształcony. – Odbiór.

– Jestem blisko rekwizytorni i... – zawahał się. – Znalazłem coś. Kogoś.

– Nie rozumiem. Gołąb, powtórz. Nie słyszę cię wyraźnie.

Wziął głęboki oddech i przyłożył walkie-talkie do ust.

– Znalazłem ciało – wyraźnie wyartykułował. – Zalane w posagu, chyba Zeusa, bo trzyma trójząb.

Kiedy czekał na odpowiedź, dotarło do niego, że prawą stroną ciała ma dziwnie zdrętwiałą. Przejechał dłonią po ramieniu i syknął z bólu. Kiedy gonił mężczyznę, tak skupił się na celu, że nie zauważył posagu. Walnął w niego z taką siłą, że przewrócił rzeźbę, a potem już niewiele pamiętał. Nie stracił przytomności, ale kiedy podniósł się z podłogi i otrząsał, poczuł się, jakby ktoś wymazał mu część mózgu. Dopiero teraz zaczynał myśleć logicznie i przypominać sobie słowa, które mówił mu przełożony, kiedy przyszedł dziś do pracy.

– Gołąb, powtórz. Przerzywa.

Spojrzał na urządzenie, a następnie na posag z ukrytym wewnątrz ciałem. Rozejrzał się po szerokim korytarzu i skierował światło latarki na rzeźby ustawione pod ścianą. Było ich znacznie więcej, a on do tej pory nie zwracał na nie najmniejszej uwagi. Imponował mu kunszt, z jakim zostały przygotowane, ale nic więcej. Kilkanaście postaci, które pokrywała gruba warstwa kurzu i pajęczyn. Traktował je dokładnie tak samo jak wszystko inne w teatrze. Kolejne przedmioty, które stały w losowych miejscach. Cieszył się, że nie musi zajmować się inwentaryzacją. Dopiero teraz zaczynało do niego docierać, że popełnił błąd.

Zaczynał rozumieć.

– Nic – odpowiedział po chwili. – Przepraszam, pomyliłem się. Nieważne.

– Gołąb, ty przestań się wygłupiać i kończ obchód.

– Oczywiście.

– Oczywiście co?

Westchnął.

– Oczywiście, Jastrząb. Bez odbioru.

Schował walkie-talkie do kieszeni spodni. Liczył, że Jacek nie będzie mu zawracał teraz głowy, a tym bardziej że nie najdzie go ochota, by przyjść mu z pomocą. Tego się nie spodziewał, ponieważ większość swoich dyżurów Jastrząb spędzał na ergonomicznym krześle, wpatrując się w kamery monitoringu. Ten nie obejmował całego terenu Teatru Wielkiego, więc należało niektóre miejsca sprawdzić osobiście i tutaj przydawał się młodszy, sprawniejszy członek zespołu. Michał wiedział, że kiedy tylko oddała się od ich służbówki, Jacek kieruje wzrok na inny monitor. Tam oglądał filmy i seriale, których w domu nie pozwalała mu włączać żona. Raz Michał przyłapał go na tym, jak ocierał łzę z policzka, kiedy skończył się seans *Pamiętnika*. Każdy z pracowników teatru był na swój sposób wrażliwy, a Jacek wcale się nie wyróżniał.

Michał rozmasował ramię i wsadził latarkę do ust. Obszedł pomnik, by znaleźć się przy jego głowie, a następnie kucnął i złapał go za ramiona. Pamiętał, żeby ciężkie rzeczy podnosić, wykorzystując siłę nóg, ale na niewiele mu się ta wiedza zdała. Rzeźba z ciałem ważyła zbyt dużo, by mógł ją sam podnieść.

– Cholera – rzucił niewyraźnie i niemal nie wypadła mu przez to latarka z ust.

Zacisnął mocniej zęby i spróbował raz jeszcze, ale posąg nawet nie drgnął. Michał mógł spędzić tutaj resztę nocy. Zamierzał poszukać czegoś do podważenia. Wtedy usłyszał kroki. Ciężkie, powolne i zwiastujące kłopoty. Wyprostował się, a następnie powoli odwrócił. Kilka metrów od niego stała postać, którą jeszcze niedawno próbował złapać. Wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna w ubraniu mocno nadgryzionym zębem czasu. Michał wpatrywał się w niego, a kiedy ten zaczął się zbliżać, otworzył szerzej usta, a latarka upadła na podłogę. Na korytarzu zrobiło się ciemno, a jedyne źródło światła, którym dysponował, toczyło się w stronę człowieka, który z każdą sekundą wydawał się coraz większy i większy.

Mężczyzna zatrzymał się i podniósł latarkę, która zatrzymała się na jego bucie. Do tej pory Michałowi wydawało się, że sam ma duże dłonie, ale kiedy zobaczył palce faceta, poczuł się malutki. Cała jego postać wyglądała jak wyciosana w kamieniu. Odebrał latarkę i czekał na dalszy rozwój wypadków. Może i był wysportowany, a czasem nawet chodził do siłowni, ale jeżeli zostanie zaatakowany, to skończy w szpitalu lub kostnicy. Wcześniej napędzała go adrenalina i nie przemyślał dobrze swojej decyzji o pościgu.

Nie miał pojęcia, ile czasu tak stali. Zdawało mu się, że minęły całe godziny. Mężczyzna zrobił kolejny krok i przesunął Michała na bok. Schylił się i złapał za posąg z jednej strony, a później podniósł głowę i zaczął się wpatrywać w ochroniarza. Chłopak złapał za drugą stronę rzeźby. Zeus wrócił do swojej pierwotnej pozycji, a Michał wiedział, że jego zasługa w tym była niewielka. Większość pracy wykonał człowiek, którego chciał złapać. Teraz zaczął on zbierać z podłogi fragmenty odłupanego posągu i przykładać je do miejsca, gdzie powinny się znajdować. Robił to z taką pieczołowitością, jaką można było zaobserwować na cmentarzach, kiedy najbliżsi troszczyli się o grób, ponieważ nic więcej im już nie zostało. Kiedy spoglądał na ten smutny spektakl, uświadomił sobie, że wie, z kim ma do czynienia.

Michał podniósł z ziemi jeden z fragmentów posągu i podał go mężczyźnie.

– W warsztacie powinni mieć masę szpachlową lub coś takiego – powiedział cicho. – Przytnijcie.

Nie uzyskał odpowiedzi, ale też na nią nie liczył. Dostał zaszczytu poznania kogoś, o kim w teatrze krążyły legendy. Widział jego zdjęcie na korytarzu przy stróżówce, a wszystko, co mówił mu przełożony, stało się teraz jasne. Nie wiedział, czy to etap inicjacji, czy może czysty przypadek. Nie miało to już żadnego znaczenia.

Teraz to zrozumiał.

Godzina 2.57

Nie potrafił pojąć, co się właściwie wydarzyło.

Dźwięki, które zwały go do linowni, jeszcze przed chwilą były tak wyraźne, że nie mógł sobie ich wmówić. Nocą budynki potrafią wydawać przedziwne odgłosy, które można albo zignorować, albo sprawdzić. Michał wybrał tę drugą opcję i powoli zaczynał żałować, że zwyciężyła w nim ciekawość, a nie lenistwo. Do swojej pracy podchodził tak jak do wszystkiego w życiu. Starał się dawać z siebie sto procent niezależnie od tego, co przyniesie mu przyszłość. Jeszcze niedawno chodził na studia i przygotowywał pracę dyplomową, która miała mu otwo-

rzyć drzwi do kariery. Nie miał wygórowanych wymagań, ale spodziewał się czegoś lepszego niż praca w ochronie.

Stojąc kilkadziesiąt metrów nad teatralną sceną i na podeście, który wydawał się o wiele mniej stabilny, niż przewidywały przepisy BHP, zaczął kwestionować swoje wybory życiowe. Potrzebował pieniędzy, więc zatrudnił się w miejscu, w którym miał choć trochę kontaktu ze sztuką. Ten ograniczał się teraz do patrolowania Teatru Wielkiego i miejsc, gdzie kamery nie miały wglądu. Linownia była jednym z takich miejsc.

Setki grubych lin podtrzymujących dekoracje i światła zwisały z sufitu, a on światłem latarki próbował zlokalizować źródło hałasu, który go tutaj przyciągnął. Przed chwilą wyraźnie słyszał głośne uderzenia i myślał, że to może któryś z pracowników teatru wyrabia nadgodziny. Potem uświadomił sobie, że do najbliższej premiery zostało kilka tygodni, więc nikt przy zdrowych zmysłach nie siedziałby w środku nocy i nie kończył pracy. Zmierzch sezonu rządził się swoimi prawami, a kolejny dzień był ustawowo wolny, więc tym bardziej nie powinien tutaj nikogo spotkać. Nie sądził również, że znalazłoby się tutaj cokolwiek, co dałoby się ukraść, a potem spieniężyć, ale musiał to sprawdzić. Wolał nie mieć wpisane w papierach, że na jego warcie dokonano kradzieży, a on to zignorował.

– Halo? – powiedział niepewnie. – Jest tu ktoś?

Skarcił się w myślach. Zachował się identycznie jak każda z postaci grających w podrzędnym horrorze, której jedyną rolą w filmie jest śmierć. Powinien siedzieć cicho i w ogóle się nie odzywać. Jacek trochę go nastraszył, że w murach budynku krążą duchy. Zjawy, które nie potrafią opuścić tego miejsca, ponieważ przez całe swoje życie były związane ze sztuką. Dobrze wiedział, że to jedna z miejskich legend, którą straszło się nowych pracowników.

Poświecił latarką na liny, ale nie dostrzegł tam niczego, a tym bardziej nikogo. Następnie wychylił się ostrożnie przez barierkę i spojrział w dół. Od sceny dzieliło go kilkanaście metrów, a upadek z tej wysokości z pewnością skończyłby się tragicznie. Wolał zbyt długo o tym nie myśleć. Prawie wypuścił z dłoni latarkę, kiedy odezwało się jego walkie-talkie. Ciche pobrzękiwanie przypominało sprzężenia w głośnikach. Jakby duchy próbowały się ze sobą porozumieć. Zapewne dałoby się to logicznie wytłumaczyć, ale Michał poczuł też powiew chłodnego powietrza na karku. Przeszedł go dreszcz.

– Uspokój się.

Mówienie do siebie miało działać kojąco. Usłyszał kiedyś o tym na jednych zajęciach, gdzie ćwiczyli improwizację, i do tej pory ta metoda faktycznie działała. Liczył, że i tym razem zda egzamin, ale miał ochotę rzucić wszystko, a potem wybiec z teatru. Wziął dwa głębokie oddechy i na moment zamknął oczy. To wystarczyło, by poczuł się lepiej. Powinien wrócić na swoją regularną trasę. Zakończyć obchód i spędzić resztę nocy, gapiąc się w pustkę. Obiecywał sobie, że będzie szukał nowego zajęcia, ale zawsze po powrocie do domu po prostu zasypiał na kanapie, a kiedy się budził, nie miał siły absolutnie na nic. Czasem sięgał jedynie po jakąś książkę, ale robił to coraz rzadziej. O wiele łatwiej było gapić się w ekran smartfona i przeglądać śmieszne obrazki, które nie bawiły już tak jak kiedyś. Trochę obawiał się tego, że jego życie już zawsze będzie tak wyglądać. Jakby zamienił się w słup soli, ale dalej pozostawał świadomy.

Odwrócił się i ruszył po kładce w stronę schodów. Maszerowanie po drewnianej powierzchni z początku mocno go stresowało, ale po kilku dniach zdołał się przyzwyczaić do

skrzypienia oraz trzasków, które wydawało z siebie wiekowe drewno. Wszystko, czego nie widziały oczy widzowni, wyglądało zupełnie inaczej, niż wcześniej to sobie wyobrażał. Klatki schodowe były niekiedy tak wąskie, że praktycznie ocierało się ramionami o ściany, a głowę należało mieć stale pochyloną, by w nic nie przyłożyć. Brakowało klimatyzacji, a szyby na wyższych piętrach trzymały się ram na słowo honoru. Na każdym kroku natykał się na przedmioty, które wyglądały na porzucone w połowie pracy. Czasem jakieś wiadro, kawałek sznura, a niekiedy nawet siekiery. Te ostatnie wprawdzie były zwykłymi rekwizytami, ale tutaj mógł się spodziewać wszystkiego. Ktoś o wiele mądrzejszy od niego powiedział kiedyś, że życie jest teatrem, i Michał powoli zaczynał to rozumieć.

Kiedy doszedł do stromych schodów prowadzących jeszcze wyżej, spojrzął na ich szczyt i przestał oddychać. Spoglądała na niego ciemna postać. Gapiła się na Michała, a on nie był w stanie powiedzieć, ile czasu skrywała się w ciemnościach. Powinien być tutaj sam. Ścisnął mocniej latarkę i ostrożnie podniósł ją do góry, by oświetlić nieproszonego gościa.

– Co tutaj robisz? – zapytał, kierując snop światła na mężczyzną. – Nie wolno tutaj wchodzić.

Facet nie odpowiadał. Górował nad Michałem nie tylko swoją pozycją, lecz także budową ciała. Wprawdzie Michał musiał wziąć pod uwagę perspektywę, ale mimo wszystko mężczyzna był zdecydowanie większy niż ci, których widywał w siłowni. A oni byli gigantyczni.

– Nie ruszaj się. Muszę to zgłosić.

Nie szkolono go na taką ewentualność. Prawdę mówiąc, niewiele pamiętał już z tego, co mówiono mu na weekendowym kursie, który musiał ukończyć, by dostać pracę. Ominął go też jeden zjazd, kiedy musiał pojawić się na ślubie przyjaciela, ale papier i tak dostał. Podstawowe zajęcia z obezwładniania napastnika pamiętał jak przez mgłę, ale wiedział, że wchodzenie po schodach byłoby błędem. Jedno kopnięcie, a on spadłby i złamał sobie rękę lub ominął kładkę, lądując na położonej kilka pięter niżej scenie. Żaden ze scenariuszy nie wydawał mu się atrakcyjny.

Złapał walkie-talkie, a wtedy mężczyzna szybko się odwrócił i zniknął mu z pola widzenia.

– Hej! – krzyknął za nim. – Stój!

Zadziałał instynktownie i zaczął wbiegać po schodach. Potknął się i niewiele brakowało, a rozbiłby sobie nos, ale w ostatniej chwili zamortyzował upadek rękoma. Coś trzasnęło w walkie-talkie, ale miał nadzieję, że urządzenie będzie dalej działać. Kiedy wdrapał się na szczyt schodów, przed sobą widział tylko wąski korytarz, a gdzieś z oddali dobiegały ciężkie kroki. Oświetlając sobie drogę latarką, Michał ruszył za tajemniczą postacią. Nie wiedział, co chce przez ten pościg osiągnąć, ale w końcu w jego życiu coś się działo. Poczł ekscytację, której mu tak bardzo brakowało.

Na końcu korytarza znajdowały się kolejne schody – tym razem prowadzące w dół. Nadal słyszał echo kroków, więc nie mógł się poddać. Przez kilka minut kluczył korytarzami i nie do końca wiedział, gdzie się właściwie znajduje. Podążał za dźwiękami podobnymi do tych, które zwały go do linowni kilka minut temu. Czuł się jak mysz w labiryncie, którą do celu prowadzi ledwo wyczuwalna woń sera. Michał dotarł do szerokiego i długiego na kilkanaście metrów korytarza, którego jedną część w całości wypełniała rozstawiona tam scenografia. Minął czarną łódkę, tuż obok niej stała wielka karoca. Zupełnie inny świat. Dostrzegł kilka skrzynek,

które z daleka wyglądały, jakby faktycznie zbito je z prawdziwego drewna, ale kiedy przejechał po nich palcami, wyczuł, że to pomalowany styropian.

Lataraka niewiele pomagała. Czuł, że gdzieś pomiędzy tymi wszystkimi przedziwnymi przedmiotami może się czaić mężczyzna, którego ściagał. Starał się poruszać bezszelestnie, co wcale nie należało do najłatwiejszych zadań. Każdemu krokowi towarzyszył jakiś dźwięk, tak jakby teatr chciał ostrzec mężczyznę, którego szukał, gdzie znajduje się ochroniarz. Przez moment Michałowi zdawało się, że ten stoi pod ścianą, ale kiedy skierował na nią snop światła, dostrzegł tylko zbiorowisko posągów. Postaci równie nieprawdziwych jak cała reszta scenografii. Już miał się wycofać, kiedy usłyszał głośnie szuranie dobiegające z przeciwnego końca korytarza. Tym razem nie zamierzał czekać ani tym bardziej się odzywać.

Ruszył biegiem w stronę źródła hałasu. Brzmiało to, jakby po podłodze przesuwano coś ciężkiego, czyli jednak chodziło o kradzież. Michał nie mógł do niej dopuścić. Miał szansę się wykazać i raz na zawsze skończyć z głupimi docinkami, które przy każdej okazji serwował mu szef. Biegł, nie patrząc pod nogi, ani tym bardziej nie przejmując się tym, że praktycznie nie widzi, co znajduje się przed nim.

Uderzył ramieniem w coś ciężkiego, a siła rozpędu była tak wielka, że obróciło go i wylądował tyłkiem na podłodze. Niewiele brakowało, a rzecz, w którą przywalił, upadłaby na niego. Sądząc po hałasie, którego narobił, obudziłyby trupa, a i sam pewnie by nim został. Odszukał latarkę, która wypadła mu z ręki przy zderzeniu, a następnie poświecił, by zobaczyć, na co właściwie wpadł.

Tego, co zobaczył, nie mógł się spodziewać.

Godzina 2.23

Przewidywalne, pomyślał.

Jego szef po raz kolejny stwierdził, że nie ma siły na zrobienie obchodu, więc to on będzie musiał udać się na spacer. Nawet mu to nie przeszkadzało, choć też wolałby zaznać odrobiny spokoju i po prostu coś obejrzeć. Miał kilka seriali do nadrobienia. I to pomimo tego, że znajomi już dawno zdradzili mu kilka rozwiązań fabularnych, których zdradzać nie powinni. Wybaczyl im to. Nie miał innego wyjścia, a seriale i tak zamierzał kiedyś dokończyć. Szczególnie ten o prawniku, który niespecjalnie przejmował się respektowaniem prawa. Michał nawet go rozumiał i uważał, że każdy żyjący w Polsce także. Tutaj nie dało się działać zgodnie z przepisami, bo te były niezrozumiałe, przestarzałe albo zdążyły się zmienić, zanim człowiek wykonał pierwszy ruch w urzędzie.

- Młody - warknął Jacek. - Czy ty mnie w ogóle słuchasz?
- Oczywiście - odparł Michał automatycznie. - Zamyśliłem się.
- Nie wyglądasz mi na myśliciela.

Mógł powiedzieć dokładnie to samo o swoim szefie, ale potrzebował pracy i wolał nie nadyręzać jego cierpliwości. Nie po raz kolejny. Dziś prawie spóźnił się na służbę, co zresztą zostało odnotowane w spojrzeniu Jacka, którym ten go obdarzył, kiedy Michał wbiegł zziajany do stróżówki. Facet nawet nie chciał słyszeć tego, co Michał miał mu do powiedzenia. Stwier-

dził, że nienawidzi wymówek, po czym dodał, że boli go kolano i nie zamierza ruszać się z krzesła przez najbliższe godziny.

– Zastanawiałem się, od której trasy dziś zacząć – dodał po chwili namysłu. – Ostatnio wystartowałem od...

– Ja ci powiem, dokąd masz iść – przerwał mu Jacek. – Trzeba sprawdzić każdy zakamarek.

– Wiem.

– Tobie się tylko wydaje, że wiesz.

Mężczyzna mocniej odchylił się na krzesło, które zaskrzypiało i było już na krawędzi swojej wytrzymałości. Jacek ważył zdecydowanie zbyt dużo jak na ochroniarza. Wprawdzie nikt nie spodziewał się tego, że nagle do Teatru Wielkiego wtargnie grupa terrorystów, a on zmieni się w Bruce'a Willisa, ale jakby wybuchł pożar, to wolałyby go stąd nie wyciągać na własnych barkach. Na szczęście prawdopodobieństwo czegoś takiego było znikome. Michał zdążył już poznać sporą część terenu, który przyszło mu patrolować, i był pod niemałym wrażeniem tego, jak nowoczesny sprzęt tutaj zainstalowano.

Budynek był częściowo monitorowany i wykorzystano do tego naprawdę dobre rozwiązania, a nie takie, gdzie na nagraniu można policzyć piksele gołym okiem. Do tego dochodziły jeszcze kurtyny przeciwogniowe i szereg zabezpieczeń przeciwpożarowych, wzmocnione szkło i zapewne wiele więcej rzeczy, o których Michał nie miał w ogóle pojęcia. Zastanawiało go, czemu zdecydowano się jeszcze na zwykłą ochronę. Wolał jednak nie mówić tego głośno, ponieważ potrzebował pracy.

– Słuchaj, młody – Jacek nachylił się w jego stronę. – Wiesz, jaki dziś dzień?

Michał dla pewności wyciągnął telefon z kieszeni spodni.

– Pierwszy maja – odpowiedział. – Dopiero się zaczął.

– Właśnie – uśmiechnął się. – Noc Walpurgii w pełni, jak to mówią u nas. Noc duchów.

Zastanawiał się, co mógłby odrzec, ale zdecydował się poczekać na rozwój sytuacji. Trochę przywykł już do gadulstwa swojego przełożonego.

– Widzę, że nie rozumiesz. Trzydziestego kwietnia świat ogarnia mrok, a święte ognie rozpalane po północy mają przywrócić Słońcu moc. Beltane.

– Beltane?

– Ognie Belenosa, boga płodności i słońca, który troszczył się o bydło. W Irlandii to było święto, które przeniosło się później na resztę świata, choć tutaj źródła różnie podają. U nas to noc Walpurgii.

Słuchał tego z coraz większym niedowierzaniem. Do tej pory uważał, że jego przełożony niekoniecznie ma wiedzę, którą mógłby się z kimś podzielić. Zapewne wiedział, jak się poprawnie kisi ogórki i marynuje mięso, ale nie o rzeczach związanych ze starymi wierzeniami. Michał nie chciał wyjść na człowieka, który jest zupełnie pozbawiony wiedzy.

– A to przypadkiem nie jest coś związanego z czarownicami?

– Częściowo tak, zależy kogo i gdzie spytasz – wyjaśnił. – Mamy górę Brocken w Niemczech, gdzie to Hela przewodziła obrzędom. No i w końcu Świętą Walpurgię, której szczątki rozwieziono po Europie, by czyniły cuda. Nie zapominajmy też o *Fauscie* Goethego. Piękną sztuką, widziałem ją w Łodzi i trochę się zainteresowałem tematem.

Słowa Jacka pokazały, że wiele jest prawdy w powiedzeniu, żeby nie oceniać książki po okładce.

– Chryste, ale masz minę – zaśmiał się. – Jak przesiadysz tutaj tyle co ja, to wchłoniesz wiedzę przez skórę.

– Raczej nie będę tutaj zbyt długo – wypalił Michał. – Znaczy...

– Rozumiem. Wielu tak myślało przez tobą, ale ten teatr pochłania ludzi.

– Co robisz?

– Pochłania. Wciąża. Jak na człowieka po studiach masz wyjątkowo ubogie słownictwo.

Poczuł, jak policzki robią mu się cieplejsze, i wcale nie było to spowodowane niedawnym biegiem. Najlepiej byłoby, gdyby w ogóle zamilkł i po prostu słuchał tego, co szef ma mu do powiedzenia. Odbębni swoje, pójdzie na obchód, a później wróci do domu, żeby odespać, i zacznie szukać nowej roboty. Wprawdzie obiecywał to sobie od pierwszego dnia, ale do tej pory mu się to nie udało. Miał czas.

– Wiem, co oznacza to słowo – odparł. – Tylko nie wiem, o co ci chodzi.

– Jak sądzisz, ile żyją baletnice?

Pytanie zupełnie zabiło mu ćwieka.

– Znaczy, co? Średnia wieku?

– Nie. Ile żyją baletnice?

– To głupie. Nie mam pojęcia – odpowiedział zgodnie z prawdą. – Tyle co wszyscy inni? Pewnie do siedemdziesiątki, może osiemdziesiątki dociągają.

Obserwował twarz Jacka. Liczył na to, że zobaczy na niej jakieś zmiany, które pomogą mu zrozumieć, o co właściwie chodzi. Jednak przełożony zamienił się w posąg. Nawet brew mu nie drgnęła, a Michał zaczął się nawet zastanawiać, czy facet dalej oddycha.

– Średnio trzydzieści pięć lat – powiedział, wypuszczając z siebie powietrze. – Niektóre dociągają do czterdziestki.

– Chyba żart...

– Wyobraź sobie, że nie masz dzieciństwa – nie pozwolił mu dokończyć. – Od dziecka twoim głównym zajęciem jest taniec. Uczysz się w domu, ale tylko tyle, by przejść przez egzaminy, bo większość czasu spędzasz na sali. Każdego dnia, każdego roku i modlisz się o to, by nie przydarzyła ci się kontuzja przy czymś tak banalnym jak *chassé*. Skręcona kostka dla nas to niedogodność, dla baletnicy początek końca.

Słuchając go, Michał czuł, że Jacek mówi o kimś, kogo znał. To nie była wiedza teoretyczna, jak w przypadku wykładu u duchach. Szef wspominał.

– Jak masz szczęście, składają cię i wrócisz na scenę – kontynuował po chwilowym zamyśleniu. – Tylko to i tak nie ma znaczenia, kiedy już przekraczasz trzydziestkę. Czujesz pod skórą, że każdy kolejny występ i wyjście na scenę zbliżają cię do końca kariery. Przychodzą młodsze, zwinniejsze i z kostkami, które nie puchną po każdym przedstawieniu. Odliczasz dni, kiedy będziesz mógł odwieść na kolek baletki i... I koniec. Umierasz.

– No ale to nie jest fizyczna śmierć – zauważył Michał. – Wielu artystów kończy karierę w podobnym wieku.

– I co robisz dalej?

Wzruszył ramionami. Nigdy się nad tym nie zastanawiał. On też chciał związać się ze sztuką, ale nie miał jeszcze sprecyzowanych planów. Wolał się nie ograniczać. Pociągały go malarstwo, a nawet rzeźba, ale tutaj nieliczni potrafili zarobić na chleb. Chciał robić coś, co pozwoli mu pracować dłużej niż do trzydziestego któregoś roku życia i może raz do roku wyjechać na wakacje inne niż do ciotki na wieś, gdzie wprawdzie nie płacił za nocleg, ale jednak pomagał przy pracach domowych.

– Artyści mają ograniczone możliwości – odpowiedział. – Baletnice mogą zostać choreografkami, ale świat ma już zbyt wielu choreografów, by każdy znalazł dla siebie zajęcie. Można prowadzić jakieś zajęcia z tańca i wciskać rodzicom dzieciaków bajki o tym, że ich pociechy z wyraźną nadwagą radzą sobie wyśmienie. Do tego to akurat trzeba mieć cholernie silną psychikę i nie każdy to potrafi. W pewnym momencie po prostu zaczyna brakować ci tańca. Sali i tego zmęczenia, które niemal posyła cię na ziemię, ale ty się nie poddajesz. Nie możesz. Wstajesz i tańczysz dalej, choć w butach czujesz krew. To wszystko znika, kiedy się starzejesz. Wiek odbiera ci wszystko i robi to bardzo szybko.

Jacek spojrział na monitory, na których wyświetlał się obraz z kamer. Szczególną uwagę skupił na tej, która pokazywała korytarz przed salą do ćwiczeń z baletu. Wpatrywał się w nieruchomy obraz, jakby liczył na to, że zaraz kogoś tam zobaczy.

– Nie każdy to wytrzymuje – dodał po chwili. – Tracisz wszystko i nie da się z tym łatwo pogodzić. Nic nie jest w stanie cię przygotować na to, że obserwujesz, jak twoje życie powoli przestaje mieć znaczenie. I ty nic nie możesz na to poradzić.

– Kiepska perspektywa – powiedział Michał tylko po to, by przerwać ciszę, która nastąpiła po ostatnich słowach.

– Niektórzy zostają w teatrze.

– Znaczą coś? Pracują tutaj dalej?

Przytaknął.

– Pani Monika z księgowości, pewnie ją poznałeś, tańczyła w balecie w latach dziewięćdziesiątych razem z moją...

Przeczuwał, że słowa Jacka zmierzają w kierunku, którego on sam nie chciał obierać. Michał dał mu czas. Zaczął rozglądać się po stróżówce, gdzie poza zestawem ekranów nie było wiele przestrzeni. Na biurku stało zdjęcie, na którym o kilkanaście lat młodszy Jacek obejmował jedną z tancerek teatru. Michał nigdy wcześniej nie przywiązywał wagi do tej fotografii, która nie wydawała mu się niczym nadzwyczajnym. Zwykłym pamiątkowym zdjęciem z artystką, której chłopak nawet nie znał. Zastanawiał się, czy powinien o nią zapytać, ale stwierdził, że aż tak dobrze się nie znają z Jackiem, by poruszać ten temat.

– Jest ich więcej – odezwał się Jacek, kiedy cisza zaczęła się niebezpiecznie przedłużać. – Marek, który zajmuje się hydrauliką i jest naszą złotą rączką, stał kiedyś na głównej scenie. Agnieszka, która prowadzi bufet, też tańczyła, a w administracji aż roi się od ludzi, którzy żyli kiedyś dla sztuki.

– Brzmisz tak, jakbyś chciał mnie odwieść od zajęcia się czymś artystycznym.

– Boże chroń – obruszył się przełożony. – Bez sztuki nie ma życia. Chciałbyś pracować na roli od świtu do nocy, a potem po prostu umrzeć, wykopując ziemniaki z suchej gleby? Gdzie

tu jakakolwiek poezja? Jeżeli życie ma jakiegokolwiek znaczenie i sens, to artyści pozwalają je zobaczyć. Szkoda, że mało kto to docenia.

– Aż tak źle chyba nie jest – zauważył Michał. – Jak startuje nowy sezon, to ustawiają się tutaj do kas kolejki. Tak mi przynajmniej mówiono.

– Prawda, ale co to zmienia dla tych, którzy już odeszli? Których odarto ze sztuki?

Michał podniósł się z krzesła i poprawił pasek przy mundurze.

– Ta dyskusja chyba mnie przerasta – powiedział, sięgając po latarkę leżącą na biurku. – Powinienem iść na ten obchód.

– Niektórzy nie potrafią żyć z dala od tego wszystkiego. Rozumiesz?

– No właśnie nie bardzo.

– Teatr, taniec, malarstwo i wszystko to, co przydaje światu kolorów, potrafi również zabić – doprecyzował Jacek. – Odbierz to artystom, a oszaleją. Może nie od razu i może nie wszyscy, ale ci najbardziej wrażliwi tak. Niektórzy nigdy nie opuszczają tego miejsca.

Zrobiło się naprawdę zbyt filozoficznie, by Michał dalej tego słuchał. Owszem, zdarzało mu się prowadzić poważne rozmowy ze znajomymi, ale te zazwyczaj odbywały się w kuchni jakiegoś mieszkania, gdzie właśnie był na imprezie i gdzie powoli kończyła się wódka. Wtedy wszyscy chcieli rozmawiać o życiu, zmianach i o tym, jak wiele zamierzają jeszcze zdziałać. Niektórzy zapędzali się w zupełnie inne rejony, twierdząc, że ludzkość jest już stracona. A wszyscy, jak jeden mąż, rano, kiedy zdążyli choć częściowo wytrzeźwieć, wracali do rzeczywistości. Jacek wyraźnie nie chciał, a on nie zamierzał dać się wciągnąć w bezowocną dyskusję. Obawiał się, że ta doprowadzi do wymiany zdań, która nie skończy się dla niego dobrze.

– Jak wrócisz z obchodu, to porozmawiamy – powiedział szef, poprawiając pozycję na krześle. – Może nawet opowiem ci o Antonim Rozeckim.

Michałowi coś mówiło to nazwisko.

– Zabił się w osiemdziesiątym czwartym, kiedy wysłano go na przymusową emeryturę – dodał Jacek. – Rzucił się z linowni wprost na scenę. Niektórzy mówią, że dalej można go spotkać w murach budynku. Zresztą nie on jeden oddał życie z powodu sztuki i dla niej samej. Jest ich tu więcej. Dużo więcej. Uważaj na siebie, jak tam będziesz.

– Próbujesz mnie nastraszyć? – parsknął chłopak. – Najpierw ta noc duchów, a teraz to? Nie mam pięciu lat i aż tak łatwowierny nie jestem.

– Zrozumiesz. Ci, którzy to robią, zostają tutaj na zawsze.

– Niech ci będzie – odparł, licząc, że to zakończy rozmowę. – Idę.

Poprawił mundur, który już zaczynał lepić mu się do ciała. Nie miał pojęcia, z czego go wykonano, ale kiedy pierwszy raz go założył, odniósł wrażenie, że ubrał się w nieprzepuszczającą powietrza plastik. Pocieszało go to, że jeszcze nie było aż tak gorąco, choć na wyższych kondygnacjach budynku robiło się nieprzyjemnie duszno. Nawet kiedy na zewnątrz temperatura oscylowała w okolicy piętnastu stopni Celsjusza, Michał czuł się tam jak na plaży w pełnym słońcu. Chciał mieć obchód jak najszybciej za sobą.

Kiwnął głową szefowi i ruszył w stronę głównego korytarza.

– Pamiętaj, jak coś się wydarzy, zgłaszaj od razu – rzucił Jacek, sięgając po stojącą na biurku szklankę z herbatą. – Tylko zachowaj odpowiedni kod.

- Naprawdę musimy to dalej robić?
- Gołąb, nie testuj mojej cierpliwości.
- Tak jest.

Powinien jeszcze zaszalutować przełożonemu, ale się powstrzymał. Wewnątrz stróżówki i tak niebawem zaczęłoby iskrzyć, a on nie zamierzał przykładać do tego ręki. Był już gotów do pracy, ale jego uwagę przykuły zdjęcia powieszzone na ścianie. Podobnie jak to, które dostrzegł na biurku Jacka, te również przedstawiały jego szefa z teatralnymi artystami. Jacek stał wśród muzyków i aktorów, którzy czule go obejmowali. Michał czuł, że mężczyzna odgrywa tutaj o wiele ważniejszą rolę, niż wcześniej zakładał. Spoglądał na twarze, których w ogóle nie kojarzył. Obiecywał sobie, że mocniej wgrzyzie się w historię Teatru Wielkiego i pozna przynajmniej część aktorów, którzy pojawiali się na scenie. Do tej pory jakoś nie miał okazji, by to zrobić.

Wśród postaci jedna wyróżniała się szczególnie. Mężczyzna górował nad resztą obsady i nawet na zdjęciach zdawało się, że ma przynajmniej dwa metry wzrostu, a jego wagi Michał nawet nie chciał zgadywać. Nie ośmieliłby się powiedzieć o nim, że był gruby czy napakowany. Wyglądał jak człowiek zbudowany z kamienia i gotowy skruszyć wszystko, co stanie mu na drodze, a przy tym uśmiechał się tak ciepło, że chciało mu się zdradzić swój największy sekret. Chłopak spojrzał na podpis pod zdjęciem.

Antoni Rozecki.

Nie wyobrażał sobie, żeby taki człowiek mógł popełnić samobójstwo, bo musiał przejść na emeryturę. Prędzej widziałby go jako scenografa, który na swoich barkach przenosi elementy normalnie przewożone wózkiem widłowym. Widocznie sztuka potrafiła złamać nawet najtwardszych.

Obchód sam się nie robi, pomyślał.

Ruszył.

Godzina 1.53

Zatrzymał się, by złapać oddech.

Autobus spóźnił się o kilka minut, a potem jeszcze trafiali na każde czerwone światło, jakie znajdowało się na skrzyżowaniach ich trasy przejazdu. Kiedy Michał wyskoczył na swoim przystanku, wiedział, że ma jeszcze szanse zdążyć na czas do pracy. Niewielkie, ale zawsze. Będzie musiał wprawdzie kawałek podbiec, ale odległość od przystanku do budynku była na szczęście na tyle mała, że nie powinien się nawet zmęczyć. Poprawił plecak i ruszył w stronę gmachu Teatru Wielkiego. Miasto w większości już spało, choć gdzieś z daleka dobiegały jeszcze odgłosy zabawy i pijackich burd. On skupił się na celu, który miał już w zasięgu wzroku. Niewiele brakowało, a skręciłby sobie kostkę na parkingu przed budynkiem. W ostatniej chwili utrzymał równowagę, ale musiał się zatrzymać. Spojrzał na zegarek w telefonie i stwierdził, że będzie na czas. Zmęczył się bardziej, niż zakładał, a to oznaczało, że chyba przyda się odnowić karnet do siłowni.

Podniósł głowę i spojrzał na Kwadrygę Apollina.

Gigantyczna rzeźba górowała nad całym budynkiem, a Michał miał wrażenie, że i nad miastem. Bóg i patron sztuki przewodził czterem koniom, które wyrwały się w różnych kierunkach. Nawet z poziomu gruntu wyglądało to niesamowicie, a on miał, jako jeden z nielicznych, możliwość zobaczenia tego z bliska. Praca ochroniarza dawała mu przywileje, o których inni mogli tylko pomarzyć. Odwiedzał miejsca niedostępne dla widzów, a nawet takie, do których i część pracowników Teatru Wielkiego nigdy nie zagłędała. Nie mieli wszak powodu, by schodzić do podziemi, gdzie przesuwano gigantyczne dekoracje czy składowano rzeczy, które zostaną wykorzystane o wiele później lub nigdy. Niektórzy nie mieli nawet dostępu do wielu magazynów, w których przechowywano stare ubrania wykorzystywane w przedstawieniach. Michał widział kostiumy, które po zakończonym spektaklu odwieszano i które tak trwały przez całe lata, a niekiedy i dekady. Pół miasta mogłoby się tam ubierać, gdyby tylko miało do tego dostęp. Czuł się wyróżniony, choć niechętnie mówił znajomym o tym, gdzie pracuje, a raczej jako kto.

„Ochroniarz” może i brzmi dumnie, ale nie w sytuacji, kiedy cały czas spędza się na powolnym maszerowaniu po pustym budynku, a twoim jedynym towarzyszem jest przełożony, z którym nie macie wspólnych tematów. Michał musiał coś zmienić w swoim życiu i codziennie obiecywał sobie, że to zrobi, ale kolejne dni mijały, a on nie robił nic. Odkąd pamiętał, pociągało go artystyczne życie. Wyobrażał sobie, że w całości pochłania go tworzenie. Nie wiedział tylko, co takiego miałby robić. Liczył, że studia mu w tym pomogą, ale nawet kiedy je skończył, dalej nie poczuł tego mitycznego *czegoś*.

Otarł krople potu z czoła i raz jeszcze spojrzął na Apolla.

Zdawało mu się, że przy rzeźbie ktoś stoi. Jakaś ciemna i duża istota skryta między postaciami boga a jednym z koni. Zmrużył oczy, ale niewiele to pomogło. Kilka razy mrugnął, aż postać w końcu zniknęła. Musiało mu się coś przywidzieć ze zmęczenia. Praca na nocy go wykańczała, a w najbliższej przyszłości nie zanosilo się na zmiany w tej materii. Cierpliwie czekał na swoje powołanie i chwilę, gdy jego życie się odmieni. Wierzył, że to nastąpi, bo przecież życie musi być czymś więcej niż tylko płaceniem rachunków, a potem śmiercią. Kurczowo trzymał się tej myśli, ruszając w stronę budynku.

Każdego dnia zdarzają się cuda, pomyślał.

Ktoś wygrywa na loterii, a ktoś inny znajduje miłość swojego życia, idąc po bułki do sklepu. Michała takie wydarzenia omijały szerokim łukiem. Miał nadzieję, że kiedyś i jego świat zupełnie się zmieni, a on zrozumie, co jest dla niego naprawdę ważne. Podszedł do boczných drzwi i złapał za złoconą klamkę. Zamknął oczy, uspokoił oddech i pomyślał życzenie.

Chciał zrozumieć to, co ważne.

I zobaczyć coś, czego jeszcze nie widział.

JOANNA JODEŁKA

ZABŁAKANA

Akt I

#ViolettaV

Lim: Viola chyba znowu zaćpana... Czy ktoś jeszcze uważa ją za celebrytkę?

Uczciwa: Wygląda jak koń. Stara baba. Dlaczego wciąż o niej piszecie? Tematy się wam skończyły?

Karmel: Chciałbym w jej wieku tak wyglądać! Dlaczego wszystko tak hejtujecie? Kobieta ma prawie czterdzieści lat. Ja siedzę w domu, a ona ciągle się bawi. I cudna ta stylizacja.

Oso: Zazdroszczę jej tylko zdrowia, show-biznes oddycha alkoholem i kaszą manną, ciężko się od tego uwolnić.

Kicia: Imprezowa lala. Znana tylko z tego, że znana. A ten jej nowy facet to jakiś gangster, zamieszany w narkotyki.

Osoba: Przynajmniej ma za darmo

Lolo: Za jakie darmo, po gębie widać, co robi

Punia: Chyba za bardzo się ostzykuje

Gość: Takie Venus to na dworcach stoją

Pikus: Wygląda świetnie. Ma to coś mimo wieku. Za takimi to i młodzi faceci szaleją. Wyluzowana. Ciało ma lepsze niż nasze nastoletnie ciało pozytywne.

Luiza: Do piachu z nią

Kolejka przed modnym klubem wygląda tak, jakby się nie kończyła. Bramkarze w garniturach wydają się nieczuli na utyskujące młode dziewczyny. Te wiele by dały, aby dostać się do środka, ale tylko przebierają długimi nogami w przykrótkich sukienkach. Próbują ustać na wysokich obcasach. Przed klub podjeżdża długa limuzyna. Z auta wylewa się grupka rozba-wionych ludzi. Dwie kobiety i mężczyźni. Nie zwracają uwagi na kolejkę, kierują się wprost do wejścia. Oczekujący się ożywiają. Wyciągają telefony, próbują podejść do nowo przybyłych. Bramkarze bez pardonowo zagradzają im drogę. Z obojętnymi minami przepuszczają znane im postacie.

Ta, na którą patrzą wszyscy, to Violetta znana jako ViolettaV. Kobieta odwraca głowę od wyciągniętych w jej kierunku telefonów. Ma na sobie opinającą ciało srebrną sukienkę z dekoltem do pasa i małą złotą torebkę na długim łańcuszku. Zasłania twarz falami niedbale spływających blond włosów. Jej towarzystwo również jest doskonale ubrane. Stroje i akcesoria z najnowszych kolekcji. Dziewczyny wyginające nogi na tanich szpilkach aż piszczą z wrażeń. Pragną, by Violetta się odwróciła, ale ona znika w drzwiach klubu. Po chwili cała kolejka przegląda zdjęcia w swoich telefonach. Może chociaż udało się uchwycić fragment gołych pleców z wytatuowanym białym kwiatem kamelii? Wtedy będzie wiadomo, że to ona, widziana na własne oczy. Niektóre mają szczęście. Podziwiają w zachwycie. Za chwilę się krzywią, krytykując wiek, wygląd, zachowanie.

W środku modnego klubu jest niewielka salka z podświetlonym barem pełnym butelek o wyszukanych kształtach. Dostępna dla wybrańców. Wchodzi do niej roześmiana grupka. Natychmiast przykuwa uwagę tych, którzy są już w środku. Większość się zna. Witają Violettę licznymi pocałunkami. Ta ma już wysoko uniesiony podbródek. Przechadza się, lawirując między wpatrzonymi w nią ludźmi. Czuje się jak u siebie. Wie, że jest tu gwiazdą. Wszyscy na nią zerkają.

– Spóźniliśmy się? Czas nam szybko przeleciał – witają się nowo przybyli.

Nikt się jednak nie spóźnił. Zabawa dopiero się zaczyna. Taki jest cel tej nocy. Z pełnym szkłem w rękach jest znacznie weselej. Wino leczy smutki. Perłą się uśmiechy. Rozbrzmiewa muzyka.

Przy barze stoi Doktor. Wszyscy tak do niego mówią nie bez przyczyny. On jeden smutnieje na widok Violetty. Kobieta to widzi, odciąga go na bok. Szepczą coś nachyleni ku sobie. Po chwili Doktor wyciąga z kieszeni starannie złożoną kartkę. Violetta rzuca na nią wzrokiem. Niewiele jest do przeczytania. To wyrok. Wynik nie pozostawia złudzeń. Violetta zaciska usta, przygryzając je do bólu. Po chwili uśmiecha się, zgniata kartkę, zmięty papier wkłada do torebki. Zwraca się do barmana. Jeden jej gest wystarczy, by na barze pojawił się rząd małych szklanych kieliszków z grubym dnem. Kobieta wypija dwa z rzędu. Z trzecim kieliszkiem w ręku odwraca się do jednego z kręcących się wokół niej mężczyzn. To Gas Ton, znany krytyk mody. Gas Ton ma miękkie ruchy, brokatową marynarkę założoną wprost na gołe ciało i niebieskie boa wokół szyi. Podziwia wygląd Violetty. Dla niego jest ikoną, widzi ją na ołtarzu. Mógłby dużo mówić o przemyślanej stylizacji, ale teraz ma coś znacznie ciekawszego do powiedzenia. Pokazuje Violetcie młodego chłopaka za barem.

– To kolejny twój wielbiciel – obwieszcza. Wie, że wzbudzi tym jej zainteresowanie. Violetta dba o wianuszek adoratorów. Bez nich nikt nie jest popularny. Ale teraz śmieje się szczerze. Chłopak ma najwyżej dwadzieścia parę lat. – Jest młody i śliczny – zachwyca się Gas Ton i z przerysowanym żalem dodaje, że gówniarz kocha się w niej, i to od dawna.

– Jestem dla niego nikim – śmieje się Violetta, spoglądając przeciągle na chłopaka za barem. Schlebia jej to, ale wie, że jest o przynajmniej o piętnaście lat młodszy. Zdaje sobie sprawę, że wygląda dobrze jak na swój wiek, ale nie jest naiwna. To przepaść.

– Gdy chorowałeś, ciągle pytał o ciebie – nie ustaje Gas Ton. Prezentowanie chłopaka wyraźnie go bawi. – To mój dobry przyjaciel – dodaje.

- Chyba żartujesz - rozśmiesza to kobietę, która wachluje się dłonią.

Po chwili jednak poważnieje. Do sali wchodzi pośepny typ z blizną przecinającą brew na pół. Mówią na niego Baron ze względu na potężne bary albo wielkie plecy. Baron ma wszystko, czego można chcieć, i chce jeszcze Violetty. Ma wiele argumentów, by ją do siebie przekonać. Pewnym krokiem podchodzi do baru. Gas Ton czmycha. Baron zaciąga Violettę do kąta, w którym niewiele widać. Patrzy pytająco, Violetta przytakuje. I już po chwili małe torebki z białym proszkiem lądują w zakamarkach złotej torebki. Jedną porcję kobieta zostawia w rękę. Podaje ją Gas Tonowi, który jak zlaknione szczenię ponownie wyrósł za jej plecami.

Violetta zostawia niepocieszonego Barona. Liczył na większe zainteresowanie z jej strony. Kobieta jednak nie zamierza łatwo się sprzedać. Wzrusza ramionami, wie, że wygrywa ten, który odchodzi pierwszy. Zna tę grę i umie podkreślać emocje.

Wraca do baru, nachyla się nad kontuarem, wyginając gołe plecy. Uśmiecha się do wpatrzonego w nią chłopaka. Zamawia dwa kieliszki. Gdy je dostaje, jeden przysuwa do siebie, drugi podaje onieśmielonemu barmanowi. Podnosi kieliszek do góry i prosto z mostu pyta, czy prawdą jest to, co usłyszała od Gas Tona. Chłopak przytakuje. Roześmiana dziękuje za wyznanie, składa usta, posyłając mu pocałunek. Udaje, że nie widzi Barona, który obserwuje ich z zacziśniętymi szczękami. Coraz większa grupa znajomych jest zainteresowana rozgrywkami się właśnie wydarzeniami. Baron jest wyraźnie poirytowany.

- Wkurza mnie ten gówniarz - wyrzuca z siebie.

- Mnie się wydaje całkiem sympatyczny - chichocze koleżanka Violetty, obrzucając barmana wyraźnie zainteresowanym spojrzeniem.

- No powiedz coś - zachęca chłopaka Gas Ton, bawiąc się sytuacją i piórami własnego boa związanego na szyi.

Violetta stuka placem w puste szkło.

- Co z tobą?! - wykrzykuje Baron w kierunku chłopaka. Wyraźnie chce mu przypomnieć, po której stronie baru stoi.

- Wino jest dobre na troski - śmieje się Violetta.

Chłopak rozstawia kieliszki na barze i rozlewa szampan.

- Pijmy - wykrzykuje zmobilizowany i szczęśliwy. W końcu został zauważony.

- Pijmy! - powtarza Violetta. - Bo w tym świecie szaleństwem jest wszystko, co nie przynosi przyjemności - mówi jakby do siebie, wypijając i rzucając w górę pusty kieliszek, który w ostatniej chwili łapie Gas Ton. Wszyscy cieszą się jego zręcznością i gratulują mu refleksu. Stukają się, wznoszą toasty. Nikt nie zauważa grymasu bólu, który niespodziewanie pojawił się na twarzy Violetty.

- O Boże! - syczy kobieta zgięta wpół. - Nie, nic mi nie jest - uspokaja tych, którzy jednak zauważyli. - Za chwilę przyjdę - mówi, przybierając lekki ton głosu, i wychodzi.

Chłopak bez namysłu zostawia bar i idzie za nią.

Łazienka w modnym klubie jest wyjątkowo elegancka. Szczególnie ta dla specjalnych gości. Błyszczą czarne płytki. Lśnią złote krany. Wielkie lustra odbijają światło lamp w kształcie kandelabrow. Pod pomalowanym na czarno sufitem kręci się srebrna kula. Mozaika małych luste-

rek rzuca po ścianach migoczące refleksy. Chłopak wchodzi do łazienki. Szarpie każdą kłamkę. Drzwi damskiej toalety się otwierają. Wychodzi z nich Violetta.

– Ty tu? – pyta zdziwiona, patrząc na chłopaka.

Omija go i idzie w kierunku lustra. Mimowolnie pociąga nosem. Stawia złotą torebkę na marmurowym blacie. Patrzy na swoje odbicie.

– Jestem blada – stwierdza, ścierając palcem pył, który pozostał nad wargą.

– Czy ten ból już minął? – pyta chłopak z przejęciem.

– Już czuję się lepiej – odpowiada mu Violetta, pociągając usta błyszczkiem.

– Tak się pani zabija – mówi chłopak, a kobieta uśmiecha się pogardliwie, słysząc, jak się do niej zwraca. – Trzeba się troszczyć o siebie – dodaje niezrażony młodzieniec.

– Ale czy ja potrafię? – kobieta wzrusza ramionami, zamykając torebkę. Widzi przytrzaśnięty róg zmiętej kartki. Otwiera ją i wpycha papier do środka.

– Gdybyś była moja, ja bym cię strzegł – mówi chłopak do siebie, tak że go prawie nie słychać.

– Niby kto miałby się mną zająć? – kontynuuje Violetta, poprawiając dekolt sukienki i wygładzając dłońmi opinający ciało materiał.

– Nikt pani nie kocha? – pyta chłopak głosem, w którym troska miesza się z nadzieją.

– Nikt – odpowiada Violetta stanowczym tonem i chce wyjść z łazienki.

– Nikt oprócz mnie – odpowiada jej śmiało, blokując drogę.

– Wybacz, zapomniałam o tak wzniosłych uczuciach – mówi Violetta z przesadnie poważną miną, po czym wybucha szczerym śmiechem.

– Gdybyś miała serce, tobyś się nie śmiała – chłopakowi drżą usta.

– Od kiedy mnie kochasz? – pyta Violetta. Słynie z pytań wprost. Uwielbia wprawiać w zakłopotanie. Jest w tym mistrzynią.

– Od roku – odpowiada jej chłopak z pewnością w głosie, o którą go do tej pory nie podejrzała. – Od kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem – kontynuuje, widząc zainteresowanie w oczach uwielbianej kobiety. – Zwiewną, ulotną jak sen. Taką szczęśliwą...

Violetta jest zaskoczona jego szczerością. Od bardzo dawna nie była niczym zaskoczona. Już się nie śmieje, ale patrzy z powątpiewaniem. Słowa, słowa, słowa. Wtedy chłopak wyciąga z kieszeni telefon. Violetta przewraca oczami, domyślając się, że zaraz pokaże jej jakieś przypadkowo zrobione zdjęcie. Ale nie! Chłopak pokazuje jej sfotografowany rysunek. To szkic, ale wystarczająco wyraźny, by rozpoznała swoją twarz. Pamięta tę spódnicę, długą, w białe kwiaty. I siebie roześmianą. W tle jest rzeka. Piknik. Rzeczywiście. Była wtedy szczęśliwa... To jeszcze zanim rozmawiała z Doktorem... Chłopak pokazuje jej kolejne szkice. Wszystkie z tego samego dnia. Kobieta patrzy na ekran i uśmiecha się do siebie. Młody całkiem dobrze rysuje.

– Od tego dnia żyję tą miłością – mówi śmiało, nie wstydzi się słów. – To udreka... ale i szczęście – dodaje. Pokazuje też na ich wspólne odbicie w wielkim lustrze. Po ciałach przesuwa się migające refleksy, podążające za ruchem kręcącej się pod sufitem srebrzystej kuli. Wyglądają jak gwiazdy płynące po niebie. – To uczucie to jak puls całego wszechświata – dodaje rozmarzonym, młodzieńczym głosem.

- Jeśli to dla ciebie udręka, to wystarczy mnie unikać - przytomnie radzi Violetta. - Jedyne, co mogę ci zaoferować, to przyjaźń. Jesteś miły, wybaczone. Szybko o mnie zapomnisz, znajdziesz inną, odpowiedniejszą dla siebie... - dodaje Violetta, ale chłopak już jej nie słucha. Patrzy na jej twarz i błyski przesuwane się po policzkach i wie, że to chwila, na którą czekał.

- Z miłością tak się nie da - tłumaczy, odgarniając kosmyk jej włosów. - Miłość jest tajemnicza. To udręka, ale i szczęście - powtarza, przybliżając usta do jej ust.

Violetta ku swemu zdziwieniu nie ucieka. Przegląda się w błyszczących oczach. I pozwala się całować tak, jak już dawno się nie całowała. Powoli, nieśmiało, czując drżenie warg. I nie wie, które drżą bardziej.

- A wy tu co? - pyta Gas Ton, stając w drzwiach.

- Rozmawiamy - tłumaczy ze śmiechem Violetta.

- Rozmawiajcie dalej - macha ręką, demonstracyjnie zakrywa oczy, odwracając się na pięcie.

- Możemy to kontynuować - śmieje się Violetta. Już dawno nie została przyłapana na pocałunku. Czuje się jak mała dziewczynka i to ją bawi. - Ale już bez tej miłości - macha ręką, śmiejąc się do samej siebie.

Ku jej zaskoczeniu chłopak kręci głową.

- To nie dla mnie - mówi, patrząc smutno. - To niewykonalne - dodaje.

Violetta ponownie odwraca się do lustra. Jest zaskoczona. Widzi zarumienione policzki, choć nie użyła różu. Wyciąga małą fiolkę perfum. Spryskuje się. W powietrzu unosi się zapach białych kwiatów.

- Wróć - mówi do chłopaka.

- Kiedy? - pyta ten.

Violetta pryska na niego perfumami.

- Gdy zapach się ulotni.

- Czyli jutro?

- Jeśli mnie kochasz? - odpowiada Violetta pytaniem.

Do łazienki wchodzi kolejne dziewczyny.

- Ale jestem szczęśliwy - wykrzykuje chłopak na odchodne. I jak dzieciak podskakuje wysoko, próbując uderzyć ręką w sufit. Jest w niebie, właśnie sięga gwiazd.

- Addio - odprowadza go śmiechem Violetta.

- Addio!

Świta. W pokoju Violetty panuje lekki półmrok. Zasłony są niedbale zasunięte. Tylko jedną wąską szczeliną wkrada się kilka promieni wschodzącego słońca. Wąty strumień światła pada na toaletkę.

Przed lustrem siedzi Violetta. Jest w samych majtkach i zmywa makijaż ze zmęczonej skóry. Dopija resztkę wina, którego nie zdążyła wypić, malując się przed wyjściem. Widać jej plecy i tatuaż z kwiatem. Na podłodze leży porzucona, zmięta sukienka, która teraz wydaje się szara. W dwóch przeciwnych kątach znalazły się szpilki, które poodwracały się obcasami od siebie tak, jakby w ogóle się nie znały. Wijące się pomiędzy nimi pończochy wyglądają jak

zrzucone wężowe skóry. Otwarta złota torebka leży na blacie szklanego stolika. Jej zawartość rozsypała się po całej tafli. Poturlały się szminka i perfumy. Z foliowego woreczka rozsypała się resztką pyłu... I wysunęła się zmięta kartka.

Jakie to dziwne, myśli Violetta, patrząc na samą siebie w lustrze toaletki.

– Jakie to dziwne – powtarza na głos, rzucając kolejny wacik na podłogę. Z całej nocy pamięta tylko młodego chłopaka i jego szczerze oczy. – Co z tym zrobisz? – pyta lustra i postaci z tuszem rozmazanym wokół oczu. – Ty, singielka, królowa imprezy... Ty, ze swoją pokręconą osobowością? – karci samą siebie, krzywiąc się na swój widok.

Ale uśmiecha się po chwili. Nie pamięta, kiedy tak się czuła.

– Kochać i być kochaną...

Kolejny brudny wacik opada na podłogę.

– Czy mogę to zlekceważyć? – zastanawia się Violetta. – Martwił się o mnie... Jak on to mówił? Miłość to udręka... I szczęście. Puls całego świata... – nuci pod nosem. – Uspokój się! To głupota i szaleństwo. Na co ja liczę! – prychna i bierze telefon.

Zaczyna przeglądać wiadomości. Wie, że odnajdzie tam mnóstwo swoich zdjęć. Wystarczy kliknąć hasztag ViolettaV – są. Dużo. A żadne prawdziwe. Nie jest taka ładna jak na niektórych z nich ani taka brzydka jak na reszcie. Już pojawiły się komentarze od tych, którzy muszą wcześniej wstawać. Do wieczora będą ich setki, może nawet tysiące. Jest gwiazdą w tym mieście.

– Baw się dalej! – wykrzykuje. – Wolna i bez celu. Przecież mnie dwa razy nie trzeba zapraszać. Muszę dbać o swój wizerunek! – postanawia, podnosząc wysoko podbródek.

Widzi siebie w tłumie ludzi. Tłum, a jakby była na pustyni. Smutniej. W telefonie ma jeszcze wiadomość od Gas Tona. Wiedział, co wysłać. Na ekranie pojawia się zdjęcie rozmarzonego chłopaka. I milion kpiarskich uśmieszek. Przygląda się i mimowolnie obmacuje opuszkami palców swoje usta. Wiadomości od Barona nie czyta. Odrzuca telefon. Wstaje i zaczyna się kręcić po pokoju. Tańczy, śpiewając. Szaleństwo nie trwa długo. Potyka się o leżące na ziemi szpilki. By się nie przewrócić, podpira się o stolik. Upada na dywan, obok ląduje uniesiona wirującym podmuchem pogniecioną kartką. Violetta zastyga.

– Czy wolno ci to zlekceważyć? Wolna muszę być...?

Akt II

#ViolettaV

Bokserek: Czy znana celebrytka ViolettaV znalazła swoją miłość? Z dobrze poinformowanych źródeł mamy informację, że spędza czas z nową miłością w pięknych okolicznościach przyrody. Od osoby z bliskiego jej towarzystwa wiemy, że nowy narzeczony jest znacznie od niej młodszy. Ciekawe, czy ten związek przetrwa. Życzymy szczęścia

Gość: Ważne żeby się szanowali I kochali, bo w dzisiejszych czasach o to jest najtrudniej

Gość: Będzie chłopak żałował... za jakiś czas. Jak się dobrze przyjrzy. Hahaha

Iola: Faceci mogą mieć młodsze i jest ok. Kobitki już nie? Dajcie żyć ludziom! Od kiedy wyglądasz jak kluczowy dla udanej relacji?

Pika: To sobie znalazła zabawkę, ciekawe kiedy rozwud

Mala: Czy ktoś w końcu zauważy, że ona jest brzydka?

Ilonka: Ciekawe kto teraz? Pijak, damski bokser, czy handlarz narkotykami?

Gandalff: Pewnie mu płaci... i stawia.

Poinformowany: Tera się śmieje, a będzie jeszcze płakać

Piasek jest ciepły i miękki. Palce u stóp mimowolnie ugniatają rozgrzane drobinki. Łagodne fale rozbijają się o brzeg. Violetta wsłuchuje się w szum morza i pokrzykiwanie mew. Ma na sobie bikini w kwiaty, pareo w taki sam deseń i wielki słomkowy kapelusz. Zajmuje wygodny biały leżak. Ramiona i ręce naciera olejkami. Żałuje, że chłopak na chwilę wyjechał. Nasmarowałby jej plecy. Wodząc po nich miękkimi ruchami swych pięknych dłoni.

Gluptas!, myśli. Karta debetowa nie zadziałała. Niepotrzebnie się dowiedział. Przecież ona ma jeszcze inne karty. I jeszcze wiele na nich środków. Ale on się przejął po męsku i wyjechał. Napisał, że wróci, jak zdobędzie pieniądze. Nie chce, by wyrzucili ich z raju. Kto by chciał? Szkoda, że go nie zatrzymała. I tak nie weźmie jego pieniędzy. Sprzeda wszystko, chce tu zostać do końca świata.

Violetta jest pewna swego chłopca. Kocha ją. A ona jego – niewiarygodnie! Sama się dziwi, jak bardzo za nim tęskni. I jak bardzo jej nie żal tego wszystkiego, co zostawiła za sobą. Dziwi ją też pora, o której budzi się do życia. Zaskakują ją każdy poranek i niedostrzegalna wcześniej uroda dnia. Kocha objęcia ramionami tulącego się do niej ciała i czuje się świetnie. Skąpana w słońcu i miłości. Wypoczęte ciało też dziękuje jej za dobre traktowanie. *Może jeszcze wszystko będzie dobrze?*, myśli, gładząc swoją skórę. Napięta i już nie błądą. *Miłosna kuracja*, myśli, zamykając oczy. On zaraz wróci. Skończy malować jej portret. Świetny portret. Oczy zakochanego chłopaka nałożyły na nią niezwykły filtr. Jest ni ładna, ni brzydka, a wygląda pięknie.

Tęsknię, myśli, gdy nagle czuje cień na swoim ciele. *Może to on?*, zgaduje, nie otwierając oczu. *Nie, nie on*, odpowiada sobie. On zasypałby ją pocałunkami. Ktoś, kto chce ją zaprosić na kolejną galę, kolejną ściankę, kolejny bal – o nie! Otwiera oczy.

Nad nią stoi starszy mężczyzna w wyjściowym mundurze oficera policji. Violetta nie zna się na stopniach, nie wie, co oznaczają belki i gwiazdki zdobiące pagony. Nie wie, że jest inspektorem, a i tak się prostuje, siadając na leżaku. Stojący nad nią mężczyzna ma starannie przycięte srebrzyste włosy i nieprzejednany wyraz twarzy. Nie zwraca uwagi na to, że nie pasuje do otoczenia. Daleko zaszedł, nie zwracając uwagi na okoliczności.

– Jestem ojcem – przedstawia się bez ogródek, lustrując Violetkę zimnym wzrokiem.

Violetta wstaje z leżaka jak na rozkaz. Prostuje się. Nie dziwi to inspektora, jest przyzwyczajony do władzy, jaką ma nad ludźmi. Teraz chce odzyskać władzę nad synem.

– Mój syn rujnuje się dla pani – zaczyna bez zbędnych ceregieli.

Violetta marszczy brwi. Nie rozumie.

- Jestem u siebie i ja za to wszystko płacę - wyjaśnia stanowczym tonem. Jej pewność siebie na ułamek sekundy zbija z tropu inspektora.

- Ale to on zlikwidował konta, żeby go było na piana stać - mówi, patrząc jej prosto w oczy. - A ja dużo o pani wiem. Z pani przeszłości...

- Przeszłości nie ma! Przeszłość odeszła! - Violetta próbuje się tłumaczyć. Chce mu powiedzieć, że cokolwiek on wie, teraz wszystko jest zupełnie inaczej.

- Nie byłoby mnie tu, gdyby nie dobro mojego syna i małżeństwo córki - ojciec nie zamierza słuchać jej tłumaczeń. Sam też nie zamierza wyjaśniać, że syn właśnie pobral pieniądze przeznaczone na studia jeszcze przez jego matkę. Nie chce się żalić, że przyszły zięć jest prokuratorem, a córka odebrała nominację sędziowską. Nie zamierza skomleć, drżąc o to, że ich kariery może zniweczyć miłostka syna z kobietą znaną z pierwszych stron gazet. Nie zamierza! I podaje jej wyciągnięty z koperty plik zdjęć.

Violetta widzi siebie w kilkunastu ujęciach. Tych zdjęć nie robił żaden paparazzi. Na nich nie liczy się, jak wygląda. W co jest ubrana, jak umalowana. Liczy się tylko, co robi i z kim. Widzi Barona i towarzyszących mu typków spod ciemnej gwiazdy. Widzi biały proszek na stole. Widzi siebie.

- Co mam zrobić? - patrzy pytająco. - Dobrze, odejdę na jakiś czas...

- Najlepiej na zawsze - nie daje jej dokończyć ojciec chłopaka.

Violetta czuje suchość w gardle. Sięga po torbę plażową, w niej jest mała kieszonka. Wyciąga wcześniej zgniecioną, teraz wyprostowaną i złożoną kartkę. Ukryła ją przed chłopakiem.

- To się może spełnić - mówi, podając ją inspektorowi.

Mężczyzna czyta. Łacińskie nazwy są niezrozumiałe, ale jest tam wystarczająco dużo treści, by pojąć, o co chodzi. Jest zmieszany. Tego się nie spodziewał, a nie jest łatwo go zaskoczyć. Dopiero teraz poczuł, że w mundurze jest mu za gorąco, krawat zaczął go cisnąć. Patrzy na kobietę, która jeszcze przed chwilą wydawała mu się za stara dla jego syna, a teraz widzi, że jest stanowczo za młoda na to, co może się stać.

- Spokojnie - zaczyna znacznie łagodniejszym tonem. Stara się ukryć emocje, ale też nie chce dać zbić się z tropu. Przypomina sobie to, co miał powiedzieć. Chce chronić syna. - Jest pani młoda i piękna. A człowiek jest zmienny... Pewnego dnia i tak pani wdzięki przemina... Pojawi się nuda. Wtedy uczucia przestaną być balsamem na wszystko... - mówi, choć zdaje sobie sprawę, że przygotowana mowa coraz bardziej nie pasuje do sytuacji. Otrząsa się. - Nie pograżaj mojej rodziny - podsumowuje dosadnym tonem i zabiera plik zdjęć operacyjnych.

- Dobrze. Jak pan sobie życzy. Poświęcę się dla pańskiej rodziny i umrę - mówi Violetta z właściwym sobie sarkazmem. Jest z tego znana, choć słyszy, jak łamie jej się głos. To, co mówi, może być aż nazbyt prawdziwe.

- Zdaję sobie sprawę, że o dużo cię proszę... - mówi inspektor.

Violetta chce wykrzyknąć ojcu chłopaka w twarz, że nie ma pojęcia, o jak wiele, ale nie daje rady. Zaczyna szlochać, odwracając głowę i patrząc w kierunku morza.

Na horyzoncie majaczy odpływający statek. Odpływa też jej nadzieja na nowe, inne życie. Na życie w ogóle.

– Po prostu powiedz mu, że już go nie kochasz... Tak, by w to uwierzył – instruuje mężczyzna, patrząc na plecy szlochającej dziewczyny. – Co zrobisz? – pyta, chcąc zakończyć sprawę, z którą przyjechał.

– Umrę – odpowiada mu Violetta, patrząc przed siebie.

Ojciec chłopaka spogląda na wytatuowany biały kwiat. Drży od tłumionego łkania. Jest mu zwyczajnie głupio. Teraz chciałby ją objąć, jakoś pocieszyć, wyciąga nawet rękę, ale nie daje rady, cofa dłoń.

– Życzę szczęścia. Żegnam – dodaje i odchodzi.

Wystarczy już tych emocji.

Nad morzem zachodzi słońce. Violetta siedzi na tym samym leżaku. Wpatruje się w tarczę, która powoli i nieubłaganie znika za horyzontem. Na plaży pojawia się rozentuzjasmowany chłopak. Jest szczęśliwy. Podbiega, całuje ją w plecy. Violetta się odwraca.

– Płakałaś? – pyta zdziwiony. Violetta zaprzecza. – W mieście jest mój ojciec – informuje, nie czując, jak kobietą wstrząsa dreszcz – przyjdzie. Jestem pewny, że cię polubi... – chłopak chce mówić dalej, ale Violetta zasłania ręką jego usta.

– Kochaj mnie. Kochaj tak, jak ja kocham ciebie – mówi i zaczyna go całować, jakby świat miał się zaraz skończyć. Zresztą zaraz się kończy.

Chłopak budzi się na piasku. Jest już noc. Rozgląda się wokół. Nie ma nikogo. Przeciąga się, wspomina z uśmiechem zachód słońca i bierze telefon. Chce zadzwonić, ale nie musi, na ekranie pulsuje wiadomość do odczytania. Z błogością wzdycha, klika i czyta. Z każdym kolejnym wersem zadowolenie znika z jego twarzy. Pojawia się rozpacz.

SUPERSTARTV

Relacja na żywo!!! Tylko u nas!!!

Właśnie jesteśmy przed Corridas. Nowym adresem na mapie stołecznych klubów. Jak sama nazwa wskazuje, wszystko tu będzie w stylu hiszpańskim. A więc byk, którego państwo widzicie przed wejściem, nie znalazł się tu bez powodu. To właśnie przed nim pozują przybywające na otwarcie gwiazdy. Są wszyscy. Gas Ton właśnie wparadował na ściankę. Pozuje w marynarce torreadora nałóżonej na gołe ciało i udaje, że zuchwale chwytą byka za rogi. Jest Flora z czerwonym kwiatem we włosach. Są teraz chyba najbardziej fotografowanymi osobami. Plotki głoszą, że pojawi się również dawno niewidziana ViolettaV. Może poznamy jej tajemniczego nowego narzeczonego, o którym tyle się pisało, a którego nikt nie widział. O, idzie! Idzie! Idzie! ViolettaV! Wygląda jak zwykle zjawiskowo! Co za piękny czerwony gorset. Z daleka nie widzę, ale chyba na jej szyi połyskują rubiny. Ale kto by patrzył na kamienie, mogąc zobaczyć taką nogę. Rozporek czarnej, szerokiej spódnicy sięga chyba po

sam pas. Bosko! Bosko! Wygląda i prezentuje się bosko! Kto, jak nie ona! A towarzyszy jej... a tak. Hmm... Tego pana znamy, ale on nie lubi pozować. Cóż. Zapowiada się wspaniała noc. Komentujcie. Lajkujcie. Co myślicie o tej bajecznej stylizacji?

Lok: Moim zdaniem wygląda grubo.

Kicia: Jak grubo! To anorektyczka, na prochach.

Gość: I skończyła się miłość, hahaha, a nie mówiłem, wróciła do tego łba, co go zamknąć powinni.

Lili: Pięknie wygląda, choć trochę jak niedożywiona.

Gość: Przestańcie, wygląda pięknie, jest po prostu szczupła.

Kkk: Jakby w ciebie tyle kasy włożono, też byś wyglądała pięknie.

Polak: A co polskie jedzenie już nie smakuje, tylko hiszpańskie bełty

Fruga: Może jest za chuda, ale w tej spudnicy wygląda BOSKO!

Monic: Zdechła taka. Posunęła się. Twarz jej opadła. Najgorzej te kościste ramiona. Ideal szkieletu ma się dobrze.

Violetta z Baronem u boku schodzą po schodach w dół. To hiszpański klub z kelnerami w strojach torreadorów i barmanami w falbaniastych koszulach. Ale klub to tylko przykrywka. Na dole są drzwi, których pilnuje wielki bramkarz. To sala, do której wstęp mają nieliczni. Tu się nie tańczy, tu się gra o duże stawki. Stół do ruletki, blackjacka i oczywiście do pokera. Tu można palić. Tu nie ma kelnerów, są kelnerki w przezroczystych czerwonych koszulach.

Jest Violetta i jest Baron. Jego twarz z blizną przecinającą brew wygląda okrutnie.

– Twój kochaś jest – szepcze Baron do Violetty. – Nie odzywaj się do niego! – mówi to bardzo serio. Nie zamierza po raz drugi zostać pośmiewiskiem.

Dlaczego ja tu przyszedłam?, pyta siebie Violetta.

Chowa się w cień. Baron nie zamierza się kryć. Z poępną miną siada przy stoliku pokero-wym. Jedno krzesło jest wolne, zajmuje je chłopak. Jako jedyny jest nieprzebrany. Nie przypo-mina torreadorów ani hiszpańskich wieśniaków, raczej rannego, rozwścieczonego, słaniają-cego się byka. Ma obłąd w oczach, niechlujny zarost i potargane włosy. Jest pijany.

– Nie mam szczęścia w miłości, więc na pewno mam je w kartach – stwierdza z buń-czuczną miną. Patrzy Baronowi prosto w oczy. – Wygram i ją panu zabiorę – deklaruje.

Baron spogląda na gówniarza. Zbyt wiele oczu patrzy w ich stronę, by mógł to rozegrać w swój ulubiony sposób. Zaciska pięści i szczęki.

– Skuszę się – odpowiada. – Fortuna zdaje się panu sprzyjać – mówi, kiwając ręką na Vio-lette.

Ta posłusznie podchodzi do stolika.

Baron ma nadzieję, że chłopak szybko przegra. Ale los drwi z młodzieńca, daje mu wygrać, i to po podwojeniu przez niego stawki. Baron kiwa na obsługę, nie zamierza dalej grać. Nie teraz, gdy tyle oczu patrzy mu na ręce.

– Już widzę, jak zapłaci – drwi koleżanka Violetty.

Obsługa natychmiast zamienia wygrane żetony na gotówkę i wręcza chłopakowi.

- Grajmy dalej - krzyczy ten otumaniony gniewem i zazdrością.

- Później - odpowiada Baron. - Jestem do twojej dyspozycji - dodaje z pogardą. Czeka na ten moment. Ale teraz odchodzi.

Violetta wyciąga chłopaka na górę. Wie, że w podziemiu jest jak w pułapce.

- Wyjdź stąd, grozi ci niebezpieczeństwo - ostrzega przejętym głosem.

- Więc masz mnie jeszcze za tchórza - odtrąca ją.

- Wyjdź - błaga go.

- Czego się obawiasz? - pyta pijany chłopak.

- Barona - odpowiada szczerze.

- Jeśli go zabiję, pozabawię cię sponsora i kochanka jednocześnie. To cię przeraża? - pyta, ledwo trzymając się na nogach.

- A jeśli to on będzie zabójcą... - Violetta wypowiada głośno to, czego obawia się najbardziej.

Ciągnie chłopaka za sobą, udaje im się dotrzeć do wyjścia. Jeśli tylko uda się przejść przez drzwi, bramkarze nie wpuszczą go po raz drugi. I tak nie wiadomo, jak tu wszedł.

- A co cię obchodzi moja śmierć? - bełkocze chłopak.

- Wyjdź stąd - prosi znowu.

Już tylko parę kroków.

- Jeśli przyrzekniesz, że ze mną pójdziesz.

- Nigdy - odpowiada.

Zaraz uda im się wyjść.

- A więc go kochasz?

Drzwi są na wyciągnięcie ręki. Bramkarze rozstępują się, robiąc mu miejsce. Za chwilę będzie uratowany. Przynajmniej na razie.

- Kocham - odpowiada, wypychając chłopaka za próg. Chce, żeby wyszedł sam, ale on pociąga ją za sobą.

Przed klubem jest mnóstwo ludzi i fotoreporterów czyhających na wchodzące i wychodzące gwiazdy. Teraz Violetta próbuje się wyrwać. Ale on trzyma ją mocno.

- Chodźcie tu wszyscy! - woła do złaźnionych wrażeń gapiów i fotoreporterów. Długie obiektywy już są wycelowane dokładnie w nich. - Podobno wydawała na mnie pieniądze! - wykrzykuje. - Z miłości trwonila majątek. A ja je brałem. Chciwiec ze mnie. Teraz je oddaję! - wykrzykuje, szarpiąc Violetkę za rękę.

Kobieta próbuje się wyrwać, ale on ją popycha. Violetta pada na ziemię. W szerokiej spódnicy wygląda jak złamany kwiat. Młody wyciąga z kieszeni przepocone zwitki pieniędzy. Obrzuca nimi leżącą na ziemi Violetkę. Błyskają światła fleszy.

- Przestań! - krzyczą ludzie zgromadzeni w tłumie.

- Podłość!

- To wstrętne! - przekrzykują się gapie.

Leżąca na ziemi Violetta wygląda żałośnie. Podbiega do niej koleżanka.

Z tłumu wychodzi ojciec chłopaka. Jest w cywilnym ubraniu. Przybył dokładnie w tej chwili. Chwyta go za ramiona. Chce, by się opamiętał.

– Gdzie jest mój syn? Nie mogę go w tobie odnaleźć. Nie poznaję cię! – krzyczy, potrząsając nim.

Chłopak najpierw się rzuca. Po chwili zaczyna płakać. Ojciec zabiera go do zaparkowanego obok samochodu.

– Brzydzę się sobą – bełkocze chłopak, ledwo przebijając nogami. Próbuje obejrzeć się za siebie, ale ludzie już obstąpili leżącą na ziemi Violettę.

– Przestań się mazać – karci go ojciec i pakuje do auta.

Violetta nie może się podnieść. Straciła ostatnie siły. Przelewa się przez ręce.

– Kiedyś zrozumiesz... Zrozumiesz, jak bardzo cię kochałam. Nawet po śmierci będę cię kochała – mówi i traci przytomność.

Akt III

Akt III *Traviaty* wystawianej w Operze Narodowej Teatru Wielkiego w Warszawie był niesamowity. Tak jak przed stu siedemdziesięciu laty, teraz też dało się słyszeć szluchy na poruszony widowni. Już dawno nie widzieliśmy czegoś tak przejmującego.

Samotność opuszczonej i umierającej Violetty podkreśla sterylność szpitalnej sali. Cała scena jest skąpana w lodowatej bieli zimnych świateł. Śmiertelnie chora kobieta leży w metalowym łóżku wśród płataniny nieczułej szpitalnej aparatury. Chusteczka ciasno obwiązująca głowę świadczy o przebytej chemioterapii. Jednak Violetta właśnie przegrywa swoją walkę. Wiemy to od Doktora. Ten ją zwodzi. Próbuje dać jej nadzieję na rychły powrót do zdrowia... Jednak już nikogo nie jest w stanie oszukać. Ani siebie, ani jej, ani publiczności.

Kiedy Violetta czyta list od Germonta, ojca chłopaka, słyszymy temat miłosny, poprowadzony przez tkliwie zawodzące smyczki. To jedna z największych pożegnalnych arii literatury operowej, wprowadzona przez obój i z towarzyszeniem szesnastu wyciszonych instrumentów smyczkowych. Śpiew Violetty jest od czasu do czasu ogrywany przez rożek angielski, który rozbrzmiewa niczym łabędzi śpiew. Pierwsza zwrotka brzmi ponuro w moll, druga już w dur. Efekt odchodzącego świata podkreślają dobiegające zza okna odgłosy bawiących się ludzi i radosnej muzyki.

Telebimy, które wcześniej pokazywały instagramowe zdjęcia i krytykujące wszystko komentarze, pełnią teraz inną funkcję. W trzecim akcie, w dokumentalnej narracji dopowiadają resztę

tragicznych wydarzeń. Będący w amoku chłopak, Alfred, kradnie służbową broń ojca. Wraca do klubu i wdaje się w utarczkę z Baronem Dupholem. W trakcie szamotaniny Baron zostaje postrzelony. Ojciec ukrywa chłopaka i, używając swoich wpływów, rozprawia się z przestępcą. Ten, zaszantażowany, nie wnosi oskarżenia, ale dalej uprawia swój proceder. Tragiczna sytuacja, ale dla pełnego wyrzutów sumienia ojca życie syna jest najważniejsze. Postanawia wyjawic wstrząśniętemu chłopakowi swoją rolę w zaistniałych wydarzeniach.

Współczesna Violetta Valéry to już nie dziewiętnastowieczna kurtyzana, to nie Dama Kameliowa z książki Aleksandra Dumasa w sukni z epoki. To dzisiejsza celebrytka. Znana z tego, że jest znana. Ona nie nosi kwiatu kamelii, ona wytatuowała go sobie na plecach. Może przeczuwając swój los? Może wie, że natura ludzka nie zmieniła się aż tak bardzo. Przecież tak samo jak słynne kurtyzany jest zazdrośnie podziwiana i otwarcie wyszydzana. Jest obiektem cichego pożądania i głośnej pogardy. Tak samo rozpaczliwie próbuje tuszować swe lęki celebrowaniem popularności i niekończącą się zabawą. Tak samo miesza dzień z nocą. Tak samo nie dba o swoje zdrowie! Dama Kameliowa snuła się po dusznych salach balowych, gdzie w powietrzu unosiła się nie tylko atmosfera zabawy, lecz także prątki gruźlicy. Dzisiejsza Violetta spędza czas na ściankach i w klubach. Efekt chwilowej beztroski łatwo spotęgować narkotykami, a w takich miejscach aż roi się od Baronów.

Traviata *znaczy zabląkana, tak należy przetłumaczyć to słowo. Parafrazując można powiedzieć, że to wiele tłumaczy. Czy współczesna Violetta nie jest tak samo zabląkana w dzisiejszym świecie jak jej dziewiętnastowieczny pierwowzór? Świat się zmienił, ale czy aż tak bardzo? Czy zbyt wiele młodych żyć nie kończy się przedwczesną śmiercią pięknych i wspaniałych ludzi?*

Głos umierającej Violetty w arii Addio del passato (Żegnajcie, przeszłości uroczę wspomnienia) na wskroś przejmuje bezdennym smutkiem. Współczesna Violetta ma niespełna czterdzieści lat. Dziś to stanowczo za mało, by żegnać się z życiem. I to w takim momencie. Cóż, najpewniej szczerza miłość dwudziestokilkulatka była najprawdziwszą, najpiękniejszą i najlepszą rzeczą, jaka przytrafiła się w jej życiu.

W akcie drugim ojciec Alfreda ostrzegał Violettę, wyrokując, że jej wdzięki mogą przeminąć, a wtedy znudzi się chłopakowi. Dziś dojrzałą kobietę również przestrzega się przed różnicą wieku. Jeśli ma młodszego kochanka, zewsząd padają pytania, powielają się komentarze o tym, co będzie jutro, kiedy się zestarzeje. Problem polega na tym, że jutro może nie być...

Jedynym pocieszeniem jest to, że chłopak przybył w ostatnim momencie. A my mogliśmy usłyszeć, jak głosy kochanków łączą się w duecie, który jest już tylko marzeniem o ich wspólnym życiu – Parigi, o cara (Z dala od świata, aniele drogi). Przedsmak końca. Kobieta nie chce umierać, a emocje odbierają jej resztki sił. Scena śmierci jest przejmująca. Jeszcze raz słyszymy temat miłosny. Violetta już nie śpiewa, jest na to za słaba. Skrzypce śpiewają za nią.

Wybrzmiało wiele głosów krytyki stwierdzających, że opera to nie miejsce dla kryminalnych opowieści, a tym bardziej dla kokainy... Verdi również usłyszał, że opera to nie miejsce dla kurtyzan i nieakceptowalnych społecznie tematów, a jednak... wiedział, o czym pisze. Przełamywał tabu, a jego muzyka nie była nigdy tak emocjonalna i tragiczna jak w *Traviacie*.

Traviacie, której pierwotny tytuł brzmiał *Miłość i śmierć*.

Ukończono 20.06.2023 roku na deskach
Teatru Wielkiej Opery Narodowej w Warszawie

ROBERT OSTASZEWSKI

ZABÓJCZY BAL W OPERZETT

Prolog

16 lipca 2023 roku, niedziela, Warszawa

Skrzywił się i lekko pomasaował brzuch. Kolejny raz poczuł nudności. *Cholera, tylko nie teraz, nie dzisiaj*, myślał w panice. Coś mu zaszkodziło? Zarówno Warszawę, jak i cały kraj zalewał tropikalny żar. W pomieszczeniach opery było gorąco. Może nie powinien podjadać z małego szwedzkiego stołu, który firma cateringowa przygotowała dla osób obsługujących imprezę? Nie wiadomo, jak długo jedzenie znajdowało się w upale. Ale stało się, głód go przycisnął, chwycił w locie trochę sałatki oraz tartinkę, i tyle. Skusił go wędzony losoś, może więc ryba była drugiej świeżości? Mniejsza z tym, bez sensu wnikać. Na wszelki wypadek połknął tabletkę przeciwbólową i popił mocną herbatą. Matka często powtarzała, że na sensacje żołądkowe nie ma nic lepszego niż mocna gorzka herbata. Oby to była prawda, bo nie miał tego dnia czasu na chorowanie i cackanie się ze sobą. Mimo niedzieli grafik miał napięty, w sumie jak co dzień. Musiał zadbać o to, by na wpół oficjalna impreza urodzinowa szefa, która odbywała się w Operze Narodowej, przebiegła bez zgrzytów. Dogadywał szczegóły jutrzejszego spotkania szefa z wiceministrem rolnictwa Bułgarii. Do tego jeszcze musiał dopiąć harmonogram wtorkowej wizyty w zakładach kosmetycznych pod Rzeszowem. Czuł się trochę jak chomik popylający w kołowrotku. W sumie jednak lubił ciągły zamęt, który dzień po dniu właczał w ramy porządku. Pochlebiał sobie, że był w tym dobry.

Wielu ludzi powtarzało mu – niektórzy z podziwem, inni z zawiścią – że w wieku dwudziestu czterech lat złapał Pana Boga za nogi. Bóg nazywał się Krzesimir Małecki i od lat nie wypadł z czołówek rankingów najbogatszych Polaków. Należał do rodu wielkopolskich przedsiębiorców, sporo odziedziczył, a potem wielokrotnie pomnożył spadek. Był właścicielem licznych firm – sieci hoteli, biur turystycznych, fabryk kosmetycznych, hurtowni i wielu innych mniejszych lub większych biznesów. Na ogłoszenie, że Małecki poszukuje osobistego asystenta, trafił trochę przypadkowo. Właśnie skończył ekonomię na SGH i nie miał nic do stracenia. Zgłosił się i dostał tę posadę. On, sierota z bidula, który rok po roku musiał bardzo się starać, żeby wyjść na ludzi! Prawdę powiedziawszy, Małecki nigdy mu nie powiedział, dlaczego wybrał właśnie jego. Może miał fart, a może zwyczajnie był dobry.

Dostał sygnał, że przed Operę Narodową zaczynają się zjeżdżać pierwsi goście. Do jego obowiązków tego dnia należało przywitanie ich i zaprowadzenie do głównego foyer na pierwszym

piętrze, gdzie miało się odbyć przyjęcie z okazji sześćdziesiątych urodzin Małeckiego. Na kameralną imprezę jego szef zaprosił samych przyjaciół i dobrych znajomych – kilku partnerów biznesowych, ludzi ze świata kultury i polityki. „Zrobimy taki mały bal w operze” – powiedział Małecki, planując event, i popatrzył wyczekująco na asystenta. Ten znał to spojrzenie. Powinien coś skojarzyć, ale nie potrafił. „Julian Tuwim napisał poemat *Bal w Operze*, pewnie nie czytałeś” – wyjaśnił szef. Ano nie czytał, zresztą jak wiele innych książek. Małecki czasami go zawstydział.

Miejsce imprezy było nieprzypadkowe. Biznesmen był miłośnikiem opery w ogóle, a już tę w Warszawie kochał miłością szczerą i niezmienną. Miał wykupioną lożę w strefie I, pojawiał się na wszystkich premierach, o ile tylko jego biznesowy świat nie walił się i nie palił. Do tego jego firmy hojnie wspierały Operę Narodową, nic więc dziwnego, że jej pomieszczenia prawie zawsze stały przed nim otworem.

Odprowadził czterech pierwszych gości na miejsce. Zadzwoił do szefa, by upewnić się, że będzie na czas. Małecki miał się pojawić jako ostatni. Lubił spektakularne wejścia. Wyszedł przed budynek i wpatrzył się w jego imponującą bryłę. Znowu poczuł klucie w żołądku, ale miał nadzieję, że jakoś przetrwa słabość. Po prostu musi.

Początkowo wnętrza opery go onieśmiały. Te błyszczące parkiety ułożone w skomplikowane wzory, zabytkowe, bogato zdobione żyrandole, kolumny... Cały ten przepych, w który on – zwyczajny chłopak z bidula spod Radomia – nagle został wrzucony. Z czasem przywykł do Narodowej, oswoił się z nią, tak samo jak z innymi operami, w których bywał z Małeckim: w Mediolanie, Wiedniu czy Nowym Jorku. Do samych spektakli operowych nie mógł się jednak przekonać. Nie rozumiał tej konwencji. Kolejne głośnie premiery nieodmiennie go nudziły. Musiał jednak orientować się jako tako w historii i współczesności opery, bo czuł, że Małecki tego od niego wymaga, chociaż nigdy nie powiedział tego wprost.

Towarzyszył znanemu aktorowi serialowemu, który szybko wchodził po wyłożonych czerwonym dywanem schodach. Ledwie za nim nadażał. Czuł, jak pot spływa mu po skroniach. Zatrzymał się na chwilę, aktor to zauważył, stanął na półpiętrze i zapytał:

– Blady pan... Wszystko w porządku?

– Tak, tak – zapewnił, ocierając twarz chusteczką. – Po prostu źle znoszę upały.

Celebryta nie skomentował, poczekał na niego i ruszyli. *Byłe dotrzeć na górę*, zaklinał w myślach.

Coraz mocniej czuł mdłości. Musiał, nie było innego wyjścia, zaszyć się gdzieś i chwilę odsapnąć. Nakazał jednemu z ochroniarzy szefa, żeby to on zajął się nowymi gośćmi. Miał nadzieję, że Małecki nie będzie miał mu tego za złe, gdy się o tym dowie. Postanowił, że wyjdzie do ludzi dopiero wtedy, kiedy w operze zjawi się boss.

Dotwał sygnał, że Małecki zaraz będzie na miejscu, więc pognął do wyjścia. Szef jak zwykle prezentował się nienagannie. Był wysoki i szczupły, jego krótkie włosy ledwie na skroniach znaczyła siwizna. Miał na sobie jasnobrązowy lniany garnitur i śnieżnobiałą koszulę rozpiętą pod szyją. Emanowały od niego siła i radość życia. Jak zwykle. Zdał Małeckiemu krótki raport. Szef tylko uśmiechnął się i kiwnął głową.

Byli już prawie u szczytu schodów, prowadzących do foyer, kiedy jego brzuch przeszył straszny ból. Zajączał i zgiał się w pół. Małecki zatrzymał się i spojrzał na niego z niepokojem.

– Co z tobą? – zapytał z troską.

Chciał odpowiedzieć, że dobrze, że to zaraz minie, ale ledwie otworzył usta, szarpnęły nim wymioty. Zakreśliło mu się w głowie. Nogi się pod nim ugięły i poleciał bezwładnie w dół schodów. Wylądował na piętrze. Zanim na dobre stracił przytomność, zauważył osobę stojącą na piętrze i wbijającą w niego wzrok. Znał ją. I dopiero w tej chwili poczuł prawdziwą grozę.

Rozdział pierwszy Zwykły, ale z potencjałem

18 lipca 2023 roku, wtorek, Gdańsk – Brzeźno i Nowy Port

Renata Łukowska wyszła z wody. Nawet nie zmoczyła rudych pukli, bo pływała stateczną żabką. *Jak starsza pani*, śmiała się w duchu. Stała tuż przy brzegu i zamknęła oczy. Czekala, aż słońce osuszy jej ciało. Nie było gorąco, fala tropikalnych upałów odpłynęła znad Trójmiasta poprzedniego dnia, ale słońce wciąż przyjemnie grzało.

Wróciła do ręcznika, który rozłożyła pod przylegającymi do plaży zaroślami. Miała tam trochę cienia. Przy jej jasnej, podatnej na oparzenia karnacji wołała nie wystawiać się na promienie słoneczne zbyt długo. Narzuciła na siebie cienką i obszerną białą koszulę. Zapaliła i najzwyczajniej w świecie cieszyła się chwilą. Jak nie ona.

Liczne problemy, które kilka miesięcy wcześniej niemal całkiem ją złamały, odeszły w niepamięć. Częścią skutecznie zajęła się sama, część rozeszła się po kościach. Taki fart – rzadkość u niej. Ostatnio nawet zleceń miała jakby więcej. Na szczęście prostych, głównie zwykłego zbierania dowodów do spraw rozwodowych, więc większość spokojnie ogarniał jej ulubiony, a przy tym jedyny pracownik Agencji Detektywistycznej Zemsta & Partnerzy – Dariusz Zawistowski. A ona mogła wrzucić na luz. Chociaż trochę.

Wstała, żeby wyrzucić niedopałek do kosza. Nie zostawiała na plaży syfu po sobie i do białej gorączki doprowadzało ją, jeśli robili to inni. Zrobiła ledwie kilka kroków, kiedy odezwała się leżąca na ręczniku komórka.

– Szlag by to! – zakląła odruchowo.

Wróciła. Numer był zastrzeżony, ale odebrała i po jej krótkim „tak”, usłyszała głos, który od razu popsuł jej humor:

– Witaj, piękna.

– Nie mów tak do mnie! – warknęła.

Broda tylko się roześmiał.

– Wpadnij do mnie, bo mamy do pogadania. Sprawa pilna.

– Posłuchaj, łapię trochę luzu i naprawdę...

– Nie wydziwiał – mężczyzna wszedł jej w słowo. – Mam problem, a zdajesz sobie sprawę, że jak ja mam, to ty też.

I rozłączył się.

Renata szła szybkim krokiem z plaży przy Parku Brzeźnieńskim w stronę Nowego Portu. Myślała, że Brodzie musiało się mocno palić koło tyłka, jeśli sam raczył do niej zadzwonić.

Zwykle kontaktował się z nią jego przydupas Lolek. Albo wysyłał do niej z zaproszeniem któregoś z szeregowych żołnierzy. Wciąż była nieco wkurzona, że czegoś od niej chce, ale i zaintrygowana.

Broda był bossem lokalnej mafii z dzielnicy Nowy Port. Renata też tam mieszkała i miała biuro swojej agencji, więc musiała wypracować skuteczny model współistnienia z gangusami. Łatwo nie było. Ponad pół roku wcześniej, podczas prowadzenia sprawy gwałciiciela, naraziła ludzi Brody na aresztowanie i zrobiło się naprawdę grubo. Broda kazał jej wypierdalać w podskokach z dzielni. Było nieprzyjemnie i niebezpiecznie, tym bardziej że niedługo potem skumulowały się jej inne problemy. Na szczęście udało się załagodzić zatarg z Brodą. Wypracowali nowy sposób współpracy – na co dzień nie wchodzili sobie w drogę, a od czasu do czasu, jak to nazywał boss, „świadczyli sobie drobne usługi”. Nie była z tego powodu radosna jak skowronek, ale zdawała sobie sprawę, że musiała pójść na taki układ, jeśli nadal chciała mieszkać w Nowym Porcie.

Drzwi starego domu z pruskiego muru przy ulicy Władysława IV otworzył Łukowskiej jak zwykle Lolek. Z miną ponurą jak u grabarza przed wypłatą. Żadna nowość. Zaprowadził ją do zgrzebnie urządzonego salonu. Broda czekał na nią rozparty w dużym starym fotelu. Jego audyencje prawie zawsze tak wyglądały.

– Dobrze, że się pospieszyłaś. Grzeczna dziewczynka – powiedział gangus zamiast powitania.

– Ty mnie, Broda, nie wkurwiał, bo nie jestem w nastroju – rzuciła. – Gadaj, o co chodzi, i będziemy mieli to z głowy.

Pogładził długą brodę, w której wily się białe pasma, i skomentował:

– Zawsze byłaś w gorącej wodzie kąpana.

Zapalił podaną mu przez Lolka fajkę i pyknął kilka razy. Renata, nie pytając o pozwolenie, usiadła przy przykrytym ceratą w kratę stole i zapaliła papierosa.

– Więc? – zachęciła bossa do mówienia.

– Mam partnera biznesowego z Warszawy, z którym udanie współpracujemy od lat.

Partner biznesowy, pomyślała z rozbawieniem. Broda czasami rzucał teksty nie gorsze niż stand-uperzy.

– Parę dni temu ktoś mu tam odpalił bardzo ważną dla niego osobę. I w tym temacie potrzebuje pomocy. Wiszę mu przysługę, więc zwrócił się do mnie. A że ty też mi wisisz, więc padło na ciebie.

Zagotowała się. Rozgniotła niedopalonego szluga w popielniczce.

– Broda, dałbyś już spokój – mówiła, starając się zachować zimną krew. – Chyba swoje już odrobiłam w polu.

– Będzie tak, kiedy ja tak uznam.

Renata tylko pokręciła głową. Bardzo nie pasowało jej nowe zlecenie, ale nie chciała naruszać kruchego pokoju.

– Dobra. A ten twój partner biznesowy nie ma ludzi tam na miejscu, którzy by się zajęli tematem?

– Upiera się, że potrzebuje kogoś z zewnątrz.

- Czyli chodzi tak jakby o audyt zewnętrzny – weszła w konwencję.

- Jak znał, tak znał. Najlepiej jakbyś zajęła się tym od razu.

Kiwnęła głową.

- Jak się zwie ten twój... partner biznesowy?

- Leon Żukowski.

Żukowski, Żukowski, obracała to nazwisko w myślach, bo z kimś jej się kojarzyło. I nagle skojarzyła, o kogo może chodzić.

- A to nie taki typ, który urzęduje na Pradze?

Broda pyknął fajkę ostatni raz, wystukał popiół i odłożył ją do popielniczki.

- Widzę, że się znacie – zaczął. – To nawet lepiej.

- Niekoniecznie. Mój kolega miał z nim nieprzyjemność.

Boss tylko się skrzywił.

- Nie ma co głądzić po próznicy. Lolek cię z nim umówi i da ci znać.

Kiwnęła głową i ruszyła do drzwi.

- Ale pamiętaj... – zimny głos Brody sprawił, że się zatrzymała. – Jeśli Żukowski nie będzie zadowolony, to ja też.

Tylko wzruszyła ramionami i wyszła. Takie groźby nie robiły na niej wrażenia. Od dawna.

19 lipca 2023 roku, środa, Warszawa

Kiedys Łukowska знаła warszawską Pragę jak własną kieszeń, ale teraz z trudem odnajdowała drogę. Tym bardziej że sporo się jednak w tej dzielnicy pozmieniało od czasu jej ostatniego pobytu.

Mieszkała tam za dzieciaka i durnych lat nastoletnich z matką i siostrą. Szlajała się z podobnymi sobie po niebezpiecznych podwórkach i ulicach, rozrabiając, ile wlezie. Cudem udało jej się uniknąć konfliktu z prawem. Właściwie tylko dlatego, że zawsze była czujna i szybka, więc umykała policjantom czy ochroniarzom. Otrzeźwienie przyszło, kiedy jej przyjaciel zginął w bójkę ulicznej. Dotarło do niej, że zmierza drogą donikąd, a właściwie – wprost ku zatraceniu. Tak ją to ruszyło, że postanowiła zostać policjantką. Teraz wcale nie miała pewności, że wybrała dobrze.

Z trudem przebijając się przez korki, dotoczyła się do placu Szembeka. Zaparkowała swoje audi TT w jednej z bocznych uliczek. Miała cichą nadzieję, że czasy, kiedy na Pradze pod żadnym pozorem nie należało zostawiać lepszych aut na dłużej bez opieki, należą już do przeszłości.

Knajpa, w której miała się spotkać z Żukowskim, mieściła się na parterze dwupiętrowej obskurnej kamienicy, znajdującej się nieopodal Kościoła Najczystszej Serca Maryi. Przed wejściem stał stojak reklamowy w kształcie stereotypowo wyglądającego włoskiego mafiosa. Z obowiązkowym cienkim wąsikiem. Tyle że zamiast gnata trzymał w dłoni kartę z menu na śródę. Lokal nosił nazwę Don Soprano. Uznała, że Żukowski ma specyficzne poczucie humoru.

Zanim wybrała się do Warszawy, popytała, kogo tylko mogła, o Żukowskiego. Zaczęła od Konrada Rowickiego, prywatnego detektywa z Krakowa, z którym kiedyś krótko była

w związku. Pamiętała, że lata temu Konrad miał styczność z praskim bossem, kiedy szukał zaginionej Ukrainki. Renata miała swój udział w finale tej ponurej sprawy. Jak Ukrainka miała na imię? Oksana? Tatiana? Coś w ten deseń, nie pamiętała dokładnie imienia dziewczyny. Za to Rowicki jak najbardziej kojarzył sprawę Tatiany z dwa tysiące szesnastego roku. Potwierdził to, co sama podejrzewała, że Żukowski był nieprzyjemnym typem, który robił nieprzyjemne rzeczy. Jego grupa między innymi sprzedawała duże ilości narkotyków i zarabiała grube pieniądze na handlu kobietami. Przynajmniej tak było siedem lat temu, bo nie wiedział, co Żukowski i jego ludzie robią teraz. I nie zamierzał się dowiadywać. Nie zdziwiła się, że Konrad nie palił się do pomocy. W styczniu koniecznie chciał jej pomagać w sprawie, która mogła się dla niej skończyć tragicznie. Nawet śmiercią. Ale ona, jak to ona, wybrała inną, własną ścieżkę. Teraz zbierała owoce swojego wyboru.

Skontaktowała się także z Konstantym Ostrowskim, z którym dawno temu, właściwie w innym życiu, pracowała w CBŚP. Konstanty dawno pożegnał się ze służbą, ale wciąż sporo wiedział albo mógł się dowiedzieć. A do tego chętnie pomagał Renacie. Może miał do niej słabość, może nie. Nie wnikała. Teraz też chętnie podzielił się zdobytą wiedzą. Ponoć grupa Żukowskiego kilka lat temu znacząco się przebranżowiła. Wciąż robili w narkotykach i handlu kobietami, ale już na zdecydowanie mniejszą skalę. I na tyle ostrożnie i sprytnie, że żadne służby nie mogły się do nich dostać. Stołeczne wróbelki ćwierkały, że Żukowski przestawił się na machloje ze śmieciami i niebezpiecznymi odpadami, a na dokładkę kręci karuzele VAT-owskie. Pieniądze ponoć są z tego większe, mniej zaś zamętu i przemocy. Pomyślała, że partner biznesowy Brody gra w zdecydowanie wyższej lidze niż gangus z Nowego Portu.

W knajpie nie było nikogo poza barmanem ustrojonym w śnieżnobiałą koszulę. Była ciekawa, czy do tej knajpy w ogóle ktokolwiek przychodzi jeść. Powiedziała, kim jest, i że ma umówione spotkanie z Żukowskim. Barman bez słowa zniknął na zapleczu. Po chwili w drzwiach najpierw pojawiło się solidne brzuszysko, a potem złączony z nim niewysoki mężczyzna, z łysiną perlącą się od potu.

– To niby ty jesteś od Brody? – wysapał pytanie.

– Tak.

– Jednak drobny kutasina z niego. Babę mi tu przysłał.

Renata z miejsca się zjeżyła.

– Coś nie pasuje? – wycodziła. – Nie powiedział ci, że przyśle właśnie mnie?

– A skąd! Zapowiedział tylko, że pojawi się jego człowiek.

To był nawet dowcip w stylu Brody. Albo też drobna złośliwość.

– W sumie ja tu wcale nie muszę być – powiedziała z pełnym przekonaniem.

– Wyluzuj, lalka.

– Tylko nie lalka, cieniasie.

Żukowski parsknął śmiechem.

– Harda jesteś. To dobrze. Usiądźmy i pogadajmy jak ludzie.

Usiadł przy najbliższym stoliku i pstryknął palcami. Po chwili barman postawił przed nim szklankę do whisky z rżniętego szkła z alkoholem polanym co najmniej na trzy palce. Gangus

upił solidny łyk i mlasnął z zadowoleniem. Renata usiadła naprzeciwko niego. Też miała ochotę na procenty, ale wiedziała, że na razie musi obejść się smakiem.

– To co to za sprawa? – zapytała od razu, bo nie miała zamiaru zabawić w Don Soprano dłużej, niż to było konieczne.

– Broda ci nie powiedział?

– Nieszczególnie.

Żukowski sapnął i powiedział:

– Mój podopieczny został zamordowany. Otruty jakąś rośliną. Nie pamiętam dokładnie jaką. Chcę, żebyś namierzyła tego, kto to zrobił. Tyle.

Morderstwo, w dodatku otrucie? Od czasu, kiedy została prywatną panią detektyw, praktycznie nie zajmowała się tego rodzaju zbrodniami. Nie była pewna, czy nie wyszła z wprawy. Musiała przynajmniej spróbować, o ile nie chciała kolejny raz boksować się z Brodą.

– Po kolei, co to za podopieczny, co robił, gdzie zginął?

– Radosław Dziwniel, miał chłopaczyna, niech mu ziemia lekką będzie, tylko dwadzieścia cztery lata – otarł dłonią pot z czoła. – Kurwa, naszczam na grób kutasa, który mu to zrobił! – nagle wrzasnął.

Żukowski najwyraźniej miał krótki zapłon. Renata podejrzewała, że robota dla niego nie będzie ani łatwa, ani prosta.

– Co Dziwniel robił? Należał do twojej mafii?

– Od razu tam mafii – boss wykrzywił się w półśmiechu. – Jestem biznesmenem i tego się trzymajmy. Radek był asystentem Krzesimira Małeckiego.

– A kto to taki?

– Kobieto, poważnie pytasz? Jeden z najbogatszych Polaków.

Z bogaczami nigdy nie było jej po drodze. Tak się jakoś składało. Szczęśliwie bądź nie, zależy, jak na to spojrzeć.

– I twój, jak to określiłeś, podopieczny dla niego pracował? Co to w ogóle był za wałek, bo coś mi w tym wszystkim śmierdzi?

Żukowski z miejsca się zapienił i szybko wyrzucał z siebie słowa:

– Robił tam i tyle. Kropka. Więcej nie musisz wiedzieć.

Powoli wzięła głęboki oddech i odliczyła w myślach do dziesięciu.

– Posłuchaj uważnie, Żukowski. Żeby ustalić, kto utrupił chłopaczkę i dlaczego, potrzebuję informacji. Bez nich w ogóle nie ruszam sprawy. I uprzedzając twoje groźby... Wstanę i wyjdę stąd. I będę miała gdzieś, czy mi spalicie samochód albo chatę.

Żukowski wbił w nią wzrok. Milczał. Wzruszyła ramionami i podniosła się z krzesła.

– Nie denerwuj się, bo wrzodów dostaniesz – rzucił cierpko. – Siadaj.

W sumie mogła dać mu jeszcze kilka minut. A potem wyjść, jeśli nie dostanie tego, czego potrzebowała, by zająć się sprawą śmierci Dziwniela.

– Dowiesz się o wszystkim, co moim zdaniem jest ci niezbędne – kontynuował boss. – Tylko nie nadużywaj mojej dobrej woli i cierpliwości. To raz. Dwa, nie może wypłynąć moje nazwisko. Absolutnie. Nikt postronny nie może wiedzieć, że to właśnie ja zlecilem ci tę robotę.

– Da się zrobić – obiecała.

Inna sprawa, że wcale nie musiała tej obietnicy dotrzymywać.

– To kim tak naprawdę był Dziwniel? I co dla ciebie robił? – od razu spytała.

– Był jednym z moich przysposobionych.

– Może wyjaśnienie dla mniej kumatych?

Żukowski dopił resztkę whisky i kolejny raz pstryknął palcami. Barman szybko naprawił, co się zepsuło.

– Wyszukujemy chłopaków z potencjałem, którzy mają ciężary w życiu. Sieroty albo z porypanych rodzin. Otaczamy ich opieką, dbamy o to, by skończyli szkoły, poszli na dobre studia. Na prawo, medycynę czy inną ekonomię. Pomagamy znaleźć dobrą pracę.

– A po jakimś czasie każecie im odpracować to, co w nich zainwestowaliście...

– Wolę to nazywać tak, że zwracamy się z uprzejmą prośbą o pomoc w ważnych dla nas sprawach.

Tylko machnęła ręką.

– I Dziwniel był jednym z tych, hm, przysposobionych? – wołała się upewnić.

Żukowski tylko kiwnął głową.

– Co dla was zrobił? – drażyla dalej.

– Tego ci nie powiem. I koniec tematu – łypnęła na nią srogo. – Ważne jest, że niedawno zwróciliśmy się do niego z prośbą o przysługę i zaraz potem ktoś wysłał Radzia na pogaduszki z aniołkami.

Renata z trudem powstrzymała się od śmiechu. Musiała przyznać, że gangus z Pragi miał niezłą nawijkę.

– Jak znam życie i światek takich... biznesmenów jak ty, pewnie masz podejrzenia, kto mógł skasować Dziwniela.

– A mam, pewnie. Kotecek z Bródna ostatnio zaczął nam wchodzić w szkodę. Najprawdopodobniej to on za tym stoi. Tak bym obstawiał w ciemno.

– Kotecek? – brwi Łukowskiej podjechały do góry.

– Ma na nazwisko Kociszewski, to taką ksywę mu przykleili.

Pomyślała, że językoznawca do spółki z psychologiem powinni przeanalizować draczne pseudonimy bandytów. Na pewno doszliby do ciekawych wniosków. Uznała, że na razie nie jest źle. Zajmowała się śledztwem od niedawna, a już dostała pierwszy trop. Nic to, że w prezencie. Inna sprawa, że byłoby zbyt proste i piękne, gdyby to Kotecek faktycznie stał za morderstwem Dziwniela. Tego rodzaju fartowne zbiegi okoliczności zdarzały jej się ostatnimi czasy bardzo rzadko.

– A kiedy i gdzie zginął ten twój przysposobiony?

– W niedzielę, jakoś tak po południu, w operze.

– W operze? – kolejny raz się zdziwiła.

– Dokładnie. W Narodowej.

Że też w tym porypanym kraju wszystko musi być „narodowe”, myślała z rozdrażnieniem. Jak tak dalej pójdzie, pewnie wprowadzą kategorię zbrodni narodowej. Bo właściwie czemu, kurde, nie?!

– Co tam się działo? Spektakl był czy jak?

Żukowski zerknął na zegarek. Czyżby już powiedział jej wszystko, co chciał zdradzić?

– Dostaniesz od mojego człowieka szczegółowe informacje na mejla. I dla jasności, nie poza tym ci już nie zdradzimy, więc nawet nie pytaj, bo mnie tylko wkurwisz. A uwierz mi, tego byś naprawdę nie chciała. Od tej pory nie spotykasz się ze mną i nie kontaktujesz. W razie problemów, uderzaj do człowieka od mejla. Przypomnę ci jeszcze, że moje nazwisko nie może wypłynąć podczas tego, jak będziesz węszyła. Jasne?

– Jak słońce dzisiaj – od razu przytaknęła. – Ale o jedno cię muszę jeszcze spytać.

Żukowski pokręcił głową i wycedził:

– Przeciągasz strunę. Wiesz, że zabawa struną może być niebezpieczna?

Pomyślała, że wyszła mu nawet oryginalna groźba. Na razie wołała jednak się nie odzywać. Czekwała, co powie boss.

– Niech będzie po twojemu, bo działasz na mnie rozbrajająco. Ale to ma być pytanie ostatnie z ostatnich.

– Dlaczego ja? Nie masz tu na miejscu ludzi od takiej roboty?

– To były dwa pytania.

– No nie bardzo. Takie tylko dwa w jednym.

Parsknął śmiechem.

– Bardzo dbamy o to, by o naszych przysposobionych nikt się nie dowiedział. Uznałem, że będzie lepiej, jeśli sprawą zajmie się ktoś z innej bajki i spoza stolicy. Tak na wszelki wypadek. No i Broda zapewniał, że „jego człowiek” – zrobił palcami znak cudzysłowu – nie chłapie ozo-rem na prawo i lewo.

Prawdziwa ciekawostka. Naprawdę bardzo chciała wiedzieć, co gangus z Nowego Portu naściemniał na jej temat. I właściwie w jaką gierkę ją uwikłał. Znała go na tyle, że doskonale zdawała sobie sprawę, że Broda przy okazji tej sprawy na pewno kręcił własne lody.

– A teraz zejdź mi już z oczu – zarządził Żukowski.

O niczym innym nie marzyła, więc od razu wstała.

– No chyba – zaczął, zanim ruszyła ku wyjściu – że chcesz coś zjeść. Mogę ci fundnąć obiad. Taki ze mnie ludzki pan – zarechotał. – Mamy najlepszą pizzę w mieście – pochwalił się.

– Obejdzie się – rzuciła.

Nie zamierzała gościć w knajpie Don Soprano choćby sekundę ponad konieczny czas.

Łukowska nie chciała poczęstunku od gangusa, który w równym stopniu ją intrygował, jak i obrzydzał, ale była głodna, więc w pierwszej lepszej praskiej knajpie zamówiła pierwszą lepszą potrawę. Padło na pierogi ruskie, które z początkiem wojny za naszą wschodnią granicą przemianowano na ukraińskie. Chociaż smakowały tak samo jak niegdyś ruskie, o czym przekonała się po raz kolejny. Taki paradoks.

Kiedy kończyła posiłek, usłyszała dźwięk przychodzącego mejla. Zgodnie z zapowiedzią Żukowskiego dostała sporo materiałów od niejakiego Xaviera. Obojętnie, jak się podpisał, bo była pewna, że imię jest wymyślone. Napisał do niej krótko i treściwie: „Materiały tajne. Nie udostępniać osobom trzecim”. Jeśli chciał ją przestraszyć albo sprawić, żeby poczuła się jak bohaterka afery szpiegowskiej – niczego nie osiągnął.

Postanowiła, że najpierw przejrzy materiały od Xaviera, a dopiero potem ustali plan działania. Na razie pewna była jedynie tego, że powinna zacząć od rozpytania Krzesimira Małeckiego.

Chciała też odpocząć po podróży z Gdańska do Warszawy, więc ruszyła w stronę podwarszawskiego Legionowa, na którego obrzeżach wynajęła pokój w nie za droгим pensjonacie. Kierowała się dobrą ceną, ale także tym, żeby nie pomieszkować w samym centrum Warszawy, by nie przebijać się codziennie przez korki. Nawet w wakacje był problem z płynnym przemieszczaniem się po stolicy. A Legionowo było na różne sposoby świetnie skomunikowane z Warszawą.

Zanim dojechała do miejsca zakwaterowania, wpadła na pomysł. Oczywiście, mogła sama poszukać w sieci informacji o Małeckim, ale przecież Darek był w te klocki dużo lepszy i skuteczniejszy od niej. Od razu zadzwoniła do swojego pracownika z prośbą, żeby wyciągnął, co się tylko da, na temat bogatego biznesmena. Darek nie byłby sobą, gdyby nie zapytał, co za nową sprawę prowadzi Renata czy właściwie – prowadzą.

– Powiem ci później – odpowiedziała bez zastanowienia.

– Naaaprawdę, Renata, znowu? Mieliśmy umowę.

Do jasnej cholery, fakt, mieli. Przez długi czas Łukowska nie wtajemniczała swojego pracownika w szczegóły co bardziej niebezpiecznych śledztw, które prowadziła. Myślała, że w ten sposób go chroni. Niesłusznie, bo o mały włos, a jej tajniczenie doprowadziłoby do tragedii. Poza tym Darek wprawdzie nie miał kwalifikacji na polskiego Bonda, ale koniec końców pokazał, że umie zadbać o siebie i innych w sytuacji zagrożenia. Obiecała mu więc, że już nie będzie zatajać przed nim informacji.

Opowiedziała mu wszystko jak na spowiedzi. Zawistowski podsumował, że nie znosi spraw, w które zamieszana jest mafia, że zwyczajnie nie cierpi mafiosów. I że cała ta historia z Dziwnielem zwiastuje wielkie kłopoty. Dla nich. Nawet nie skomentowała, bo zdawała sobie sprawę, że doszłoby do kłótni. A na nią nie miała tego dnia ani siły, ani ochoty.

Przez cały dzień za Łukowską chodziły procenty, więc na wieczór zorganizowała sobie butelkę czerwonego wytrawnego wina i drogi ser pleśniowy na przegryzkę. Jak szaleć, to szaleć. Zaczęła przeglądać to, co przysłał jej Xavier. Bez dwóch zdań była pod wrażeniem rozmachu działania Żukowskiego. Wyglądało na to, że akcja „hodowania” przysposobionych była świetnie zaplanowana i prowadzona. I że boss nie żałował na nią środków.

Kimś w rodzaju pośrednika był Remigiusz Kaleta, prezes fundacji „Na dobrej drodze”, której działalność skupiała się na pomaganiu chłopcom, zarówno tym z rodzin patologicznych albo po prostu niezamożnych, jak i sierotom. Fundacja organizowała dla chłopaków obozy, załatwiała stypendia, pomagała w miarę bezproblemowo wchodzić im w dorosłe życie. A przy okazji zajmowała się tymi, których upatrzył sobie Żukowski. Była ciekawa, jak to wszystko wyglądało. Czy Kaleta zdawał sobie sprawę, że pomaga gangusowi, ryzykując życiem podopiecznych? Prawdopodobnie gdyby postawili się donowi z Pragi, spotkałyby ich bardzo nieprzyjemne rzeczy. Czy po prostu robił wszystko, by zapewnić fundusze dla fundacji, przymykając oko na to, że czerpie je z bardzo mętnego źródła? A może całkiem świadomie wszedł w niebezpieczny układ z Żukowskim? Nie wiedziała, ale na razie taka wiedza nie była jej nie-

zbędna. Chyba. Uznała jednak, że prędzej czy później powinna rozpytać prezesa fundacji. Pewnie dobrze znał przeszłość Dziwniela. A na tym etapie śledztwa nie wykluczała, że otruty nawywiął coś, kiedy przebywał w bidulu. I że teraz ktoś się na nim mścił. Z tego, co się orientowała, sporo było podobnych historii.

- Dobra droga - prychnęła i wypila łyk wina. Dla niektórych młodych mężczyzn ta z założenia dobra droga mogła okazać się kręta i niebezpieczna.

Xavier przysłał jej też sporo zdjęć, które wskazywały, że Dziwniel był pod w miarę stałą obserwacją. Ludzie Żukowskiego dokumentowali to, co robił na co dzień i z kim. Wpatrywała się w jedno z jego zdjęć. Był wysokim, szczupłym brunetem o śniadej skórze i nieco smutnym spojrzeniu. Może tylko melancholijnym. Był z pochodzenia Romem? Niewykluczone. Xavier nie raczył przesłać jej dokumentów Dziwniela, chociaż - jak podejrzewała - pewnie je miał. Na wielu fotkach był w towarzystwie Małeckiego. W restauracjach, podczas oficjalnych eventów, we wnętrzach teatrów i oper. A nawet w jakimś muzeum przed obrazem malarza, którego nie kojarzyła. Bo i skąd? Część zdjęć była opisana. Czas, miejsce i kto jeszcze widniał na fotce. Głównie byli to biznesmeni, pomniejsi politycy czy ludzie ze świata kultury. Niektórych z nich nawet kojarzyła. Natomiast inne pozbawione były opisów. I te zaintrygowały ją najbardziej. Na dwóch z nich Dziwniel był w towarzystwie atrakcyjnej blondynki o długich prostych włosach. Na jednym obejmowali się czule. Jego dziewczyna? Przyjaciółka? Od razu wysłała Xavierowi mejla z pytaniem, czy zna personalia blondyny i czy wie, kim była dla Dziwniela. I z prośbą, by podał jej adres zamordowanego, bo nie raczył tego zrobić. Wcale nie była pewna, czy jej odpowie.

Pliki z kolejnymi dokumentami zdziwiły ją. W sumie tylko trochę. Miała przed sobą protokół z sekcji zwłok Dziwniela i fotki notatek policjantów zajmujących się tą sprawą. Najwyraźniej Żukowski miał opłacanych ludzi i w komendzie miejskiej, i w Zakładzie Medycyny Sądowej przy ulicy Oczuki. Z czasów, kiedy pracowała pod przykrywką, orientowała się, jak łatwo jest zastawić pułapkę na kreta. Narkotyki, pączkujące jak kwiecie na wiosnę długi hazardowe czy podstawiona żonatemu dziewczyna przecudnej urody. Sposobów było multum. Czego się dowiedziała z udostępnionych jej kwitów? Dziwniel został otruty cisem pospolitym. Znała tę dosyć popularną roślinę, która niemal w całości jest trująca. Najbardziej trujące są jej igły, do tego łatwo się nimi posłużyć. Wystarczy je rozdrobnić i dodać do jedzenia. Z protokołu wynikało, że asystent Małeckiego przyjął tak dużą dawkę trucizny, że w jego przypadku zatrucie nie mogło się skończyć na wymiotach i bieguncie. Nim zjawili się ratownicy medyczni, doszło do zaburzenia czynności serca oraz oddychania. Mówiąc po ludzku, jego serce się zatrzymało, a reanimacja nic nie dała. Wyglądało na to, że ktoś naprawdę zadbał o to, by Dziwniel nie odratowano. Co ciekawe, policjanci nie znaleźli na miejscu w operze żadnych potraw czy napojów zatrutych cisem. A było ich sporo, bo odbywało się tam przyjęcie urodzinowe Małeckiego. *W operze?*, trochę ją to zastanowiło. Ale właściwie, kto bogatemu zabroni. A brak zatrutego jedzenia mógł wskazywać na to, że morderca pozostał na miejscu zdarzenia, posprzątał po sobie, pozacierał ślady. Może nawet upewnił się, że Radosław nie żyje. Wymagało to nerwów ze stali. Profesjonalista? Niewykluczone. Jednak nic pewnego. Z kolejnych notatek i raportów policyjnych jasno wynikało, że szukano różnych tropów, postawiono kilka hipotez śledczych, ale jej zdaniem żadna z nich nie wyglądała na przesadnie obiecującą.

- Nikt nie obiecywał, że będzie łatwo - wymruczała pod nosem.

W butelce zaczynało się już pojawiać dno, więc zrobiła się na tyle wyluzowana, żeby kolejny raz zadzwonić do Tamaryny. Tak wołali na Ostrowskiego wszyscy znajomkowie z CBSP. Pseudo wzięło się stąd, że swego czasu Konstanty związał się z dziewczęciem o imieniu Maryna, ponoć wyjątkowym, i zamęczał wszystkich opowieściami o niej, które nieodmiennie zaczynał od słów: „Ta Maryna...”. Liczyła na to, że podrzuci jej informacje o grupie Kotecka. Solidnie podlana winem była w bajecznym nastroju, który zwarzył się od razu po pierwszych zdaniach starego kumpla. Z miejsca zaczął ją opieprzać, tłumaczyć, że sama pcha paluchy między drzwi a futrynę, więc na pewno je straci. I nie tylko je. Mówił, że i sam Kotecek, i jego ludzie są niebezpieczni i brutalni, więc bez wsparcia nie powinna się do nich zbliżać. Zaparł się, że nic o nich jej nie powie. A na dodatek zapowiedział, że jeśli tylko dotrze do niego, że węszy wokół Kotecka, z bólem serca porzuci swoją mazurską samotnię i przyjedzie do stolicy specjalnie po to, by jej nakopać. *Może sobie zapowiadać*, pomyślała, zrywając połączenie. Przypomniała sobie jedną z maksym Rowickiego: „Liczysz na kogoś, licz przede wszystkim na siebie”. Wiele razy radziła sobie w pojedynkę, prowadząc porypane sprawy, i dawała radę. Da i teraz, była tego pewna.

Dopiła wino i poczuła, że kleją jej się powieki. Zanim zasnęła, miała plan działań na następnym dzień.

20 lipca 2023 roku, czwartek, Warszawa

- Szlag by to! - warknęła Łukowska

Od dobrych trzech godzin kisiła się w przegrzonym samochodzie, zaparkowanym niedaleko starej, ale odpicowanej willi przy ulicy Czarnieckiego na Starym Żoliborzu. Wsiadła, zapaliła papierosa i oparła się o maskę audi. Miała taką zasadę, że w samochodzie nie ćmiła fajek. Bo w życiu trzeba mieć jakieś zasady. Zagapiła się na umieszczonej przy bramie willi niewielką, ale gustowną tabliczkę z nazwą firmy należącej do Krzesimira Małeckiego. Jednej z bardzo licznych firm biznesmena.

Darek Zawistowski dobrze się sprawił, zresztą jak zawsze, ona też poszperała trochę w internecie w poszukiwaniu informacji o Małeckim. Miała więc o nim jakie takie pojęcie. I była pod wrażeniem. U niej to prawdziwa rzadkość. Biznesmen posiadał wiele firm o rozmaitych profilach, które całkiem nieźle sobie radziły. Prowadził szeroko zakrojoną działalność charytatywną, a na dokładkę był aktywnym mecenasem sztuki. Szczególnie dużo uwagi i pieniędzy poświęcał operze. Wiedziała więc, skąd w sprawie Dziwniela pojawił się wątek opery. Od czasu do czasu Małecki pokazywał się na głośnych eventach, robił sobie zdjęcia z wpływowymi ludźmi, ale głównie z artystami sztuk wszelakich. I to nie z celebrytami znanymi tylko z tego, że są znani, ale z cenionymi śpiewakami operowymi, aktorami czy malarzami. Darek dokopał się nawet do fotki Małeckiego z Olgą Tokarczuk. Nawet ona kojarzyła, kim jest Tokarczuk. Poza tym nie pchał się na świecznik, najwyraźniej po cichu, a do tego skutecznie, robił swoje, nie zapominając o przyjemnościach. Z pewnym zdziwieniem odkryła, że za Małeckim i jego firmami nie ciągnął się żaden smród. Brak podejrzanych interesów, wątpliwych z punktu widzenia prawa operacji, spektakularnych strajków pracowników czy tym podob-

nych rzeczy. Albo Małecki prowadził swój biznes po bożemu, albo miał tabun niezwykle skutecznych ludzi, którzy zadbali o to, by do nazwiska szefa nie przyłgnęła choćby pacynka śmierdzącego blocka.

Problem z idealnym biznesmenem polegał na tym, że Renata nie miała z nim jak pogadać. Zero podejścia. Zanim przyjechała na Czarneckiego, długie godziny dobijała się do kolejnych sekretariatów, asystentów i pomocników asystentów, odsyłana od jednego numeru do drugiego. Wreszcie trafiła na kogoś, kto łaskawie – chwalić Pana! – chciał z nią zamienić kilka słów i chyba nawet miał kalendarz Małeckiego do wglądu. Dowiedziała się jednak tylko tyle, że pan Małecki nie ma w zwyczaju rozmawiać osobiście z prywatnymi detektywami, a poza tym gdyby nawet zechciał, to najbliższy w miarę wolny termin, ale to też nic pewnego, ma na początku września. *No żesz, do kurwy wynędzniatej!*, taki tylko komentarz przyszedł jej do głowy.

Prywatna detektyw jednak nie należała do ludzi, którzy łatwo się poddają. Postanowiła, że gdzieś go przydybie. Problem z Małeckim polegał na tym, że właściwie nie miał głównej siedziby. Ciągłe krążył po swoich firmach nie tylko w stolicy, ale i innych miastach. Z pomocą Darka wytypowali trzy, w których zdawał się bywać najczęściej. Jedna z nich miała siedzibę w willi przy Czarneckiego. Prawdopodobieństwo, że biznesmen na dniach pojawi się na Żoliborzu, było niewielkie, więc plan, by czatować tam na niego, był marny. Innego jednak nie miała.

Koło szesnastej Łukowska miała już wszystkiego dosyć. Ani śladu Małeckiego. W ogóle firma zdawała się żyć na pół gwizdka, bo w trakcie jej obserwacji weszły do niej ledwie trzy osoby. W tym listonosz. Głód wykręcał jej żołądek na drugą stronę. Czuiła, że cała lepi się od potu.

– Walić to! – powiedziała na głos.

Odpaliła samochód i pojechała w stronę Legionowa. Wykapie się, zje coś niekoniecznie zdrowego, ale treściwego. A później zastanowi się co dalej.

Odruchowo nacisnęła klamkę i zamarła. Drzwi do jej pokoju w pensjonacie były otwarte, a przecież pamiętała, że na pewno je zamykała. Zawsze sprawdzała to po wyjściu, czasami kilka razy. Sięgnęła po glocka, z którym nie rozstawała się od czasu, kiedy kilka miesięcy temu została porwana i cudem wyrwała się z rąk bandziorów. Odbezpieczyła broń, wzięła kilka głębszych oddechów. Pochyliła się, pchnęła barkiem drzwi i wpadła do środka z bronią gotową do strzału.

Zatrzymała się w pół kroku. Siedzący w fotelu mężczyzna zastygł z rękoma uniesionymi do góry. W jednej z nich trzymał puszkę piwa.

– Ty piździelcu plamiasty! – wrzasnęła Łukowska. – Mogłam cię odstrzelić.

Tamaryna tylko zarechotał i powiedział:

– Liczyłem, że ciągle masz dobry refleks.

Odstawił browara na stolik, przybili piątkę. Usiedli, Renata sięgnęła do czteropak, ale Ostrowski pokręcił głową i wyjaśnił:

– Będziesz jeszcze jeździła, bo...

- Dobra, o twoich zmyślnych planach pogadamy za chwilę. Po kiego się tu włamałeś? I jak mnie namierzyłeś?

- Wprawdzie jestem na jak najbardziej zasłużonej emeryturze i staram się mieć wywalone na wszystko, ale nie zapominaj, że kiedyś byłem dobry w te klocki i wciąż mam znajomych, którzy wiszą mi przy szlugi. Znaleźć cię nie było trudno, bo się zameldowałaś pod prawdziwym nazwiskiem.

- Nie muszę się ukrywać – powiedziała stanowczym głosem.

- Tego nie jestem taki do końca pewien. A ten zamek – skinął głową w kierunku drzwi – można otworzyć wykałaczką. Nie chciało mi się czekać na zewnątrz, bo gorąco – objaśnił z uśmiechem.

Cały Tamaryna. Za czasów wspólnej pracy w CBŚP robił, co chciał, nie przejmując się nagami i tym, że wyżej podkomisarza nie miał szans podskoczyć.

Renata patrzyła na Tamarynę, który wcale nie wyglądał jak Tamaryna. Kiedyś strzygł się na rekruta i nosił się jak wszyscy z ich wydziału – dżinsy, skórzana kurtka, bluza z kapturem. Taki rodzaj nieformalnego umundurowania. Teraz siedział przed nią leśny dziad z długą brodą i półdługimi włosami spiętymi w cienki kucyk. Nie zdzierzyła i parsknęła śmiechem.

- Czego rżysz, Petarda?

Petarda... Nie pamiętała, kiedy ktoś ostatnio posłużył się jej starą ksywką.

- Wy tam na tej mazurskiej wsi nie wiecie, że istnieją zakłady fryzjerskie?

- Wiemy, ale generalnie zwisa nam to ciężkim kalafiozem. Tak mi wygodniej, a poza tym nie mam dla kogo się upiększać.

- Nie mów, że nie masz tam żadnej panny, która ci grzeje łóżko. Ludzie aż tak z wiekiem się nie zmieniają.

- A czy ja się pytam, kogo zaciągasz do łóżka?

- Od razu zaciągasz...

Roześmiali się niemal jednocześnie i znów przybili piątkę. Czasami sobie dogryzali, ale zawsze świetnie się rozumieli.

- Dobra, powiem ci, dziewczyno, co i jak, bo niedługo będziemy się zbierać.

- Zaraz, zaraz, naprawdę muszę spytać, bo mnie to męczy. Naprawdę masz, tak jak mówiłeś kiedyś przez telefon, pasiekę?

- A właśnie, zapomniałbym – plasnął się otwartą dłonią w czoło. Pochylił się nad leżącą obok fotela torbą sportową i wyciągnął z niej nieduży słoik z paskudną etykietą z napisem „Miodek Tamaryny”. – Taki prezent na osłodę życia.

Renata przyjęła dar, pokręciła głową i skomentowała:

- Ciebie to chyba jednak kompletnie pogięło.

- Inaczej to widzę. Wrzuciłem na luz i powiem ci, że jest mi z tym zajebiście.

Odstawiła miód na stolik i zarządziła:

- Dobra, koniec pieszczot. Właściwie po co się tu przywlokłeś i co dla mnie masz? Bo zakładam, że masz.

Tamaryna powoli opróżnił puszkę, jakby chciał ją rozdrażnić.

- Kiedy wspomniałaś o Kotecku, zapaliły mi się czerwone lampki. Znam cię, więc wiedziałem, że na pewno sama uderzysz do niego albo jego ludzi, chociaż jak dla mnie to trop donikąd. Bo ty chyba wciąż szybciej działasz, niż myślisz. I ciągle wydaje ci się, że jesteś niezniszczalna.

- Nie potrzebuję niańki - burknęła.

- Poczekaj, daj mi dokończyć. Czy ty w ogóle wierzysz w to, że gangusy bawiły się w trucie kogoś? To nie w ich stylu. Swoją drogą, jaka trutka dobiła tego chłopaczynę?

- Cis pospolity.

- Kobieto! Jeszcze byłbym w stanie kupić historię, że wykończyli kogoś, pozorując przedawanie narko. Ale cis? Proszę cię...

- Tamaryna, czy ja w to wierzę, czy nie, jest drugorzędne. Po prostu muszę to sprawdzić. I tyle.

Tamaryna otworzył drugą puszkę, ale upił z niej jedynie mały łyk.

- Byłem pewien, że i tak zamierzasz to zrobić, więc postanowiłem zadbać, żebyś sobie przy okazji nie nagrabiła. I oto jestem, jako ten rycerz na białym koniu.

Łukowska parsknęła śmiechem i powiedziała:

- Nie pochlebiaj sobie.

Wyciągnęła papierosa z paczki i zarządziła, żeby wyszli przed pensjonat.

- I co, masz pomysł, ja ugryźć temat Kotecka? - zapytała.

- A pewnie. Przypomniałem sobie, że miałem uchola, Zastawę.

- Dziwna ksywka.

- To nie pseudo tylko nazwisko. Mniejsza. Koleś latał dla gangu obcinaczy palców.

- Dla mokotowskich?

- Dokładnie. Był w sumie drobnym leszczem, więc się wywinął, jak ich wszystkich zawijaliśmy. To już nie za twoich czasów było.

Ano tak, wtedy od dłuższego czasu robiła w Katowicach.

- Bo był twoim ucholem?

- Nie, później go złowiłem. Właśnie Kotecek go przygarnął. Zastawa tak się starał, że poszedł u bródnowskich w górę. Jak zbieraliśmy kwity na mokotowskich, dogrzebałem się do info, że Zastawa załatwił kiedyś jednego z ludzi Kotecka, czym się oczywiście nie pochwalił. Nabilem go na haczyk, więc robił dla mnie, co chciałem.

Renata cmoknęła.

- Ale ty przecież jesteś emerytem, który handluje miodkiem. Myślisz, że w ogóle będzie chciał z tobą gadać?

Ostrowski roześmiał się w głos.

- Jestem, ale wciąż mogę podkablować Zastawę Koteckowi.

- Dobra, to może się udać. Tylko czy ten cały Zastawa może cokolwiek wiedzieć o tym morderstwie?

- O takich sprawach jak skasowanie kogoś raczej powinien.

Detektywka zgasiła papierosa w staromodnej żeliwnej popielniczce na jednej nodze.

- Daj mi chwilę, ustawię spotkanie - zarządził Tamaryna.

Dojechali do Natolina i Ostrowski kazał jej skrócić z Belgradzkiej w prawo. Wąską uliczką dotoczyli się do ciągu pawilonów.

– Gdzie się z nim umówiłeś? – dopytała Łukowska.

– A tam – pokazał na lokal, który nazywał się Jak nie tu, to gdzie?

Jak dla niej trochę dziwnie.

– Co to w ogóle za knajpa?

– Taka se, ale mają dobrą tartę ze szpinakiem i sojowe latte.

Renata nie mogła opanować ataku śmiechu.

– Umówiłeś się z bandziorem w barze dla hipsterów?

– Tu przynajmniej nie ma szans, żeby jakiś jego wafel się napatoczył.

Uznała, że w sumie nie było to nawet głupie.

Weszli do środka, Tamaryna rozejrzał się po niewielkim pomieszczeniu i ruszył do stolika w kącie, przy którym siedział ciemnowłosy mężczyzna. Zastawa nie wyglądał na gangusa, bo ani nie był napakowany, ani ostrzyżony na jeża. Z doświadczenia wiedziała, że tacy potrafią być naprawdę niebezpieczni.

Zastawa zerknął na Renatę spode łba i powiedział ze złością, zwracając się do Tamaryny:

– Co mi tu za świnię przytargałeś?

Może i typ nie wyglądał jak bandzior, za to z pewnością tak gadał.

– Słownictwo, ciulu zbolały! – warknęła.

Zawada podniósł się z krzesła.

– Siad, Zastawa, nie rób scen. A jej tu tak jakby nie ma. Zrozumiałeś?

Gangus kiwnął głową i opadł na krzesło.

– Krótka piłka – ciągnął Ostrowski – słyszałeś o młodym facecie, którego w niedzielę otruto w operze?

– Ziomek, ja rapu słucham.

– Nie leć ze mną w chuja, tylko odpowiadaj na pytanie.

– Czemu miałby mnie interesować trup z opery?

– On to może tak niekoniecznie, ale jego szef mógłby zainteresować Kotecka, bo to jeden z najbogatszych Polaków.

– Pomyliłeś adresy. To stary Żukowski kręci się wokół pizdusiów w gajerach za kilka średnich krajowych. My z Koteckiem w takich tematach nie robimy.

– Dobra, chyba nawet ci wierzę – zgodził się Tamaryna.

– I jesteś pewien, że nikt z twojej grupy nie załatwił ani nie zlecił załatwienia Radosława Dziwniela? – dopytała Łukowska.

– Ty – Zastawa mówił, patrząc na Ostrowskiego – jak jej tu nie ma, to dlaczego ją słyszysz?

– Bo, pajacu, pewnie ci hera zryła beret i słyszysz głosy. Przydałby ci się dobry psychiatra. Po prostu odpowiedz i rozejdziemy się w pokoju.

– Jestem pewien, to nie my.

Zastawa podniósł się, ale zanim ruszył do wyjścia, Tamaryna zadał jeszcze jedno pytanie:

– Podobno macie kosę z Żukowskim. To coś poważnego?

- A skąd ty to wiesz i po co drążysz takie tematy? Przecież nie latasz już dla psiarni.
 - Ty się, Zastawa, nie interesuj, bo kociej mordy dostaniesz. Mów, co wiesz.
- Gangus pochylił się nad stolikiem i oparł o niego dłonie.
- Z Żukowskim to takie tam zwykle pieszczoty – mówił powoli. – Nie za bardzo dogadujemy się, które kawałki miasta do kogo należą. I tyle. Więcej ci już nic nie powiem. Nigdy.
- Odwrócił się i poszedł w stronę drzwi.
- To ja o tym decyduję! – Tamaryna krzyknął w stronę jego pleców.

21 lipca 2023 roku, piątek, Warszawa

Łukowska śniła koszmar. Znowu. Kiedy nagle wyrzuciło ją z niego, przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest. Na szczęście nie zapamiętała, która z nawracających koszmarnych historii dręczyła ją tej nocy.

Wzięła szybki prysznic, jeszcze szybciej zjadła śniadanie. Papieros i kawa. Nawet dwie, żeby na dobre się dobudzić.

Poszła spać późno, bo organizowała sobie spotkania i zajęcia na następny dzień. Wcześniej odstawiła Tamarynę do jego warszawskiego mieszkania. Drobnny cwaniaczek. Niby podawał się teraz za człowieka z Mazur, ale na wszelki wypadek zachował sobie lokum w stolicy. Może mazurska dzicz, pszczołki i odcięcie się od dawnego życia to były jednak zwykłe fanaberie. Coś w rodzaju chwilowej fascynacji odmianą. Wiedziała, że Tamaryna zawsze miał słomiany zapach do wielu spraw. Chociaż nie zamierzała więcej korzystać z jego pomocy, zapowiedział, że zostanie w Warszawie jeszcze kilka dni. Tak na wszelki wypadek, gdyby był potrzebny. Nie protestowała, była pewna, że i tak zrobi, co będzie chciał.

Nie dostała mejla od Xaviera, co trochę podniosło jej ciśnienie. Wysłała kolejną wiadomość, w której domagała się adresu Dziwniela i personaliów blondyny ze zdjęć. W nie do końca parlamentarnych słowach. Skontaktowała się z Kaletą, prezesem fundacji „Na dobrej drodze”. Ten przynajmniej nie wydziwiał i zgodził się na spotkanie. Miała cichą nadzieję, że Kaleta podrzuci jej jakiś ciekawy i obiecujący wątek z przeszłego albo teraźniejszego życia dawnego podopiecznego. Teraźniejszego, aczkolwiek dokonanego.

Z Kaletą była umówiona w kawiarni na Nowym Świecie, więc wcześniej pokręciła się trochę pod siedzibami firm Małeckiego, nie licząc na wiele. Kontrolnie znowu skontaktowała się z jego głównym sekretariatem, ale po połączeniach z różnymi jego pracownikami i wysłuchaniu kilku wkurzających melodyjek „na czekanie”, dowiedziała się tego samego, co wiedziała od wczoraj. Małecki był niedostępny i nieuchwytny. Wystawanie przed jego firmami też nic nie dało. Powoli dojrzywała do decyzji, by poszukać jakiejś innej ścieżki dostępu do biznesmena. Na razie nie miała pomysłu, jak to zrobić.

- Walić to! – skwitowała.

Kaleta wyglądał odrobinę jak podstarzały harcerz, z tych nieustannie działających w trybie „Czuj, czuj, czuwaj!”. Mówił dużo i chętnie o działalności fundacji. I ile dobrego zrobili dla dzieciaków, które miały naprawdę ciężki start w życie. Była skłonna uwierzyć, że mówił szcze-

rze. Niestety, w sprawie Dziwniela nie okazał się przesadnie pomocny. Ponoć przed spotkaniem nawet przejrzał dokumenty dotyczące asystenta biznesmena, zastrzegł jednak, że wprawdzie raz czy dwa spotkał się z Radkiem, ale generalnie zajmował się nim pracownik fundacji, który – tak się nieszczęśliwie składało – przebywał na zagranicznych wakacjach. Kaleta wiedział tylko, że Dziwniel był bardzo zdolnym chłopcem, który unikał kłopotów. Przynajmniej tych poważniejszych. Po osiągnięciu pełnoletności szybko się usamodzielniał i przestał pobierać specjalnie ufundowane dla niego stypendium. Na studiach załapał się na stypendium naukowe, do tego dorabiał sobie, pracując w knajpach. Generalnie radził sobie świetnie sam. I szybko zdobył naprawdę dobrą posadę.

Łukowska dopiła espresso, ale wciąż czuła się lekko ospała. Prezes fundacji popijał shake warzywny, który wyglądał jak błoto. Wiadomo – w zdrowym ciele zdrowy duch.

– A wie pani, tak mnie teraz nagle oświeciło... – niespodziewanie rzucił Kaleta.

– Proszę mówić – zachęciła go bez większych nadziei.

– Jeśli ktokolwiek z dawnych czasów do teraz utrzymywał kontakt z Radkiem, to na pewno Barbara Raczek.

– A kto to?

– Wychowawczyni z domu dziecka. Naprawdę rewelacyjna kobieta, bardzo zaangażowana w pracę. Co ja mówię, jaką pracę? Ona traktuje ją jak misję. Bardzo dba o dzieciaki. A Radka wprost uwielbiała. Chyba z wzajemnością.

Kaleta podyktował Renacie adres domu dziecka pod Radomiem. Był czas najwyższy, żeby skończyć spotkanie z prezesem fundacji. Jednak Łukowska nie byłaby sobą, gdyby nie zadała kolejnego pytania. Gdyby go nie zadała, najzwyczajniej w świecie czułaby się podle.

– Ale wie pan, kto łożył na pomoc Dziwnielowi?

– Proszę pani, nie udzielamy informacji na temat osób, które wspomagają naszą fundację. Zresztą, niektórzy z nich życzą sobie zachować anonimowość.

Renata skrzywiła się i postawiła sprawę jasno:

– I pan wie, i ja wiem, że Radosławowi, a pewnie i innym chłopakom, objętym pomocą przez pana fundację, środki zapewniał Żukowski z Pragi. Nie ma pan z tym problemu.

Kaleta westchnął ciężko i pociągnął łyk brunatnej mazi, pewnie tylko po to, by zyskać czas na ułożenie w głowie zgrabnej odpowiedzi.

– Pan Żukowski jest poważnym przedsiębiorcą o nieposzlakowanej opinii.

– Żeby to jeszcze prawda była – rzuciła Łukowska. – Dziękuję za zamiar na dom dziecka i... – na chwilę zawiesiła głos – i mimo wszystko powodzenia w działaniach fundacji.

Kaleta nie powiedział już ani słowa.

Idąc do samochodu, zastanawiała się, czy Kaleta był bohaterem pozytywnym czy raczej negatywnym. Na pewno zdawał sobie sprawę, kim jest Żukowski. I że chłopakom, którzy korzystali z pieniędzy bossa, kiedyś przyjdzie odpracować każdą zainwestowaną w nich złotówkę. A robota dla Żukowskiego wcale nie musi być łatwa i miła.

– Odcienie szarości. Wszędzie tylko szarość – powiedziała na głos, klepiąc dach swojego audi. Bez wątpienia czarnego.

Nie dotarłaby do wsi, a już na pewno nie do domu dziecka, gdyby nie odpaliła nawigacji, czego zazwyczaj nie robiła. Nie cierpiała, gdy głosik z aplikacji cokolwiek jej nakazywał z upierdliwą stanowczością. Nawet głos Hołowczyca wkurwiał ją w stopniu znacznym.

Bidul znajdował się spory kawałek za niewielką wioską. Zajechała pod bramę, wysiadła i rozejrzała się po okolicy. Siedziba sierocińca mieściła się w budynku, który wyglądał jak stary dworek. Na pewno przydałby mu się remont, chociaż jego otoczenie – ogród z placem zabaw i niewielki park – wyglądało na zadbane. Nacisnęła przycisk domofonu i po chwili dreptała ku niej niewysoka, otyła kobieta z włosami upiętymi w staromodny koczek i twarzą pokrytą siateczką zmarszczek. Częściowo pewnie utrwalonych i pogłębionych od częstego śmiechu. Wyglądała Renacie na jedną z tych kobiet, które chcą przytulić do serca cały świat. A już sierotki w szczególności. Raczek przywitała się z nią wylewnie.

W środku było czysto i schludnie. Wychowawczyni zaprowadziła detektyw do niewielkiego, lekko zabałaganionego gabinetu. Oczywiście chciała ją częstować kawą i ciastem. Domowym. Kawy nie odmówiła, ale na słodkie nie miała ochoty.

Kiedy tylko Łukowska zapytała o Dziwniela, kobieta załała się łzami. Renata podsunęła jej stojące na biurku pudełko z chusteczkami jednorazowymi i cierpliwie czekała, aż wychowawczyni opanuje emocje.

Wciąż jeszcze pochlipując, Raczek snuła opowieść o jednym ze swoich ulubieńców, co jakiś czas pytając, kto mógł zrobić Radziowi coś tak straszego. Renata tylko raz odpowiedziała, że nie wie, ale zrobi wszystko, by się dowiedzieć. Między innymi po to tu przyjechała. Zdaniem wychowawczyni Dziwniel był bardzo bystrym i spokojnym dzieckiem. Nie zawsze chętnie się uczył, ale nadrabiał inteligencją, więc oceny miał dobre. I był, wedle słów wychowawczyni, po prostu kochany. We wczesnych latach nastoletnich trochę szumiał, popalał papierosy, próbował alkoholu. W sumie jak wszyscy. Jednak im był starszy, tym bardziej skupiał się na tym, by pójść na studia i dobrze ustawić się w życiu. A przez to nie był przesadnie lubiany przez inne dzieciaki, które miały go za nudnego i sztywnego kujona. Szybko osiągnął sukces. Raczek była z niego bardzo dumna, chociaż i ona poniekąd zapłaciła za to, że Radziowi powiodło się w życiu. Przez cały pobyt w bidulu i studia wychowawczyni miała z nim bardzo bliski kontakt, który zaczął się szybko rozluźniać, kiedy zaczął pracę u Małeckiego. Radio dzwonił do niej coraz rzadziej, głównie po to, by złożyć życzenia świąteczne. I już prawie nie mówił o sobie. Może nie było mu to już potrzebne, może zwyczajnie nie miał czasu. Raczek rozumiała to, chociaż było jej z tego powodu przykro. Trochę.

Dla Łukowskiej przypadkiem Dziwniela był zarazem ciekawy i irytujący. Wszyscy, z którymi rozmawiała, powtarzali jak mantrę, że Radosław był poukładanym młodym mężczyzną z potencjałem. I nie mieli pojęcia, jak ostatnio wyglądało jego życie osobiste. Renata dopuszczała możliwość, że – pracując dla kogoś takiego jak Małecki i chcąc utrzymać tę posadę – musiał być dyspozycyjny dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu. Dziwniel najzwyczajniej w świecie mógł nie mieć czasu i energii na życie osobiste.

Bez większych nadziei detektywka spytała, czy Dziwniel miał jakiegoś przyjaciela, o którym Raczek wie. Okazało się, że jak najbardziej. Przyjaciel nazywał się Alan Patycki i od małego trzymał się z Radosławem. Za to wobec opiekunów z bidula, w tym Barbary, był nieufny.

Z coraz rzadszych rozmów z Radziem Raczek zorientowała się, że młodzi mężczyźni wciąż trzymają się razem. Czy na pewno? Nie mogła tego potwierdzić.

Cóż, zawsze był to jakiś trop, jakiś człowiek do rozpytania, z czego coś mogło wynikać. Mgliste coś, ale Łukowska musiała się chwycić, czego tylko mogła. Poprosiła wychowawczynię o jakiegokolwiek namiary na Patyckiego. Ku wielkiemu zdziwieniu Renaty zaczęły się ceregiele. Że Raczek nie może, że przepisy i dane wrażliwe. Z jej ust padło straszne zakłęcie – RODO. Prywatna detektyw z miejsca się zapieniła, więc bez zastanowienia pojechała Barbarze po emocjach. Na grubo. Że niby Radziowi przychyliłaby nieba i zrobiła dla niego wszystko, nawet po śmierci, a nie chce pomóc w ujęciu mordercy. Raczek od razu zaczęła lkać, ale nie ustąpiła. Bo RODO. *I chuj*, Renata dodała w myślach. Pożegnała wychowawczynię oschle.

Jechała krajową siódemką w stronę Warszawy o wiele szybciej, niż pozwalały przepisy. W końcu jednak złość z niej spłynęła. Zwolniła i przez pewien czas, jak na jej zwykły styl jazdy, prawie wlokła się prawym pasem.

– RODO srodo – Renata zamamrotała pod nosem.

Nie chciała się wkurzać i przejmować drobiazgami, więc wybrała numer Tamaryny. *Aż pali się do pomocy, zatem niech się chłopaczyna wykaże i skombinuje mi adres Alana*, pomyślała z lekkim rozbawieniem.

I Ostrowski się wykazał. Renata wjechała już w przedmieścia stolicy, w tę brzydką jak pochmurna noc przestrzeń zapełnioną bez ładu i składu hurtowniami, fabryczkami i rozmaitymi szemranymi zakładnikami, kiedy Tamaryna oddzwonił do niej z radosną wieścią, że pchnął jej esemesem numer telefonu Alana. Zdziwiła się, że tak szybko mu poszło. Zaczął rzucać czerstwe żarty w swoim niepowtarzalnym stylu, że jest szybszy od biegunki, ale koniec końców wyjaśnił, że kiedy ustalili miejsce pracy Patyckiego, dalej poszło już gładko. Jak to zrobił, Łukowska ani nie chciała, ani nie musiała wiedzieć. Alan robił w Agencji Ochrony Błyskawica, której jednym ze współwłaścicieli był stary kumpel Tamaryny, więc wszystko było już proste.

Łukowska życzyła sobie, żeby w sprawie Dziwniela wszystko szło tak bezproblemowo. Od raz zadzwoniła do Alana, ale odezwała się poczta głosowa. Nagrała wiadomość z krótkim wyjaśnieniem, kim jest i czego od niego chce, i prośbą o kontakt. Pilny.

Po lekkiej kolacji nałała sobie kieliszek wina. Miało jej pomóc szybciej zasnąć. Tak to tłumaczyła, chociaż miała świadomość, że ostatnio trochę przesadza z alko. Zanim upiła choćby łyk, odezwała się komórka. Patycki oddzwonił i sprawiał wrażenie poruszonego. Od razu zadeklarował, że jeśli tylko może pomóc w namierzeniu kutasa, który zabił mu przyjaciela, pisze się na wszystko. Dosłownie. Tyle że dopiero jutro, bo był na nocce w robocie. Spokojnie mogła poczekać, bo parę godzin w tę czy we w tę nie robiło jej różnicy.

Przed snem weszła na mejla. Bez większych nadziei. A tu niespodzianka, bo Xavier, kimkolwiek był, raczył się odezwać. Był konkretny jak poprzednio. Dostała adres zamieszkania Dziwniela, a na pytanie, kim jest blondynka ze zdjęć, krótką odpowiedź: „Nie wiemy”. Przez

chwilę zastanawiała się, czy to prawda. Nie mogła wykluczyć, że Żukowski coś przed nią ukrywał. Ale jeśli tak, to właściwie dlaczego?

Wyświetliła fotkę, na której roześmiany Dziwniel obejmował blond piękność, i wpatrzyła się w dziewczynę.

– Kim jesteś, dziewczuszko?

Rozdział drugi żar w oczach

22 lipca 2023 roku, sobota, Warszawa

Niebo nad Warszawą zasnuwały chmury o rozmaitych kształtach i odcieniach szarości, ale było gorąco i duszno. Ledwie Łukowska wyszła przed pensjonat i wypaliła papierosa, a koszulka na ramiączkach zaczęła lepić się jej do spoconych pleców.

– Szlag by to ciężki! – zaklęła cichym głosem.

Miała na sobotę dwa priorytety: rozpytać Alana i pokręcić się w miejscu zamieszkania Dziwniela. Prawdę powiedziawszy, nie liczyła, że tego dnia zdobędzie informację kluczową dla sprawy, nic więc dziwnego, że najchętniej wyłożyłaby się gdzieś nad wodą. Idealnie byłoby byczyc się teraz na plaży w Gdańsku. Niestety, nic nie wskazywało na to, że na dniach będzie mogła opuścić stolicę.

Trochę dla spokoju sumienia i by mieć odhaczony temat, pojechała pod siedzibę firmy Małeckiego na Żoliborzu. Kiedy zobaczyła zbliżający się do wjazdu na posesję samochód, w pierwszej chwili zwyczajnie nie uwierzyła w to, co widzi. Tego rodzaju cuda zdarzały jej się od wielkiego dzwonu.

Z dostarczonego jej przez Darka dossier biznesmena wynikało, że wprawdzie miał wiele samochodów, ale najchętniej woził się czarnym mercedesem klasy G. Wybór gelendy był nieoczywisty w przypadku nieprzyzwoicie bogatego mężczyzny, ale jak dla Renaty zrozumiały, bo uważała te auta za bardzo dobre. I właśnie czarna, wypucowana i błyszcząca, jakby ledwo co wyjechała z salonu, gelenda skręciła przed bramę firmy i czekała, aż ta się otworzy.

Renata wyprysnęła z audi i pobiegła, ile sił w nogach. Miała nadzieję, że samochód nie odjedzie i że uda jej się namówić Małeckiego na chwilę rozmowy. Trochę desperacki plan, by nie powiedzieć, że zwyczajnie głupi, ale innego nie miała. Zanim chwyciła za klamkę mercedesa, otworzyły się drzwi od strony kierowcy i wyskoczył z nich wysoki mężczyzna w czarnym garniturze, białej koszuli i pod krawatem. W uchu miał słuchawkę. Złapał ją za ramię i rzucił na maskę auta. Mocno i na pewno nie dbając, czy się poobija. Jęknęła, chociaż bardziej zełości niż z bólu. Dała się spacyfikować niczym nowicjuszka. Zaczęła się szarpać.

– Leż – rzucił komendę.

– Jestem prywatną detektyw. Chcę tylko porozmawiać z twoim szefem.

– Wielu ludzi chce.

– W tylnej kieszeni spodni mam wizytówkę. Pod lewą pachą mam kaburę z bronią – chciała pokazać ochroniarzowi, że jest skłonna do pełnej współpracy.

Mężczyzna nie powiedział słowa. Wziął wizytówkę, a do tego zabrał jej broń. Nie było najlepiej.

Odwróciła głowę i spojrzała do wnętrza samochodu. Małecki patrzył prosto na nią z półśmiechem. Sprawiał wrażenie rozbawionego. Wykonał gest dłonią, po którym ochroniarz ją puścił.

– Sześć z tobą pogada. Bez gwałtownych ruchów, bo cię skuję – powiedział beznamiętnym głosem.

Wyprostowała się, rzucając mu nienawistne spojrzenie, i podeszła do tylnych drzwi gелendy. Przyciemniana szyba opuściła się ledwie w jednej czwartej, więc widziała tylko oczy i czoło biznesmena.

– Doceniam ludzi odważnych, wręcz brawurowych – głos Małeckiego był spokojny i głęboki. – Kupiła sobie pani dwie minuty mojej uwagi.

Szybko powiedziała, kim jest i jaką sprawą się zajmuje.

– Kto panią wynajął?

– Nie mogę powiedzieć. Tajemnica zawodowa.

– Jak tak pani stawia sprawę, to niczego pani ode mnie nie usłyszysz.

Pokręciła głową, jakby w ten sposób dawała do zrozumienia, że nie zgadza się z decyzją biznesmena. Kątem oka zauważyła, że ochroniarz stoi tyłem do niej i rozgląda się dookoła. Zwyczajny nawyk? Czy może naprawdę wkręcił się, że jej spontaniczna akcja jest częścią napadu na jego szefa i zaraz objawi się cała banda jej kumpłi? Kto go tam wiedział.

– I naprawdę nie zależy panu na złapaniu truciela pana asystenta, więc chyba bardzo bliskiego pana pracownika, może to pana interesy doprowadziły do śmierci Radka i może... – na jednym oddechu wyrzucała słowa z szybkością karabinu maszynowego, aż Małecki przerwał jej ostro:

– Dosyć tego. – Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. – Współpracuję z policją, z panią nie muszę. Nie do widzenia się z panią.

Szyba mercedesa od razu podjechała do góry, a tuż przy niej bezszelestnie zmaterializował się ochroniarz, który wziął ją pod ramię i pociągnął w stronę jej auta:

– Puszczaj, ciulu! – syknęła. – Zrozumiałam przekaz, a do tego, wierz mi, nie mam demencji, więc spokojnie sama trafię do auta.

Ochroniarz puścił ją i stanął. Oddał jej glocka, mówiąc cicho:

– Zajrzyj do kieszeni.

Stał na chodniku i patrzył na nią tak długo, aż wskoczyła za kółko i odjechała z piskiem opon. Zatrzymała się za pierwszym lepszym zakrętem i sięgnęła do kieszeni. Miała w ręku swoją wizytówkę, na której odwrocie był nabazgrany krótki, acz treściwy tekst: „Knajpa Bordo, południe, bądź”.

Zaiste ciekawostka. Albo kolejny tego dnia cud.

Saska Kępa – nawet niczego sobie miejsce. Dziwniel z pewnością zgarniał od Małeckiego sporą kasę, więc mógł sobie pozwolić na mieszkanie w dobrej lokalizacji. Łukowska znalazła blok, w którym mieszkał. Niewielki i pewnie stary, powstały, na jej oko, w latach pięćdziesiątych albo sześćdziesiątych. Zaparkowała trochę na dziko, na chodniku, mając nadzieję, że nie

przypała się straż miejska czy policja. *To ja jestem policja*, przeleciał jej przez głowę tekst, który nie raz, nie dwa rzucała, będąc w służbie.

Pukała do mieszkań w obu klatkach, ale dostała to, czego się spodziewała. Wielkie nic. Nikt z ludzi, którzy raczyli otworzyć przed nią drzwi, nie kojarzył Dziwniela. A jeśli już, to tylko z widzenia. W sumie przecież nie liczyła na zbyt wiele. Czasy były, jakie były. Nikt specjalnie nie interesował się ludźmi, którzy mieszkali po sąsiedzku.

Wyszła przed klatkę i zapaliła.

– Palenie jest szkodliwe.

Spojrzała w stronę, z której doszedł ją głos. Na ławce siedział zasuszony staruszek w płóciennej czapce. Obok jego stóp leżał stary, spasiony jamnik. Starzec uśmiechał się promiennie.

– Tak jak i życie – burknęła.

Mężczyzna zachichotał.

– Lubię kobiety, które stać na ciętą ripostę – poklepał ławkę obok siebie. – Pani szanowna siada. Mnie dym nie szkodzi. W sumie... To już nic za bardzo nie może mi zaszkodzić.

Usiadła obok niego. Jamnik otworzył jedno oko, ale chyba uznał, że nie dzieje się nic ważnego, bo zaraz je zamknął.

– Przepraszam, że pytam, ale pani tak tu się kręci... Szuka pani kogoś?

– A tak. Jestem prywatną detektywką. Renata Łukowska.

Podawała mu dłoń. Ucisnął ją lekko.

– Gdzie moje maniery... Jacek Łukowski. Miło mi panią poznać.

Zgasiła papierosa w stojącym obok koszu, wyjęła smartfon i pokazała mężczyźnie zdjęcie Dziwniela.

– Kojarzy go pan?

– A nawet tak. Jak pani jest detektywem, to pewnie coś złego zrobił.

– Jemu zrobiono. Został otruty.

– Straszne teraz czasy – skomentował staruszek.

– Czasy jak czasy. Coś pan o nim wie?

– A jak się nazywał? Tak z ciekawości pytam. Bo my się tylko tak mijaliśmy pod blokiem. Nie powiem, grzeczny młodzieniec, zawsze „dzień dobry” powiedział.

– Radosław Dziwniel. Widywał go pan tutaj z kimś? Coś niepokojącego się z nim działo?

Staruszek poprawił czapkę i powiedział:

– Wiem tyle, że w sumie on tu tylko sypiał. Wychodził skoro świt, wracał po nocy. Pewnie dużo pracował, jak to teraz młodzi. Często go widywałem, bo wie pani, Baron – wskazał na psa – ma problemy z pęcherzem, więc dużo razy wychodzimy na dwór.

Renata pokiwała głową. Znalazła kolejne zdjęcie w telefonie i pokazała Łukowskiemu.

– A tę kobietę pan kojarzy?

– Oczywiście. Mógłbym zapomnieć imię mojej świętej pamięci żony, ale nie twarz takiej piękności.

Łukowska nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Widział pan ją tutaj?

- Oczywiście, pewnie ze dwa albo trzy razy. Była taka promienna. I chyba dobrze się czuła w towarzystwie tego... Jak mu tam było?

- Dziwniela.

- Właśnie. Kiedyś nawet pomyślałem, że chłopak ma szczęście. On był z tych takich niewygodnych. A ona nie dość, że piękność, to jeszcze miała w oczach taki żar. Na pewno była namiętna. Pani uwierzy, znam się na tym.

Puścił do Renaty oko. Uwierzyła.

Łukowska przyszła do Bordo przed czasem. Była bardzo ciekawa, co ochroniarz Małeckiego ma jej do powiedzenia. Dopiła sok, nerwowo postukiwała paczką papierosów o stolik. Ochroniarz pojawił się kilka minut po dwunastej. Zanim podszedł do niej, uważnie zlustrował pomieszczenie. Nawyk? Był kiedyś żołnierzem albo policjantem? Niewykluczone.

- Nie mam za wiele czasu, więc będę się streszczał - powiedział, dosiadając się do niej. - A tak w ogóle, Darek Łatka - przedstawił się i skinął głową.

- Renata.

- Wiem z wizytówki.

- Zanim powiesz, z czym przychodzisz, jedno pytanie: dlaczego ja?

Darek uśmiechnął się krzywo.

- Wydaje mi się, że mój szef zrobi wszystko, aby ta ponura sprawa szybko została zamknięta. Ma na to dosyć środków i znajomości. A takie afery na pewno nie pomagają mu w biznesie.

- No jasne. Może Dziwniel został otruty właśnie przez interesy szefa?

- Nie sądzę. Małecki, z tego co widzę, raczej nie wchodzi w jakies podejrzone układy. Wracając do tematu, policja raczej się specjalnie nie przykłada do sprawy, a ty, że tak to ujmę, sprawiłaś dzisiaj wrażenie zdeterminowanej.

- Mam swoje powody.

- Nie drażę, bo mi to nie jest potrzebne do szczęścia.

- To co masz dla mnie?

Ochroniarz przetarł ogolone na jeża włosy.

- Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale muszę o tym komuś powiedzieć - stwierdził. - Prawie miesiąc temu, na wyjeździe do Karpacza, Radek przespał się z szefem.

Akurat takiej informacji Renata się nie spodziewała.

- Małecki jest gejem? - spytała detektyw.

- A cholera go wie. Z tego, co widzę, po prostu korzysta z życia, ile się da. Wiesz, coś w rodzaju: żeby życie miało smaczek, raz dziewczynka, raz chłopaczek.

- A skąd o tym wiesz?

- Widziałem, jak Radek po nocy wychodzi z apartamentu szefa.

- To jeszcze o niczym nie świadczy.

- No, raczej nie wyglądał, jakby sprawdzali słupki w Excelu. I wyraźnie spanikował na mój widok.

Łukowska przez chwilę zastanawiała się, co to może dla niej oznaczać.

- Dobra, załóżmy, że Dziwniel rzeczywiście przespał się z szefem...

- Na bank.

- Tylko co dalej? Przecież Małecki go nie otruł, bo i po co? Z tego, co powiedziałaś, twój szef dosyć swobodnie traktuje relacje erotyczne z innymi. Jakoś nie ogarniam motywu.

- Może chodzi o kogoś z otoczenia Radka, kogoś bliskiego.

- Wiesz o kimś takim?

- Nie bardzo. Ja się tylko Małeckim zajmuję.

Alan Patycki był chudy, wręcz zabiedzony. I na pewno nie wyglądał na ochroniarza. Łukowska z rozbawieniem próbowała sobie wyobrazić sytuację, w której Alanek stara się kogokolwiek ochronić.

Renata spotkała się z nim pod stacją metra Centrum. Poszli w stronę rachitycznego parczku obok Pałacu Kultury. Usiedli i zapalili.

- Podobno dobrze się znałeś z Radkiem? - spytała Łukowska.

- Trzymaliśmy się razem od dzieciaka. I tak zostało. Mógł mnie olać, jak wszedł w wielki świat, ale nie. Spotykaliśmy się przynajmniej raz w miesiącu, chociaż wiedziałem, że Radzio jest zarobiony. Szacun. Szkoda kumpla...

Patycki cisnął niedopałkiem przed siebie.

- Wiedziałeś może o jakichś jego problemach? Miał z kimś kose? - spytała Renata.

- Problemy? - Alan prychnął. - Za dużo pracował. Mówiłem mu, że nie ma praktycznie życia tylko robotę. Ale on się w to wkręcił. Ale wiesz... - Patycki zagapił się przed siebie. - Ostatnio był jakiś dziwny. Taki bardziej spięty. Nawet go pytałem, o co chodzi, ale mnie złał.

Czyżby chodziło o seks z szefem? Renata nie była tego pewna. Uruchoimiła komórkę i pokażała Alanowi zdjęcie blondynki.

- Kojarzysz ją?

- A pewnie. Dorota Lis, była z Radziem od pół roku. Mniej więcej. Bardzo ją kochał, chyba. On za dużo nie mówił o emocjach.

- Masz jakiś namiar na nią?

- Nie, ale wiem, gdzie mieszka.

- Podaj adres.

- Nie znam, ale ci pokażę. Raz tam z nim byłem. A mam pamięć fotograficzną, to trafię na miejsce.

Renata zaparkowała audi przed wieżowcem przy ulicy Skrajnej.

- To tu? - wołała się upewnić.

- Spoko luz. Na pewno.

Wysiedli z auta i wbili do klatki schodowej na legendę kuriera. Winda śmierziała moczem. *Zaiste milutko*, pomyślała Łukowska.

Winda zatrzymała się ze zgrzytem na piątym piętrze. Alan od razu skierował się do drzwi na wprost. Ledwo zadzwonił, a drzwi się otworzyły.

Blondynka, która stanęła przed nimi, była przepiękna. Renata nie mogła od niej oderwać wzroku przez dłuższą chwilę. Wreszcie się ocknęła i powiedziała:

– Chcemy porozmawiać o Radku Dziwnielu.

Kobieta opuściła głowę tak, że włosy zasłoniły jej twarz.

– Czekałam na was... Właściwie na kogokolwiek.

Epilog

24 lipca 2023 roku, poniedziałek, Gdańsk, Nowy Port

Poranek był rześki, więc Łukowska postanowiła, że już czas najwyższy zadbać o kondycję i pobiegać. Biegła powoli pustymi uliczkami Nowego Portu, jeszcze raz mieląc w głowie to, co zdarzyło się w ostatniej sprawie.

Za cholerę nie potrafiła pojąć tego, co zrobiła Dorota Lis. Jasne i proste, Dziwniel ją zdradził z szefem i przyznał się do tego. Bo zdaje się był na swój sposób porządnym mężczyzną. A ona postanowiła się zemścić i go otruć. Zbrodnia w afekcie? To, jak posprzątała po sobie miejsce zbrodni, wskazywało, że jednak nie do końca.

Renata nigdy nie rozumiała takich emocji.

Dobiegła do brzegu Martwej Wisły i zatrzymała się, dysząc. Nie miała najlepszej kondycji. Rozdzwoniła się komórka. Nieznany, ale odebrała.

– Masz przejebane, laska.

Żukowski. W sumie mogła się tego spodziewać. Zignorowała „laskę”, bo chciała mieć tę pogawędkę jak najszybciej z głowy.

– Bo?

– Było nie dostarczyć psiarni tej panny od mojego przysposobionego.

– Nie pamiętam takiej umowy.

– Kiepską masz pamięć.

Żukowski dyszał do słuchawki.

– Pogadam z Brodą. To się tak miło nie skończy.

Rozłączyła się od razu.

Czy to już ten czas, że powinna się oglądać za siebie?

KATARZYNA GACEK

CARMEN

O tym, że zamorduję swojego męża, zdecydowałam podczas drugiego aktu opery *Pajace*. A konkretnie w momencie, w którym Canio, zdradzony mąż, wbija sztylet w serce niewiernej żony. Czy ta historia coś mi przypominała? I tak, i nie. Czy bałam się, że może zainspirować mojego męża? Bynajmniej. Czy zainspirowała mnie samą? W jakimś sensie owszem.

Paradoksalnie o tym, że pójdziemy na ten spektakl, postanowił właśnie on. Bo to on był w naszym domu niekwestionowanym miłośnikiem i znawcą opery. W dniu, w którym ruszała przedsprzedaż na nowy sezon, kupował bilety na wszystkie premiery i potem musieliśmy dopasować nasze plany do kalendarza przedstawień. W rezultacie tkwiłam teraz razem z Mariuszem w tym jego ukochanym piątym rzędzie, udając, że słucham muzyki, i zastanawiając się jednocześnie, co myśli, oglądając na scenie historię niewiernej żony, kochanka i zdradzonego męża krążącą niebezpiecznie blisko naszej wspólnej rzeczywistości.

A jeszcze kilka dni temu naprawdę cieszyłam się na to wyjście. Przesłuchałam sobie wcześniej kilka wersji *Pajaców*, które udało mi się znaleźć w sieci. Zawsze tak robię. Im lepiej znam operę, tym większą mam potęgę satysfakcję, słuchając nowego wykonania, tym więcej niuansów jestem w stanie wychwycić, tym większą mam satysfakcję, porównując rozwiązania aranżacyjne. Mój mąż nie jest fanem tego systemu. Twierdzi, że w ten sposób zabijam emocje, bo opera według niego to przede wszystkim emocje, które pojawiają się wtedy, kiedy muzyka i historia nas zaskakują. Ciekawe podejście jak na kogoś, kto większość oper zna na pamięć...

Ale fakt, *Pajace* emocjami kipią: miłość, zdrada, zazdrość, zemsta... No i oczywiście na koniec śmierć. W końcu niewiele jest oper, w których nikt nie ginie.

Żałowałam, że nie mogę się cieszyć z przedstawienia, bo było naprawdę dobre. Choć dzisiaj trudno o wybitnych tenorów, reżyserowi udało się zebrać bardzo przyzwoitą obsadę. Do tego ciekawa inscenizacja przenosząca dziewiętnastowieczną historię w czasy współczesne, i świetna scenografia. W innych okolicznościach byłabym zachwycona. Dzisiaj pulsowała mi w głowie jedna myśl: *Wszystko jest teatrem. Wszystko*.

Obserwując artystów w kostiumach pajaców, ukrytych za przesadnie ekspresyjnymi maskami, co jakiś czas posyłałam szybkie, kontrolne spojrzenia w kierunku mojego męża. Wydawał się spokojny i zrelaksowany, co jakiś czas zamykał nawet oczy, jakby chciał się do końca rozpląnąć w muzyce. Zupełnie jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo historia Cania, zdradzonego męża, przypomina jego własną historię.

Jednak w momencie, w którym bohater przyłapuje niewierną żonę na schadzce z kochaniem, Mariusz wychylił się do przodu, jakby dopiero teraz przedstawienie go naprawdę zainteresowało.

A kiedy Canio wbił sztylet w serce niewiernej żony, mój mąż nachylił się do mnie i powiedział kilka zdań, które zdecydowały o jego losie.

Bo właśnie wtedy postanowiłam, że muszę go zabić.

Uwielbiam premiery. Premiery to magia. No i to właśnie na premierze poznałam mojego męża.

To była *Carmen*, pierwsza opera, w której się zakochałam. Może dlatego, że jest jedną z najpopularniejszych, najbardziej wpadających w ucho, najczęściej wykorzystywanych w popkulturze? Albo dlatego, że wiązałam z nią wielkie nadzieje?

Bilet zdobyłam z trudem i za naprawdę duże pieniądze, choć moja sytuacja materialna do różowych w tamtym czasie nie należała, po czym włożyłam go do szuflady w nocnej szafce, żeby mieć blisko siebie. Do spektaklu pozostało kilka tygodni, ale cierpliwość, obok umiejętności planowania, jest jedną z moich największych zalet. Patrzyłam na ten bilet codziennie przed snem, odliczając najpierw dni, potem godziny do spektaklu, który miał zmienić moje życie. Zresztą nie tylko moje.

Premiera to okazja, żeby ubrać się elegancko, nawet jeżeli, tak jak ja, zajmuje się miejsce na drugim balkonie, czyli, no cóż, niezbyt prestiżowe. Za to Mariusz przestrzega w swoim życiu jednej zasady – musi mieć to, co najlepsze. Więc tego dnia jak zwykle wybrał piąty rząd, najdroższy w całym teatrze. Co oznaczało, że na dobrą sprawę nie powinniśmy byli się w ogóle spotkać. A jednak...

Na cześć *Carmen* włożyłam suknię w stylu hiszpańskim, długą prawie do ziemi, z marszczeniami przy pasku podkreślającymi talię i sporym dekoltem eksponującym ramiona. Miała piękny, krwistoczerwony kolor, który idealnie pasował do mojej śniadej karnacji i długich, kruczoczarnych włosów, w które wpięłam żywą różę. I to właśnie tej róży zawdzięczam małżeństwo. Bo kiedy po spektaklu ustawiłam się w kolejce do szatni, jakiś mężczyzna, który przed chwilą odebrał swój płaszcz i właśnie go wkładał, potrącił mnie lekko, a róża z moich włosów wypadła mu prosto pod nogi.

A dalej było już jak w komedii romantycznej – oboje jednocześnie schyliliśmy się, żeby podnieść kwiat i nasze palce spotkały się na jego płatkach.

– Przepraszam najmocniej – rzucił Mariusz i spojrzał na mnie, a ja na niego.

W jego oczach zobaczyłam zaciekawienie. Co on dostrzegł w moich, nie wiem, ale z teatru wyszliśmy razem, rozmawiając o spektaklu. Muszę przyznać, że zaimponował mi swoją wiedzą. Widział, a przynajmniej słyszał, prawie wszystkie współczesne inscenizacje oraz oczywiście te najbardziej klasyczne z Callas, Teresą Berganzą czy Leontyne Price. Okazało się, że – podobnie jak ja – on również zainteresował się sztuką operową dzięki *Carmen*. I tak jak ja bardzo czekał na warszawski spektakl. Przerzucaliśmy się więc wrażeniami z przedstawienia, stojąc na dworze i marznąc, bo temperatura tej nocy spadała poniżej zera. W pewnym momencie poczułam, że grabieżą mi palce.

– Uciekam – powiedziałam, choć przecież chciałam zostać. – Zaraz zamarznę...

Mariuszowi najwyraźniej zrobiło się głupio, że tak mnie trzyma na zimnie, bo natychmiast zaproponował:

- Odwiozę panią!
- Ale ja daleko mieszkam...
- Proszę nie żartować.

Mysślałam, że ma na parkingu swoje auto, więc się zgodziłam, a kiedy wezwał taksówkę, głupio mi było się wycofać. Choć bardzo szybko zrozumiałam, że nawet gdyby odwoził mnie tą taksówką do Szczecina, jego finanse i tak by na tym nie ucierpiały.

Nie zaprosiłam go do środka. Ta znajomość zapowiadała się na tyle interesująco, że nie mogłam sobie pozwolić na falstart. Wymieniliśmy więc tylko numery telefonów, a Mariusz zażartował, że wpisze mnie sobie jako Carmen.

Zaczęliśmy się spotykać. Imponował mi wszystkim – pieniędzmi, pozycją, wiedzą, błyskotliwością. A przede wszystkim spokojem charakterystycznym dla osób przekonanych o swoich wyjątkowości i sile. Czułam się przy nim bezpiecznie jak jeszcze przy żadnym innym mężczyźnie, choć przecież zbyt wielu ich przed nim nie miałam. I żaden w moim życiu nie zagrzeał zbyt długo miejsca.

Krystian, mój pierwszy mąż, utopił się tuż po ślubie w Zalewie Zegrzyńskim podczas mocno zakrapianej imprezy, zostawiając mi w spadku mieszkanie i starego owczarka niemieckiego z dysplazją, którego natychmiast po pogrzebie kazałam uspić. A ponieważ znajomi i rodzina Krystiana zaczęli zadawać niewygodne pytania typu: „Jak to możliwe, że ktoś, kto prawie nie pił alkoholu, miał w chwili śmierci ponad cztery promile w organizmie?”, sprzedałam mieszkanie i przenieśliśmy się na drugi koniec Polski. Nie lubię, kiedy ludzie podejrzliwie mi się przyglądają.

Łukasz, mąż numer dwa, którego poznałam kilka miesięcy później i przy którym miałam nadzieję uspokoić rozhuśtane emocje, kochał góry. Niestety, podczas podejścia na Zawrat od strony Hali Gąsienicowej poślizgnął się tak nieszczęśliwie, że wylądował na skałach kilkanaście metrów niżej ze złamanym kręgosłupem. Nigdy tego widoku nie zapomnę...

Nie byłam przygotowana na kolejną śmierć, a tym bardziej na aferę po niej, kiedy rzuciła się na mnie jego rodzina, a zwłaszcza jego siostra wariatka, Dominika, najbardziej zaciekle z nich wszystkich. Naszego ostatniego spotkania nie wspominam zbyt dobrze. Dominika, wykrzykując pod moim adresem przeróżne epitety, z których „czarna wdowa” był chyba najbardziej cenzuralny, machała mi przed nosem najnowszą wersją testamentu Łukasza, w którym stało czarno na białym, że wszystko, co posiadał, czyli firma transportowa, dom, mieszkanie i działka budowlana pod miastem w wypadku śmierci mojego męża przechodzi na jego dzieci z pierwszego małżeństwa. W ten sposób za jednym popchnięciem, przepraszam, potknięciem straciłam ukochanego mężczyznę, dach nad głową i źródło utrzymania.

Oczywiście tak łatwo się nie poddałam – założyłam sprawę o zachówek, ale w naszych sądach postępowania ciągną się latami i jak do tej pory nie udało mi się uzyskać korzystnego wyroku, choć na adwokatów wydałam krocie. Rodzina Łukasza powołała się na jakiś idiotyczny paragraf, w którym jest mowa o dopuszczeniu się względem spadkodawcy umyślnego przestępstwa przeciwko życiu lub zdrowiu. Na szczęście nie mieli żadnych dowodów, inaczej

postępowanie z pewnością zmieniłoby charakter. Mimo to udało im się skutecznie odciąć mnie od gotówki.

W tym kontekście pojawienie się w moim życiu Mariusza było mi bardzo na rękę. Bardzo.

Kiedy pierwszy raz weszłam do jego domu, zakreśliło mi się w głowie. Nowoczesne rozwiązania, designerski wystrój, przestrzeń, światło, w skrócie – luksus. Szokujący kontrast nie tylko z małą kawalerką wynajmowaną przeze mnie na peryferiach miasta, lecz także z domem Łukasza, który spokojnie zmieściłby się razem z garażem u Mariusza w jadalni. Musiałam bardzo uważać, żeby nie rozglądać się dookoła z otwartymi ustami.

Życie na tym poziomie zapowiadało się fascynująco i nie miałam nic przeciwko temu, żeby go spróbować.

Pierwszy raz kochaliśmy się w pokoju, który Mariusz nazywał audioroomem, przy wzniosłych dźwiękach *Nessun dorma* z *Turandota* w wykonaniu Pavarottiego. Muzyka, odtwarzana z gramofonu, który, jak później sprawdziłam, kosztował tyle co niezłej klasy mercedes, płynęła z dziwnych, zwiniętych jak ślimaki głośników – ich nazwy ani nazwy wzmacniacza już sobie nie googlowałam, choć myślę, że ich cena spokojnie mogła przekraczać wartość niewielkiego mieszkania w centrum Warszawy.

Seks z Mariuszem był porywający. Choć dzieliła nas spora różnica wieku, szybko się przekonałam, że przy poziomie stresu, odpowiedzialności, napięć, jakie generowały interesy, które prowadził, seks stał się dla niego rodzajem wentylu bezpieczeństwa. A ja potrafiłam to umiejętnie wykorzystać.

Choć długo udawało mi się trzymać Mariusza z daleka od mojego mieszkania, w końcu musiałam go do siebie zaprosić. Bałam się tego momentu bardzo. Na obcym terenie mogłam odgrywać dowolną postać, wystarczyły tylko odpowiedni kostium i charakteryzacja. Ale na tle moich własnych dekoracji musiałam być sobą. Istniało ryzyko, że ta wersja Mariuszowi nie przypadnie do gustu.

Oczywiście przygotowałam się do tej wizyty pieczołowicie. Jedne wspomnienia zostały zamknięte w szufladach, inne, odpowiednio wyeksponowane, miały przyciągać uwagę i tworzyć wokół mnie coś, co niewtajemniczeni mogli nazywać zasłoną dymną, natomiast ja wolałam to określać jako aurę tajemniczości.

Upredzalam Mariusza, że mieszkam skromnie, mimo to kiedy wszedł do środka, na moment zaniemówił. Nie umiał w żaden sposób skomentować tych moich dwudziestu metrów kwadratowych. W końcu po dłuższej chwili wydusił z siebie:

– Przytulnie tu – co zabrzmiało, jakby pocieszał skazańca, że kolor stryczka idealnie komponuje mu się z kołnierzem koszuli.

A potem zaczął się rozglądać. Tak jak myślałam, w pierwszym rzędzie zainteresowały go płyty. Moja kolekcja, choć zajmowała na regale całe trzy półki, w porównaniu z jego wyglądała żałośnie.

– Słuchasz tylko muzyki poważnej? – zapytał, przeglądając tytuły.

W jego głosie zabrzmiało uznanie, a ja pogratulowałam sobie, że wszystko, co w jakikolwiek sposób mogło się kojarzyć z muzyką popularną, upchnęłam przed jego przyjściem w jed-

nej z kuchennych szafek.

Potem zaczął oglądać zdjęcia. To też przewidziałam. Jedynym mężczyzną, z którym występowałam na fotografiach, był mój ojciec. Ani pierwszy, ani drugi mąż nie dostąpili zaszczytu prezentacji. Z bardzo prostego powodu – przyznanie się Mariuszowi, że już dwa razy brałam ślub, uznałam za niezbyt rozsądne. Bo chociaż jeszcze nie poprosił mnie o rękę, to czułam gdzieś głęboko w sercu, że prędzej czy później to nastąpi. Właściwie prędzej niż później.

Czy było to z mojej strony nieuczciwe? Może trochę. Ale nie chciałam psuć tego, co właśnie zaczęło się między nami tworzyć. A informacja o tym, że dwaj moi poprzedni mężowie nie żyją, mogła nie zostać przez niego dobrze przyjęta. Więc po prostu przemilczałam ten fakt. Oraz wszystkie inne niewygodne fakty.

I rzeczywiście, intuicja mnie nie zawiodła – niecały tydzień po tej wizycie Mariusz mi się oświadczył. Co prawda nie w Paryżu, ani nie w Wenecji, tylko w Warszawie, za to w restauracji Nuta, jedynej w stolicy z gwiazdką Michelina. Wszystko odbyło się tak, jak należy, z pierścieniem w pudełeczku. Mariusz nawet uklęknął i kiedy mówiłam „tak”, czułam się naprawdę szczęśliwa.

Bardzo mi zależało, żeby nasz ślub był skromny, tylko my i świadkowie. Żadnych gości, żadnej imprezy. Mariusz trochę się zdziwił, ale mu wytłumaczyłam, że to ze względu na żalobę po mamie. Co prawda moja mama zmarła jedenaście lat wcześniej i nawet wtedy po niej nie płakałam, ale przecież Mariusz nie mógł o tym wiedzieć i wersję, że stało się to zaledwie przed pięcioma miesiącami, przyjął bez mrugnienia okiem.

Drugim argumentem za cichym ślubem była tym razem prawdziwa żaloba po asystentce Mariusza, Julii. Pracowała dla niego przez kilka lat, bardzo ją lubił i szanował za profesjonalizm i dyskrecję, choć akurat z dyskrecją u Julii bywało różnie. Jestem pewna, że bardzo by się ucieszyła z naszego związku, niestety nie dane jej było się o nim dowiedzieć, bo tuż po naszych zaręczynach zginęła w strasznym i absurdalnym wypadku podczas treningu w siłowni, kiedy sztanga, którą podnosiła, leżąc na stepie, wyslizgnęła się jej z rąk i spadła na szyję, miażdżąc krtań.

Wiedziałam, że tego argumentu Mariusz z całą pewnością nie zaneguje.

Brak hucznego wesela gwarantował mi dwie rzeczy: po pierwsze, że Mariusz nie będzie dopytywał o moją rodzinę, której nie zamierzałam mu pokazywać, a po drugie, że nasze ślubne zdjęcia nie pojawią się w żadnej kolorowej prasie. Bo chociaż przez ostatni rok bardzo się fizycznie zmieniłam, to przecież ktoś z mojego poprzedniego życia – czy raczej poprzednich żyć – mógłby mnie zobaczyć, rozpoznać i dodać dwa do dwóch... Nie po to włożyłam w ten projekt tyle czasu i wysiłku, żeby się potknąć na ostatniej prostej.

W dniu, w którym Mariusz mi się oświadczył, pierwszy raz poruszyłam temat intercyzy, potem wracałam do niego wielokrotnie, podkreślając, że powinien się w ten sposób zabezpieczyć na wypadek rozwodu. Lub śmierci, choć o tym taktownie nie wspominałam. Inna sprawa, że gdyby umarł, byłoby mu już raczej wszystko jedno, co się stanie z jego majątkiem. Tłumaczyłam, że intercyza to jedyny sposób, żeby udowodnić niezyciowym czystość moich intencji. W końcu kiedy młoda kobieta, która nie ma nic, wychodzi za sporo starszego i bardzo bogatego mężczyznę, opinia publiczna to właśnie ją pokazuje palcami, nie jego. A ja, jak już wspominałam, nie lubię być na cenzurowanym.

Im mocniej naciskałam, tym bardziej on się bronił, o co mi oczywiście chodziło. W rezultacie nie podpisaliśmy żadnego dokumentu i w chwili ślubu uzyskałam nieograniczony dostęp do majątku mojego męża.

Przez pierwsze dwa, trzy miesiące po ślubie bardzo się pilnowałam. Ze wspólnych pieniędzy korzystałam rozsądnie, całą swoją uwagę poświęcałam Mariuszowi, zajmowałam się domem i ogrodem lepiej niż perfekcyjna pani domu. Sama byłam zdziwiona, jak idealnie udało mi się wpisać w nową rolę. Jedynym, co mi w tym idealnym życiu przeszkadzało, była nuda. Nie zaskoczyła mnie, wiedziałam, że się pojawi, może się tylko nie spodziewałam, że tak szybko. Za mało bodźców, za mało stymulacji, za mało adrenaliny. Bo od momentu ślubu serce zabiło mi żywej tylko raz...

Wybraliśmy się wtedy z Mariuszem do Muzeum Narodowego na Chagalla i po obejrzeniu wystawy mój mąż zaproponował, żebyśmy się przeszli na Nowy Świat, na jego ukochane lody *Häagen-Dazs*. Wzięliśmy po dwie kulki i ruszyliśmy z powrotem w kierunku Alej, kiedy nagle Mariusz chwycił mnie za rękę i pociągnął w Chmielną.

- Dawno nie kupowałam niczego nowego - wyjaśnił.

I wtedy się zorientowałam, że zmierzamy do Vinyła, jednego z najlepiej zaopatrzonych sklepów muzycznych w Warszawie.

Powinna była zaprotestować, przypomnieć sobie o jakimś wyjątkowo ważnym spotkaniu gdzieś na drugim końcu miasta, w najgorszym wypadku skrócić kostkę, ale słońce i lody sernikowe z kawałkami ciasteczek uspiły moją czujność. Więc pozwoliłam się zaprowadzić do niewielkiego lokalu zapchanego po sufit płytami. Nigdy wcześniej nie byliśmy tu razem...

Za ladą stała niska, szeroka w ramionach kobieta z niebieskimi włosami i tatuażem smoka na szyi, postać tak charakterystyczna, że nie sposób jej było nie pamiętać. Na jej widok zatrzymałam się w drzwiach i miałam ogromną ochotę odwrócić się na pięcie i uciec. Ale było za późno, bo idący za mną Mariusz popchnął mnie lekko na środek pomieszczenia. Mogłam tylko mieć nadzieję, że ona mnie nie pamięta. A czyją matką jest nadzieja?

- I jak? Płyty się przydały? - odezwała się do mnie z uśmiechem sprzedawczyni. - Podszkoliła się pani z opery?

To właśnie wtedy, pierwszy raz od bardzo dawna, moje serce mocniej zabiło. Ze strachu.

Mariusz popatrzył zdziwiony najpierw na mnie, potem na błękitnowłosą kobietę. Na szczęście jego uwagę bardziej przykuł fakt, że się znamy, niż historia o „podszkalananiu się z opery”.

- Musisz tu często bywać, skoro pani cię zapamiętała - rzucił rozbawiony.

- Wpadam czasami... - starałam się, żeby te słowa zabrzmiały obojętnie.

- A mnie pani kojarzy? - Mariusz nie odpuszczał.

Niebieska przyjrzała mu się uważnie.

- Pana jakoś mniej. Ja mam świetną pamięć muzyczną, do twarzy taką sobie. Ale pani - znowu przeniosła wzrok na mnie - to tu chyba z godzinę siedziała! Wybierałyśmy najlepsze wykonania popularnych oper, całą kolekcję. Ile pani ich wtedy kupiła? - kobieta nawijała jak nakręcona, a ja czułam, jak krew mi odpływa z twarzy. - Trzydzieści?

Pierwszy raz od bardzo dawna nie wiedziałam, jak zareagować. Temat był śliski jak posmarowany masłem węgorz.

- Musiała mnie pani z kimś pomylić - stwierdziłam stanowczo. - Nigdy nie kupowałam muzyki hurtowo. Wpadam tu, owszem, raz na jakiś czas, ale tylko po konkretny tytuł, który jest mi akurat w danym momencie potrzebny.

Chyba się zorientowała, że coś jest nie tak, bo uśmiechnęła się i machnęła ręką, jakby odpędzała od siebie komara.

- Oczywiście, przepraszam najmocniej! Tak jak mówiłam, nie mam pamięci do twarzy - powiedziała przeproszającym tonem. - Zresztą jak teraz sobie myślę, to tamta kobieta, z którą panią pomyliłam, była blondynką...

Mariusz poszedł buszować w winylach, a ja odetchnęłam z ulgą. Mało brakowało, a zorientowałby się, że kolekcja płyt z muzyką poważną na regale w mojej kawalerce nie była wynikiem fascynacji operą, tylko elementem dekoracji, który miał mu udowodnić, że jesteśmy bratnimi duszami.

Ten niewielki incydent uświadomił mi dwie rzeczy. Po pierwsze, że poruszam się po bardzo kruchym lodzie, który w każdej chwili może mi trzasnąć pod stopami. A po drugie, że skoro udało mi się pierwszą część mojego planu przeprowadzić z sukcesem, to najwyższy czas zabrać się do części drugiej. Zwłaszcza że nie wymagała ona ode mnie aż takiego nakładu pracy jak pierwsza, której poświęciłam kilka ładnych miesięcy mojego życia.

Najpierw musiałam się przekopać przez prasę, i tę ekonomiczną, i tę kolorową, żeby wybrać potencjalny cel, czyli mężczyznę nie pierwszej młodości, posiadającego konkretny majątek i najlepiej nieobciążonego rodziną i dziećmi. Wiedziałam, że trudno będzie go namierzyć, ale nauczona doświadczeniem za wszelką cenę chciałam uniknąć kłopotów. Więc szukałam i szukałam, i szukałam... Aż w końcu moja cierpliwość została nagrodzona.

Następny etap okazał się równie czasochłonny, choć wymagał mniej docieklowości, za to więcej sprytu. Samo zaplanowanie pierwszego spotkania zajęło mi prawie sześć tygodni. Przyjrzałam się dokładnie zwyczajom mojego przyszłego męża, poznałam jego codzienną rutynę, dowiedziałam się, co kocha, a czego nie znosi. A udało mi się to dzięki temu, że zaprzyjaźniłam się z jego asystentką Julią. Kosztowało mnie to karnet do siłowni, na którą chodziła, dwa czy trzy lunchy, które musiałam jej postawić, i mnóstwo irytującej babskiej gadki, bo przecież zanim zaczęłam zadawać pytania o szefa, musiałam się z nią zaprzyjaźnić. Na szczęście Julia okazała się osobą bardzo spostrzegawczą, a jednocześnie życzliwą i zwyczajnie sympatyczną, dlatego czas spędzony z nią nie bolał, a informacje, które miała na temat Mariusza, nie były tylko oficjalnymi, suchymi faktami.

Im więcej dowiadywałam się o moim, miałam nadzieję, przyszłym mężu, tym wyraźniej do mnie docierało, że na poderwanie go muszę znaleźć jakiś naprawdę pomysłowy i oryginalny sposób. Wiedziałam, że będę miała tylko jeden strzał, więc nie mogę ryzykować, że spudłuję. Właśnie dlatego po dłuższym namyśle postawiłam na operę. Operę, którą Mariusz kochał i która wypełniała jego życie. A skoro tak, musiała wypełnić i moje. Stąd właśnie zakupy w Vinylu, stąd wiele godzin poświęconych na słuchanie arii, duetów uwertur i ansambli, dziesiątki obejrzanych na YouTube przedstawień, godziny poświęcone na naukę nazwisk i dat, czytanie librett, szukanie w internecie ciekawostek o kompozytorach i wykonawcach.

Kiedy na kolejnym wspólnym treningu dowiedziałam się, że Mariusz ma wykupione bilety na wszystkie premiery Teatru Wielkiego, w tym na premierę *Carmen*, zrozumiałam, że to jest

właśnie ten moment, który muszę wykorzystać. Lepszego nie będzie.

Następny etap wymagał ode mnie kilku inwestycji, od ufarbowania i przedłużenia włosów w jednym z najlepszych salonów Warszawy, przez opalanie natryskowe i kupno odpowiedniej kiecki, po jakąś zupełnie absurdalną kwotę, którą musiałam wyłożyć na bilet, z trudem upolowany w internecie. Potem wystarczyło już tylko ustawić się za Mariuszem w kolejce do szatni, upuścić różę i schylić się po nią w tym samym momencie, w którym zrobił to on. A na koniec wdać się z nim w dyskusję o przedstawieniu, używając całej mojej skrzętnie przyswojonej wiedzy operowej.

Dalej wszystko szło równie bezproblemowo. Nawet pozbycie się Julii, która przecież nie mogła się dowiedzieć, kim jest nowa dziewczyna szefa, przebiegło zaskakująco gładko. Bardzo to było nierozsądne z jej strony prosić o asekurację przy podnoszeniu sztangi właśnie mnie. Człowiek w pozycji leżącej, z pięćdziesięciokilogramowym ciężarem, który próbuje utrzymać nad głową, jest zaskakująco bezbrony.

I prawdopodobnie nie spieszyłoby mi się z kolejnym ruchem, gdyby nie wizyta w Vinylu i świadomość, że potężna wpadka była tuż-tuż.

Musiałam zacząć działać.

Ponieważ nie spisaliśmy intercyzy, po rozwodzie bez orzekania o winie mogłam dostać mniej więcej połowę majątku Mariusza. Ale gdyby udało się udowodnić, że rozwód nastąpił z jego winy...

Na to, że mnie zdradzi, nie liczyłam, za bardzo za mną szalał. W przemoc domową nikt by nie uwierzył. Co jeszcze mogłam wykorzystać?

Zazdrość?

Jak do tej pory nie dawałam Mariuszowi do niej powodów, ale co by było, gdybym zaczęła? Może gdyby udało mi się go sprowokować, rozhuścić emocje, popełniłby jakiś błąd, który potem mogłabym wykorzystać w tej rozgrywce?

Ukrywanie romansu nie jest łatwe, ale udawanie, że się go ukrywa, okazało się całkiem zabawne. Po pierwsze, zaczęłam pilnować komórki. Wychodząc z pokoju, zawsze brałam ją ze sobą, podczas posiłków kładłam obok siebie na stole, koniecznie ekranem do dołu, w sypialni natomiast chowałam ją do szuflady w nocnej szafce. Pisałam ukradkiem esemesy, a kiedy jakieś przychodziły do mnie, czytałam je szybko i wykasowywałam. Gdyby Mariusz przypadkiem zajrzał mi przez ramię, zobaczyłby wiadomość od Ikei, Zary, ewentualnie operatora komórkowego. Specjalnie udzieliłam zgody na wszystkie możliwe powiadomienia i byłam teraz nimi bombardowana. To nawet lepsze niż gdybym poprosiła o przesyłanie esemesów przyjaciółkę. Zwłaszcza że takiej nie miałam.

Przeprowadzałam też długie rozmowy telefoniczne ze sztuczną inteligencją Orange, a kiedy pojawiał się Mariusz, spłoszona nagle je przerywałam. Zaczęłam więcej czasu spędzać w siłowni, kupować seksowne ciuchy i wychodzić wieczorami „z dziewczynami”. Przy czym zawsze, kiedy wracałam z takich niby-babskich spotkań, pachniałam męską wodą po goleniu. Za każdym razem inną.

Punktem kulminacyjnym stał się wyjazd na weekend do spa. Byłam nim naprawdę podekscytowana, tej emocji akurat nie musiałam udawać.

- Kochanie, potrzebuję oddechu. Ciszy, spokoju, samotności. Muszę odpocząć i naładować akumulatory...

Ta gadka na kilometr pachniała ściemą. Pierwsze pytanie, jakie zadałabym sobie na miejscu Mariusza, brzmiałoby: „Ciekawe, po czym ty niby chcesz odpoczywać?”

No ale jedyna rzecz, o którą zapytał, to adres pensjonatu. Podałam mu oczywiście i adres, i telefon, a kiedy chwilę później przyszedł do mnie esemes, wyszłam z pokoju, żeby go przeczytać. Co prawda to tylko Duka ogłaszała przecenę, ale mój mąż nie musiał tego wiedzieć. Miałam nadzieję sprowokować go swoim zachowaniem. Chodziło mi o to, żeby posłał moim śladem prywatnego detektywa, i bardzo możliwe, że to zrobił, choć mnie nie udało się nikogo wypatrzyć.

Weekend, rzecz jasna, spędziłam samotnie, nie mogłam przecież ryzykować rozwodu z orzeczeniem o mojej winie, a na wypadek, gdyby ktoś mnie przez ten czas obserwował, pozwoliłam sobie na kilka poufnych gestów w stosunku do właściciela pensjonatu, zabójczo przystojnego geja, który prowadził to miejsce razem ze swoim partnerem. Zanim Mariusz się zorientuje, że to gra, zazdrość powinna popchnąć go do jakichś działań. Im bardziej gwałtownych, tym lepiej.

A jednak, choć od powrotu z mojego samotnego wyjazdu starałam się jeszcze bardziej niż poprzednio wyglądać na rozmarzoną i zakochaną, Mariusz zachowywał się tak samo jak zwykle – był miły, uważny i cierpliwy. W rezultacie emocje, które chciałam w nim wzbudzić, dopadły mnie – zaczęłam czuć zdenerwowanie i narastającą irytację. Jeżeli potencjalny wyjazd na weekend z kochankiem nie był w stanie wyprowadzić Mariusza z równowagi, to co musiałabym zrobić, żeby rozbudzić w nim podejrzenia?

I właśnie wtedy na horyzoncie pojawiły się *Pajace*, czyli historia o zdradzie. Lepiej nie mogłam sobie tego zaplanować. Może wielkie emocje na scenie obudzą wielkie emocje w sercu mojego męża?

Obserwowałam go uważnie przez cały spektakl. Kiedy żona zdradzała męża z kochankiem, Mariusz uniósł brew. Kiedy mąż nakrył oboje podczas schadzki, Mariusz wychylił się lekko do przodu. Żywiej zareagował dopiero w momencie, w którym Canio wbił niewiernej żonie sztylet w serce. Zacisnął wtedy palce na poręczy fotela, a potem gwałtownie się do mnie odwrócił. Myślałam, że zobaczę w jego oczach złość, nienawiść, może pogardę... Ale on się do mnie uśmiechał!

- Zazdrość... – pokręcił z niedowierzaniem głową. – Jak biedni są ludzie, których opęta. Lepiej bezgranicznie ufać i zostać zawiedzionym, niż bezgranicznie zazdrościć i samemu zawieść.

A potem położył swoją dłoń na mojej dłoni i dodał: – Obiecuję ci, że nigdy, przenigdy nie będę o ciebie zazdrośny.

W tym momencie postanowiłam, że go zabiję.

Jak już wspominałam, w planowaniu jestem świetna.

Zaczęłam od przeanalizowania sytuacji. Młoda żona naprawdę bogatego starszego faceta. Brak spisanej intercyzy. Podwójna wdowa... Gdyby śmierć Mariusza budziła jakiegokolwiek wąt-

pliwości, kajdanki na moich nadgarstkach zatrzasnęłyby się szybciej, niż zdążyłabym mrugnąć. Dlatego należało wyeliminować najprostsze, najbardziej oczywiste i jednocześnie najmniej wyrafinowane sposoby pozbawienia życia, jak zadżganie, zastrzelenie czy uduszenie. Wyeliminowałam również utonięcie (za blisko historii z moim pierwszym mężem) i wypadek w górach (za blisko historii z drugim). Przez chwilę kusił mnie za to wypadek samochodowy, ale szybko zdałam sobie sprawę, że potrafić Mariusza na ulicy byłoby trudno, bo jedyna przestrzeń, w której poruszał się na piechotę, to garaż, a zepsute hamulce nie wchodziły w grę. Model mercedesa, którym jeździł Mariusz, był tak nowoczesny i naszpikowany elektroniką, że żadne mechaniczne uszkodzenie nie umknęłoby jego systemowi.

Najwięcej czasu i uwagi poświęcałam truciznom. Były kuszące. Cholernie kuszące. I nawet po odrzuceniu tych najbardziej oczywistych, jak arsenik, cyjanek czy strychnina, wciąż zostawało kilka interesujących możliwości: insulina, atropina, chlor. Przeczytałam chyba wszystko, co można było znaleźć na ten temat w sieci, ale wnioski nie okazały się budujące – nie znalazłam niczego, czego użycie byłoby stuprocentowo bezpieczne. Istniało tyle niuansów... A przede wszystkim coraz nowocześniejsze metody laboratoryjne. Za duże ryzyko.

Gdyby Mariusz uprawiał sporty ekstremalne... Gdyby uprawiał jakiegokolwiek sporty poza tenisem! Choćby jeździectwo. Konie są przecież takie płochliwe... Albo kolarstwo! Ile razy się zdarza, że w rowerze coś pęknie... Niestety, w przypadku mojego męża jedyny wypadek, jaki mógłby go spotkać podczas uprawiania sportu, to wstrząs mózgu od uderzenia piłką tenisową.

Porażenie prądem? Zbyt ostentacyjne. Utopienie w wannie? Mariusz nie uznawał kąpeli. Im dłużej o tym myślałam, eliminując metodę za metodą, tym bardziej się irytowałam. Przecież musi istnieć jakiś sposób posłania mojego męża na tamten świat, który jednocześnie nie posłałby mnie za kratki...

Potrzebowałam czegoś, co dałoby efekt śmierci naturalnej. I w końcu zrozumiałam, że nie ma nic bardziej naturalnego niż choroba. Oczywiście taka, która miałaby uzasadnienie w dokumentacji medycznej, bo kiedy na zawał umiera ktoś, kto nigdy wcześniej nie chorował na serce, sprawa z automatu staje się podejrzana.

Mariusz nie lubił okazywać słabości. Przez te kilka miesięcy, które spędziliśmy ze sobą, prawie nigdy nie poruszał tematu swojego zdrowia. Postanowiłam więc dowiedzieć się czegoś u źródła.

Źródło było w Luxmedzie, nazywało się Andrzej Dąbrowski i było lekarzem internistą mojego męża. Zapisalam się do niego pod pretekstem problemów ze snem. Pan doktor okazał się dobrodusznym sześćdziesięcioletkiem, który oczywiście skojarzył moje nazwisko i tym troskliwiej się mną zajął. Najpierw przeprowadził szczegółowy wywiad medyczny, potem zbadał, a na koniec zaczął wypisywać w komputerze skierowania na badania. Zastanawiałam się, jak rozpocząć rozmowę na temat zdrowia Mariusza.

– Skoro i tak będzie się pani kłuiła, to sobie zrobimy gruntowną diagnostykę – oznajmił, uderzając w skupieniu w klawisze.

A ja w tym momencie wpadłam na pomysł. Owszem, trochę brawurowy, ale kto nie ryzykuje...

– Właśnie miałam pana doktora o to prosić, bo planujemy z mężem powiększenie rodziny... – zawiesiłam głos w oczekiwaniu na jego reakcję.

- Adopcja? - rzucił nieuważnie, nie odrywając wzroku od klawiatury.

- Adopcja? - powtórzyłam zdezorientowana.

Pan doktor przestał pisać i popatrzył na mnie speszony.

- Przepraszam, że tak wprost, ale skoro pani mąż jest bezpłodny...

To, że ja mam sekrety przed Mariuszem, wydawało mi się oczywiste. Ale że on ma jakieś sekrety przede mną? Tego się nie spodziewałam.

- Nie, nie, nic się nie stało! Właśnie, myślimy o adopcji. Po prostu jeszcze się z tym słowem nie oswoiłam - zaczęłam się tłumaczyć. - To jednak bardzo delikatny temat.

Lekarz wrócił do wypisywania skierowań, a ja próbowałam dalej.

- Mąż bardzo się cieszy, ja oczywiście też, ale... trochę się martwię o Mariusza. Wie pan, czy on sobie da radę z małym dzieckiem. Przecież to jest ogromne fizyczne obciążenie, a Mariusz ma swoje lata...

- Pani mąż jest w świetnej formie - zapewnił lekarz. - Pojawia się u mnie regularnie dwa razy w roku, robimy kompleksowe badania - kliknął kilka razy myszką. - Najnowsze wyniki mamy sprzed miesiąca, są idealne, jak u dwudziestolatka. No i serce jak dzwon. Z wywiadu medycznego wynika, że ostatni raz chorował poważnie w dwa tysiące drugim, to była świnka i potem w powikłaniach obustronne zapalenie jąder, które spowodowało bezpłodność. Jedyna hospitalizacja pięć lat temu, po wstrząsie anafilaktycznym. Więc sama pani widzi...

Zawał odpada, to była moja pierwsza myśl.

Natomiast wstrząs anafilaktyczny brzmiał ciekawie.

- Ten wstrząs... to coś poważnego?

Lekarz pogładził się palcami po brodzie.

- I tak, i nie. Pan Mariusz jest uczulony na jad pszczoły, alergen powoduje u niego bardzo gwałtowną reakcję organizmu. Może wtedy dojść do utraty przytomności, a nawet zgonu z powodu obrzęknięcia gardła i niemożności oddychania - wyjaśnił. - Ale z tego, co wiem, pani mąż od tamtego incydentu po pierwsze, bardzo na siebie uważa, po drugie, zawsze nosi przy sobie strzykawkę z adrenaliną. W razie ukąszenia podaje się ją domięśniowo, w zewnętrzną stronę uda. Sam mu pokazywałem, jak to się robi - uśmiechnął się uspokajająco. - Naprawdę myślę, że nie ma pani powodu do obaw.

To prawda. Nie miałam powodu do obaw. Miałam powody do radości.

Czy już wspominałam, że jestem świetna w planowaniu?

Przed wszystkim potrzebowałam wiedzy na temat pszczoł. Kusiło mnie, żeby znaleźć kogoś, kto się naprawdę na tym zna, ale takie kontakty zawsze zostawiają ślad. Zaczęłam więc przeczesać internet, używając do tego tabletu, którego na końcu zamierzałam się pozbyć, i korzystając z publicznych sieci wi-fi, tak żeby nikt nie mógł sprawdzić mojej historii wyszukiwania.

Kiedy spytałam Mariusza o alergię, wyraźnie się speszył.

- Nie mówiłem ci wcześniej, bo nie chciałem, żebyś się martwiła - wyjaśnił. - Naprawdę nie ma czym. Jestem ostrożny. Latem nigdzie się nie ruszam bez adrenaliny. Wszystko jest pod kontrolą.

Jego wytłumaczenie nie do końca mnie przekonało. Podejrzałam, że mniej mu chodziło o moje samopoczucie, a bardziej o jego własne, bo w jakiś sposób wstydził się tej słabości. Z drugiej strony powód, dla którego mnie o niej nie poinformował, był nieistotny.

Dość szybko się zorientowałam, że problemem nie będą pszczoły, tylko adrenalina. Wcześniej nie zauważyłam, żeby Mariusz ją ze sobą nosił, może dlatego, że poznaliśmy się jesienią, więc po prostu jej nie potrzebował. Teraz, kiedy wiedziałam już, czego szukać, odkryłam, że rzeczywiście mój mąż zawsze ma przy sobie specjalny pen. I to nie jeden. Peny z adrenaliną były wszędzie. W każdej marynarce, w każdych spodniach, w portfelu, w etui na okulary. Jeden odkryłam w szufladzie jego biurka, drugi w lodówce. Oczywiście mogłam je usunąć, ale nie miałam żadnej pewności, że gdzieś nie został ukryty kolejny. Wniosek był jeden: Mariusz nie mógł zostać ukąszony w domu.

Próbowałam go namówić na piknik, odmówił. Odmówił również weekendowego wyjazdu do spa, wycieczki do Nieborowa i plenerowego przedstawienia *Snu nocy letniej*. Konsekwentnie unikał wszystkich aktywności na dworze – nawet kiedy chodziliśmy do restauracji, prosił o stolik wewnątrz. Powoli kończyły mi się pomysły.

I właśnie wtedy nastąpił przełom.

To była niedziela, jedliśmy śniadanie. Sięgnęłam po masło orzechowe, którym chciałam posłodzić sobie owsiankę, ale okazało się, że w środku została tylko jakaś marna resztką rozsmarowana na ściankach.

– Myślisz, że mamy gdzieś nowy słoik? – spytałam pogrążonego w lekturze „Polityki” Mariusza.

W tym domu ciągle nie czułam się u siebie.

Mąż odłożył gazetę, wstał od stołu i zaczął przeszukiwać szafkę z zapasami.

– Nie mamy – odpowiedział po chwili. – Może być miód?

Postawił przede mną na stole mały słoiczek z ozdobną etykietą.

– *Święto wiosny* – przeczytałam. – Jaka urocza nazwa! Skąd to?

– Z teatru – odpowiedział Mariusz, wracając na swoje miejsce.

– Z jakiego teatru? – spytałam zdezorientowana.

– Wielkiego. Oni mają na dachu kilka uli, zbierają miód i sprzedają go potem u siebie w butik. Kupiłem kiedyś z ciekawości.

Przyglądałam się słoikowi jak zahipnotyzowana. *Ule na dachu*, pomyślałam, kręcąc z niedowierzaniem głową. Niczego lepszego nie mogłam dzisiaj usłyszeć.

Ostatnią premierą w tym sezonie był *Peter Grimes* w reżyserii Trelińskiego. Włożyłam na siebie tę samą czerwoną suknię, w której byłam, kiedy się poznaliśmy. Taka... symboliczna klamra.

Przedstawienie musiało być wspaniałe, ale nie potrafiłam się na nim skupić. Czekałam w napięciu na przerwę po pierwszym akcie. Kiedy na widowni rozbrły światła, wzięłam Mariusza za rękę i pociągnęłam w kierunku bocznej klatki schodowej. Wyglądał na zaskoczony, ale szedł za mną posłusznie.

– Dokąd mnie prowadzisz? – zapytał tylko.

– Niespodzianka...

Nie byłam do końca pewna, czy się nie zgubię w skomplikowanym labiryncie korytarzy, schodów i przejść, ale udało się – dwie wycieczki *Opera od kulis*, podczas których zwiedzało się zaplecze teatru, wystarczyły, żebym zapamiętała drogę.

Staliśmy przed solidnymi metalowymi drzwiami.

– Zamknij oczy – poprosiłam.

Wzięłam męża za rękę i wyprowadziłam na otoczony niskimi nadbudówkami fragment dachu. Podczas wycieczki nasz przewodnik uprzedził, że drzwi są tak skonstruowane, że aby je otworzyć od strony, po której się właśnie znaleźliśmy, trzeba użyć specjalnego klucza, dlatego zrobiłam to samo, co on wtedy – włożyłam między skrzydło a framugę wykorzystywany w tym celu kawałek deski.

– Teraz możesz patrzeć...

Mariusz otworzył oczy. Widok migocącego światłami miasta zapierał dech w piersiach.

– Boże, jak tu pięknie! – westchnął. – Co za miejsce!

– Popatrz w górę!

Niebo nad nami miało kolor głębokiego granatu, a gwiazdy świeciły tak jasno, jakbyśmy byli na jakimś pustkowiu, a nie w samym środku wielkiego miasta. W sumie to miłe, że ostatnią rzeczą w życiu, którą zobaczy mój mąż, będzie migocący nad jego głową Wielki Wóz.

Położyłam się na wznak i pociągnęłam za sobą Mariusza, w końcu to najlepszy sposób obserwowania gwiazd. Leżeliśmy tak przez chwilę obok siebie, trzymając się za ręce. Gdyby nie to, co planowałam, mogłoby być całkiem miło.

– Daj telefon, zrobię fotę – poprosiłam.

Mój mąż podał mi swoją komórkę, a ja schowałam ją do torebki. Wylądowała tuż obok pena z adrenaliną, który wcześniej ukradłam Mariuszowi z kieszeni marynarki.

Najwyższy czas, żeby się ewakuować.

Delikatnie pocałowałam męża w policzek.

A potem poderwałam się i pobiegłam do stojących kawałek dalej, pod ścianą nadbudówki, uli. Chwyciłam pierwszy z brzegu i z całej siły popchnęłam na ziemię. Pokrywa ula odskoczyła z impetem, usłyszałam trzask pękającego drewna. To powinno wystarczająco rozsiedzić pszczoły. Rzuciłam się w stronę wyjścia, a kiedy zatrzaśkiwałam za sobą drzwi, poczułam ulgę i ekscytację. Jak zawsze, kiedy wprowadzałam swój plan w życie...

Bez pośpiechu ruszyłam z powrotem.

Na poziomie drugiego balkonu natknęłam się na bileterkę, przed którą odegrałam przerażenie i panikę. Zachłystując się łzami, wykrzyczałam, że mój mąż właśnie został pokąsany na dachu przez pszczoły, że dostał wstrząsu i potrzebuje natychmiastowej pomocy. Chwilę później przybiegło dwóch pracowników ochrony z apteczką, defibrylatorem oraz kocami do ochrony. Kiedy odchodziliśmy, słyszałam, jak bileterka wzywa pogotowie.

Internet twierdzi, że w wypadku wstrząsu anafilaktycznego śmierć następuje w czasie od pięciu do trzydziestu minut, ale biorąc pod uwagę liczbę ukąszeń, którą musiał przyjąć mój mąż, założyłam tę dolną granicę. A ponieważ zostawiłam go na dachu mniej więcej przed kwadrans, byłam pewna, że kiedy się pojawimy na miejscu, znajdziemy już tylko zwłoki.

Kiedy dotarliśmy do wyjścia na dach, jeden z mężczyzn narzucił na siebie koc, naparł ramieniem na drzwi, uchylił je i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz.

– To na pewno tutaj? – zwrócił się do mnie. W jego głosie brzmiało wahanie.

– Oczywiście. Dlaczego pan pyta?

Mężczyzna otworzył drzwi na oścież. Zobaczyłam fragment dachu, z całą pewnością ten sam, na którym zostawiłam Mariusza, tyle tylko że mojego męża tam nie było.

Uli również.

To, co się potem działo, pamiętam jak przez mgłę. Miotalam się, krzyczałam na ochroniarzy, klóciłam się z sanitariuszami z karetki i policją, która również została wezwana. Im dłużej to trwało, z tym większą podejrzliwością mi się przyglądano. Czulałam, że wokół mnie narasta napięcie. Widziałam ukradkowe spojrzenia, które wymieniali między sobą funkcjonariusze, wychyciłam też z całą pewnością słowo „wariatka”.

Nikt nie potrafił mi odpowiedzieć na pytanie, gdzie jest Mariusz, ani jak to się stało, że na dachu nie ma ani jednej pszczoły, a we mnie z minuty na minutę narastała wściekłość.

I choć naprawdę starałam się kontrolować swoje zachowanie, to kiedy jeden z policjantów powiedział do mnie protekcyjnym tonem: „Proszę się uspokoić”, nie wytrzymałam i rzuciłam się na niego z pięściami. A potem urwał mi się film.

Szpital psychiatryczny to nie jest miejsce, w którym chcielibyście się znaleźć.

Niestety, kiedy już się tam trafi, nie da się tak po prostu stamtąd wyjść. Wszyscy się niby nad tobą pochylają ze współczuciem, uśmiechają ze zrozumieniem i klepią cię po ramieniu, jakby byli twoimi przyjaciółmi, ale nie daj się zwieść. Mają cię w dupie.

No i najważniejsze – nikt ci nie wierzy.

Dostajesz jakieś pigułki, nie wiadomo na co, i z dnia na dzień twoja wola walki znika zastąpiona przez bierność i apatię. Jest ci kompletnie wszystko jedno. Przestajesz liczyć dni, przestajesz czekać.

Byłam dokładnie w takim stanie, kiedy pewnego dnia podszedł do mnie jeden z pielęgniarki z informacją, że ktoś chce się ze mną widzieć.

Pierwszy raz, odkąd się tutaj znalazłam, poczułam podekscytowanie. Wizyta kogoś z zewnątrz mogła oznaczać tylko jedno – że wracam do życia.

Do przestronnego, jasnego pomieszczenia, nazywanego pokojem spotkań, wchodziłam na miękkich nogach. Naprawdę nie miałam pojęcia, kogo się spodziewać. Na mój widok ze swoich miejsc podniosły się dwie osoby. Obie znałam.

Podniosłam dłoń do ust, żeby stłumić krzyk.

To niemożliwe, pomyślałam, NIEMOŻLIWE. Chciałam zawrócić, wybiec z tego pokoju, uciekać, ile sił w nogach, byle jak najdalej od nich, ale zatrzymał mnie głos Mariusza.

– Kochanie, wpadliśmy sprawdzić, jak tu sobie radzisz. Pamiętasz Dominikę? Siostrę twojego drugiego męża?

Musiałam się oprzeć o ścianę, żeby nie upaść. Mariusz natychmiast znalazł się koło mnie, chwycił pod łokieć i podprowadził do najbliższego krzesła.

- Wody? - zapytał.

Pokręciłam przecząco głową, mimo to przyniósł mi szklanke.

- Wy... wy się znacie? - słowa z trudem przechodziły mi przez zaciśniętą krtań.

Mariusz lekko się uśmiechnął.

- Oczywiście, że się znamy. I to dzięki tobie - Mariusz położył Dominice dłoń na ramieniu.

- Widzisz, Domi była pewna, że zamordowałaś jej brata, ale nie potrafiła tego udowodnić. Dlatego postanowiła nie spuszczać cię z oczu. Założyła, że kiedy tylko znajdziesz kolejną potencjalną ofiarę, uderzysz znowu. Wynajęła prywatnego detektywa i uzbroiła się w cierpliwość. No i okazało się, że tą potencjalną ofiarą byłem ja. Po naszym ślubie przyszła do mnie, żeby mnie ostrzec. Najpierw nie chciałem jej wierzyć, ale akurat wtedy zaczęłaś te gierki z udawanym romanssem i to było takie dziwne... Zacząłem ci się przyglądać. Poprosiłem informatyków z mojej firmy, żeby założyli ci na tablet oprogramowanie szpiegowskie, dzięki temu widziałem dokładnie, czego szukasz w sieci. Kiedy zamówiłaś wizytę u Dąbrowskiego, zrozumiałem, że szukasz jakiejś choroby, która mogłaby się skończyć moją śmiercią. Obstauiłem, że na pewno wybierzesz alergię. I tak się stało. Wystarczyło tylko podsunąć ci pomysł z pszczołami na dachu teatru i załatwić z bartnikami, żeby w dniu premiery przenieśli ule na drugi koniec dachu, a zamiast nich ustawili atrapy. To wszystko.

Gdyby nie to, że byłem na lekach, rzuciłabym się na niego z pięściami. Dokładnie tak jak na tego policjanta. Jednak jedyne, co dziś potrafiłam, to historycznie się zaśmiać.

- Tak, masz rację, to wszystko jest bardzo śmieszne - przyznał Mariusz. - Gdybyś była mniej sprytna, dopadłaby cię policja. Miałabyś proces. Mogłabyś się bronić. Może w ogóle nie trafiłabyś do więzienia. Niestety, zamiast policji dopadliśmy cię my.

Podał mi jakiś dokument.

- To jest akt bardzo hojnej darowizny na rzecz szpitala psychiatrycznego, w którym się znajdujemy. Jest tu też napisane, że z wdzięczności władze szpitala zobowiązują się do dożywotniej opieki nad małżonką donatora. Czyli nad tobą, moja droga, kochana Carmen...

GRZEGORZ SKORUPSKI

BAL MASKOWY

*Słyszysz tam, ten grobowy głos w dal,
Wicher groźnie przynosi nam dźwięki
Z głębi czarnych przepaści te jęki,
To są hasła, co śmierć wróżą ci.*

Karski z rezygnacją odłożył gazetę. Kiedy pojawił się chłopak roznoszący codzienną prasę, poprosił o „Kurjera Warszawskiego” z nadzieją, że znajdzie w nim szereg informacji politycznych na temat toczącej się wojny z bolszewikami. Wojny, na której froncie była gdzieś jego żona, która od kilku tygodni nie dawała znaku życia.

Liczył na relację z zapowiedzianej przez Anglików konferencji pokojowej, która miała zakończyć działania wojenne. Ale kiedy tylko wziął do ręki gazetę, przypomniał sobie, że warszawski tytuł prasowy różni się od „Kurjera Poznańskiego”, który czytywał na prowincji, w oddalonym ledwie o czterdzieści kilometrów od granicy niemieckiej Gostyniu. Stołeczna gazeta informacje polityczne traktowała skrótowo, zamieszczała za to wiele ogłoszeń kulturalnych, co wydawało mu się dziwne w tych niespokojnych czasach.

Warszawa zawsze wydawała mu się obca. Mimo że trzy lata okupacji przez wojska niemieckie odcisnęły na niej pruskie piętno, to jednak Karski odczuwał, że nie jest to do końca świat, który znał. Jak przed czterdnastym, kiedy – żeby odwiedzić daleką rodzinę na Żoliborzu – musiał legitymować się paszportem, tak i teraz różnice między zaborami dawały się odczuć.

Poznań znajdował się jeszcze w stanie tymczasowości wojennej, a Warszawa zaczynała już żyć swoim życiem, starając się szybko zapomnieć o doświadczeniach największego konfliktu wszech czasów. Wielkopolska zresztą nadal formalnie nie połączyła się z resztą kraju, zachowując odrębność. Ministerstwo byłej Dzielnicy Pruskiej z Władysławem Seydą na czele faktycznie sprawowało na terenie Wielkopolski funkcję rządu mającego nadzór nawet nad niezależnymi od stolicy organami sądownictwa i policji. A ponieważ w Poznańskim brakowało doświadczonych urzędników mówiących po polsku, podprokurator Adam Karski stał jednocześnie na czele sądu i policji w prowincjonalnym mieście w południowo-zachodniej Wielkopolsce. Jako prawnik Polak był bardzo cenny dla administracji tworzącej się na tych ziemiach. W lutym podsekretarz stanu Połczyński podpisał rozporządzenie o tymczasowej organizacji Policji Państwowej byłej Dzielnicy Pruskiej i Adam Karski miał nadzieję, że pozbędzie się przynajmniej części obowiązków. Próżną. Nie dość, że jeszcze przez kilka miesięcy był zobligowany zajmować się reorganizacją struktur policyjnych, to jeszcze od 1 marca minister Seyda

przeniósł się z Poznania do nowej siedziby Ministerstwa byłej Dzielnicy Pruskiej przy ulicy Świętokrzyskiej w Warszawie i po odpowiednie dokumenty musiał przyjechać osobiście do stolicy.

Wczoraj wieczorem trafił do tego hotelu. Wszystkie dokumenty z ministerstwa udało mu się uzyskać rano, ale nie miał zamiaru wracać wieczornym pociągiem. Czasy były niespokojne i nie chciał ryzykować nocnej podróży. Poza tym, co musiał przyznać ze wstydem, lepiej znał Berlin niż Warszawę. Nadarzyła się okazja, żeby to zmienić.

Siedział w Sali Ludwikowskiej na parterze Hotelu Polonia Palace i powoli sączył poobiednią kawę. Za oknem świat niemrawo przygotowywał się na przyjście wiosny. Nie było już co prawda śniegu, a na chodnikach jeszcze tylko piętrzyły się zwały lodowatego błota, ale pierwsze nieśmiało przebijające się zza chmur promienie słońca dawały nadzieję na nadchodzące odrodzenie życia.

Westchnął ciężko i ponownie sięgnął po niedzielnego „Kurjera Warszawskiego” z datą 29 lutego 1920 roku. Z niezrozumiałych dla niego przyczyn nie ukazało się jeszcze poniedziałkowe, poranne wydanie gazety.

Ze względów zawodowych jego uwagę przykuła rubryka policyjna i wojskowa. Gazeta rozpisывała się szczegółowo na temat procesu żołnierzy polskich odpowiedzialnych za śmierć delegatów bolszewickich. Autor artykułu usprawiedliwiał mord ogromem niehumanitarnych zbrodni Armii Czerwonej na ludności cywilnej. Karski spotkał się niedawno ze swoim przyjacielem, lekarzem medycyny sądowej Leonem Wachholzem, który szeroko opisywał mu przypadki relatywizacji pojęcia dobra i zła po zetknięciu z okropnościami minionej wojny. Teraz nawet autor artykułu usprawiedliwiał zbrodnie, posługując się mętną kategorią odpowiedzialności zbiorowej.

Z niesmakiem przewrócił kartę gazety. Zaczął szukać atrakcji kulturalnych. Dość problemów politycznych czy kryminalnych, które na co dzień absorbowały jego czas! Miał prawo oderwać się od brutalnej rzeczywistości i choć na chwilę zapomnieć o zbrodniach i przestępstwach.

W operze, czyli Teatrze Wielkim, o trzeciej po południu wystawiano *Pajace*, a na wieczornym przedstawieniu *Bal maskowy*, uzupełniony baletem *Kleopatra*. W funkcjonującym w Salach Redutowych Teatrze Rozmaitości grano *Kolombinę* Stefana Krzywoszewskiego.

Postanowił wybrać operę. Jako zachęcająca jawiła mu się wizja tancerek baletu.

Z zadowoleniem odłożył gazetę na stolik i dopił resztę kawy. Może jednak wybór „Kurjera Warszawskiego” nie był złym pomysłem?

* * *

Opera dominowała w przestrzeni placu Teatralnego. Wspaniała fasada robiła ogromne wrażenie. Architekt Antoni Corazzi wykorzystał wrażenie spiętrzenia brył wznoszących się do nieba, a jednocześnie dzięki wykorzystaniu dużej liczby kolumn uczynił budynek lekkim i delikatnym. Karskiego zaskoczyła tylko pusta półka na potężnym frontonie. Jakby gmachowi Teatru Wielkiego brakowało ostatecznego, efektownego zwieńczenia.

Przy gmachu opery, od zachodniej strony piętrzyły się osmalone pożarem ściany Teatru Rozmaitości. Karski przeczytał w „Kurjerze Warszawskim”, że miasto przygotowuje się do jego

odbudowy, nie znalazł jednak okoliczności katastrofy. Liczył, że takie informacje najłatwiej uzyska na miejscu, oddając płaszcz w szatni.

- Szanowny panie, się pan nie dziw, że ludzi mało, bo i wolą nie ryzykować. Ja sam też im mówiłem, żeby te dwa dni dali sobie spokój. A oni pana Zenka słuchają – szatniarz z zadowoleniem poprawił sfatygowaną muszkę. – Pan też lepiej by zrobił, przychodząc kiedy indziej.

- Czyż można ryzykować w operze? – uśmiechnął się drwiąco Karski.

Szatniarz omiół wzrokiem zbierających się w korytarzu gości, po czym wlepił wzrok w rozmówcę.

- Ludzie boją się przychodzić do teatru drugiego marca – zaczął. – I ja też im to odradzam. Jutro dopiero będą tu pustki

- Dziś jest przecież dwudziesty dziewiąty lutego.

- Ale po północy będzie już marzec, nie warto ryzykować – stwierdził szatniarz, wyraźnie rozdrażniony brakiem roztropności Karskiego. – Większość stałych gości mnie posłuchała. Pewne daty mogą być feralne. Ale niektórym ludziom nie da się przemówić do rozsądku. Pan też się uparł.

- Za dwa dni nie będzie mnie w Warszawie. Jeżeli dziś nie skorzystam z gościnności Teatru Wielkiego, to raczej będę musiał to odłożyć do następnej wizyty.

- Są tacy, co regularnie przychodzą – szatniarz znowu poprawił muszkę.

- Żeby się pokazać w towarzystwie – odparł Karski.

Ludzie potrafili całymi latami przywdziewać maski, o które trudno ich było pościć, znając prawdziwe realia ich życia. Tego typu gra pozorów od zawsze wzbudzała w nim mieszane uczucia.

- Panie szanowny, toż są i tacy, co szczerze kochają operę i nawet jak pierwszego dostają inwalidzką rentę wojskową, to choć raz w miesiącu chcą odwiedzić teatr. Jak pan Antoni Matecki. On to naprawdę kocha teatr. Albo ci, którzy jeszcze niedawno sami stawali na deskach sceny, jak pan Janusz Pietrzyk. To był artysta! – westchnął pan Zenon. – Rolę amantów grał. Tenorem był. Co za głos, proszę szanownego pana. Przed wojną wszystkie kobiety za nim szalały.

- Teraz już nie chce grać?

- On by chciał! – trzask potężnej dłoni o dębowy kontuar spowodował, że kilka osób odwróciło się w ich stronę. – Kocha teatr. Ale był ranny zaraz na początku wojny. Jakiś cios szablą w szyję. Było ciężko, ale wyszedł z tego cało. Z tym że od tego czasu mówi tylko szeptem. A wie pan szanowny, to dla aktora śmierć sceniczna. Przychodzi często, bo ma darmowe wejście na każdy seans. Choć tyle dyrekcja mogła zrobić.

- Widzę, że pan Zenon gotów panu streścić całą historię warszawskiej opery – zza pleców dobiegł Karskiego świszczący szept. – I przy okazji moją.

- Ja tylko same dobre rzeczy o ludziach mówię – zmieszał się szatniarz.

Janusz Pietrzyk był wysokim mężczyzną po czterdziestce, o sprężystych ruchach. Całkowicie osiwił, ale jego włosy przybrały zdrowy, biały kolor. Szare oczy patrzyły przenikliwie. Gdzieś w ich głębi można było jednak dostrzec smutek.

- Adam Karski - prokurator wyciągnął dłoń. - Pan Zenon wyrażał się o panu w samych superlatywach.

- Miło mi. Pan Zenek już mnie przedstawił. Mimo że już nie gram, lubię tu przychodzić. Zostawiłem w tym miejscu sporo serca i przyjaciół.

Podał płaszcz szatniarzowi, ukłonił się i odszedł w kierunku sali widowiskowej Teatru Wielkiego, gdzie już wzywano na *Bal maskowy* Giuseppe Verdiego.

* * *

Karski zdecydowanie wołał bardziej nowoczesne nurty muzyczne i przyglądał się uważnie jazzowym nowinkom z Ameryki. Ale opera zawsze urzekła go swoją formą. Współistnienie słowa i muzyki wzmacniało siłę przekazywanych emocji. Opowiadające historię miłości, zazdrości, spisku i morderstwa libretto Antonia Sommy przypominało mu sprawy kryminalne, którymi się zajmował.

Wyjątkowość opery, według Karskiego, wiązała się z przeniesieniem widza z otaczającej go szarej i zimowej rzeczywistości w świat barwnych dekoracji i strojów umiejętnie wyeksponowanych przez grę światła. Nowoczesne reflektory Teatru Wielkiego przerzucały snop oświetlenia na właściwą postać, dyskretnie utrzymując wyrazistość tła. Całość uzupełniały wspaniałe głosy szóстки głównych bohaterów. Było to jak narkotyczna ucieczka w inną rzeczywistość, która dostarczała wszelkich możliwych bodźców.

W czasie antraktu stanął w foyer. Mijały go wytornie ubrane pary zmierzające do teatralnej restauracji. Karski zaplanował kieliszek bourbona na wieczór. Z odpowiednią celebracją degustacji. Stał więc i przyglądał się rozmachowi budowli i rzeźbom wypełniającym foyer.

- Czuć tu prawie sto lat trwania opery, prawda?

Obejrzał się zaskoczony. Kilka kroków dalej stał Pietrzyk, trzymając w dłoni papierosa.

- Poznań nie ma takiej tradycji operowej - uśmiechnął się aktor.

- Mamy kilka teatrów, ale operę z prawdziwego zdarzenia wybudowano zaledwie dziesięć lat temu.

- Widzi pan - Janusz Pietrzyk zaciągnął się głęboko dymem. - Teatr to jedna wielka rodzina. Znamy się, kochamy się i nienawidzimy. Ale wszyscy czujemy, że jesteśmy sobie w jakiś sposób bliscy. I my, aktorzy, i to grono zapalonych widzów, którzy nie opuszczą żadnej premiery.

- Macie dużo takich widzów? - Karski skinął w kierunku szatni. - Pan Zenek wspominał o Mateckim...

- Pan Antoni Matecki? Tak - uśmiechnął się Pietrzyk. - Przed wojną był na każdej premierze. W prawie wszystkich teatrach Warszawy. Nie wiem, jak on wytrzymał na froncie bez teatru.

- Wojna dostarczyła mu wiele zamiennych emocji - gorzko roześmiał się Karski.

- No i dość dramatycznie się dla niego zakończyła - aktor nie odwzajemnił uśmiechu. - W czasie jakiejś nierozstrzygniętej bitwy dostał serią z karabinu maszynowego w lewą nogę. Leżał na ziemi niczyjej w leju po bombie. Nie mógł się wydostać, a jego towarzysze nie mogli go stamtąd zabrać, bo ciągle odzywał się feralny karabin maszynowy. Jakiś Niemiec uparł się

dokończyć sprawę z szeregowym Mateckim. Czekali do zmroku, ale nocami Niemcy uruchamiali reflektory. Pech chciał, że jeden z nich oświetlał okolice dołu, do którego wpadł. I otwierali ogień do każdego, kto próbował wyjść z okopu. A potem zaczął się kolejny dzień. Matecki leżał w palącym słońcu i nie mógł się ruszyć. Niemcy powtarzali strategię z oświetleniem, więc przeleżał tam dwie doby. Nasi zaczęli myśleć, że już po nim. Zresztą mówił mi kiedyś, że chciał wyjść i dać się zastrzelić, ale przy każdej próbie ruchu tracił z bólu przytomność. Sprawności w nodze nie odzyskał do dziś.

– Jak to się skończyło? Ruszyła linia frontu?

– Wspominał, że jego brat Zygmunt, nie bacząc na ostrzał, wyciągnął go z dołu i zaciągnął do medyków.

– Panu też wojna zostawiła pamiętkę – Karski pomyślał, że on również bezskutecznie wma-
wia sobie, że czas w okopach definitywnie zostawił za sobą.

– Bagnet niemiecki odciął mnie od sceny. Nikt nie zatrudni aktora, który ze sceny będzie szeptał, prawda? – oczy Pietrzyka przygasły. – Brakuje mi tego, ale wiem, że dyrekcja opery nic nie może dla mnie zrobić. Mimo wszystko nadal żyję teatrem. Spotykam się z kolegami, pijemy czasem wódkę...

– A co z tą feralną datą drugiego marca? Czego ludzie się boją?

– Ognia! I mają prawo się bać – obruszył się Pietrzyk. – Widzi pan...

Rozmowę przerwał gong wzywający na drugi akt sztuki.

* * *

Karski powoli zakładał płaszcz. Zignorował zaczepkę do rozmowy ze strony pana Zenka. Po wyjściu z teatru lub kina lubił jeszcze przez kilkanaście minut analizować uczucia, jakie wywołała w nim sztuka.

Na ulicy było już całkowicie ciemno. Latarnie dawały skąpe światło, rzucając cienie nielicznych przechodniów. Poczul chłód i podniósł kołnierz płaszcza. Przez chwilę zastanawiał się, czy szukać dorożki, ale postanowił przejść się do hotelu. Ledwie zrobił kilka kroków, usłyszał, że ktoś go woła.

– Adam? Adaś Karski?

Prokurator odwrócił się od razu. Z gmachu opery biegł z otwartymi ramionami uśmiechnięty, wysoki mężczyzna w towarzystwie ponurego, młodego człowieka w białej koszuli ze stójką i czarnej marynarce.

– Julek Osterwa? – wykrzyknął Karski. – Kopę lat!

Aktora, którego sława szybko rosla, poznał w środowisku poznańskiej bohemy jeszcze przed wybuchem wojny. Potem Osterwa przeniósł się do Warszawy, a rok później Karskiego skierowano na prowincję, do Gostynia i kontakt się urwał.

– To jest Józek Poremba, świetny aktor, choć trochę smutas – uśmiech nie schodził Julkowi z ust. – Co tu robisz? Janek Pietrzyk wspominał, że poznał jakiegoś Karskiego, to skojarzyłem. Czekaj, ja już po spektaklu, to może skoczmy gdzieś na wódkę?

Karski kiwnął głową. Nie miał planów na wieczór, a przypadkowe spotkanie z przyjacielem z dawnych lat bardzo go ucieszyło. Po chwili ruszyli razem, poklepując się po plecach i wybu-

chając śmiechem.

Osterwa miał swoje ulubione lokale. W pobliżu opery, na Wierzbowej, mieściła się Oaza, której wystrój projektował autor wielu dekoracji teatralnych – profesor Wincenty Drabik. Nie dziwiło więc, że sporą część bywalców restauracji stanowili artyści.

Słynny aktor zamówił wyborową, ostatni przebój przemysłu spirytusowego z Poznania, co było ukłonem w stronę gościa z Wielkopolski.

– O co chodzi z tą feralną datą? – spytał Karski, kiedy każdy z nich opowiedział pokrótce, co wydarzyło się w ciągu dziesięciu lat, kiedy się nie widzieli.

– Zauważyłeś pewnie, że od strony Sal Redutowych budynek jest w ruinie. Tam był Teatr Rozmaitości, w którym grałem. W ubiegłym roku, dzień po Święcie Zmarłych, wybuchł potężny pożar. Prawdopodobnie rozprzestrzenił się szybko w labiryncie scenicznym, w jednej z wyższych kondygnacji zajętych na wysokość kilku pięter ponad poziom sceny przez multum wiszących dekoracji i urządzeń scenicznych, przesuwanych za pomocą skomplikowanego systemu bloków mechanicznych i dźwigów elektrycznych.

– Celowe podpalenie? To musiał zrobić ktoś z załogi teatru, tylko oni mają tam wstęp – w Karskim obudził się śledczy.

– Niekoniecznie. Z rana przez kilka godzin na terenie teatru była grupa robotników zajęta przygotowaniem sceny na popołudniowe przedstawienie *Wesela* Wyspiańskiego. Niecałą godzinę po ich wyjściu zauważono kłęby dymu wydobywające się z okien od strony ciemnego, tunelowego dziedzińca. W ciągu kilku minut zajął się cały kadłub sceniczny.

– Rozumiem, że szybkość, z jaką rozprzestrzenił się pożar, sugerowała podpalenie?

– To możliwe – z zastanowieniem pokiwał głową Osterwa. – W tym miejscu na wysokości kilku pięter znajdowały się dekoracje. Pożar objął też pięciopiętrową oficynę przylegającą od podwórza Teatru Wielkiego do płonącego kadłuba scenicznego, zajętej ogniem garderoby i składu dekoracji. Minęło pół godziny od rozpoczęcia akcji ratowniczej, a ogień szalał z taką siłą, że rozżarzone do białości żelazne belki, wiesz, te tworzące piętrowe wiązania w kadłubie scenicznym, runęły wraz z częścią płonącego dachu.

– No dobra, ale dlaczego mi to opowiadasz?

– Bo dokładnie dwa miesiące później, drugiego stycznia, spłonął kolejny teatr w pobliżu! Otwarty kilkanaście dni wcześniej Teatr Marywil przy Bielańskiej. Potężny gmach z widownią na tysiąc dwieście osób. Równy w dwa miesiące! Dziwne, co? Jutro mijają kolejne dwa miesiące i wszystkie teatry w Warszawie drżą ze strachu.

– Może to przypadek – Karski był sceptyczny.

– Przez przypadek to udało się powstrzymać pożar i nie przeniósł się na Teatr Wielki. Kolega Owerłto na szczęście miał tyle zimnej krwi, że zdążył opuścić żelazną kurtynę oddzielającą scenę od widowni. Tylko dzięki temu płomienie nie przedostały się na widownię i dalej na dach Teatru Wielkiego.

– Na pewno policja poczyniła jakieś ustalenia.

– Żartujesz chyba – zaśmiał się Osterwa. – Po pierwsze, ani w pierwszym, ani w drugim przypadku nie udowodniono, że było to podpalenie. A po drugie, policjanci nie stanowią

raczej przeważającej części publiczności w teatrach, więc ich zainteresowanie sprawą nie jest zbyt duże.

– Ale nie odpuszczamy – wtrącił Poremba. Karski miał nieodparte wrażenie, że w jego głosie wyczuwa depresyjny smutek. – Jutro i pojutrze razem z Julkiem siedzimy przez całą noc w Reducie i pilnujemy.

– Sami nic nie poradzicie – Karski pokręcił głową. – To potężny gmach.

– Na pewno zgłosi się jeszcze paru ochotników. Trzeba próbować wszystkiego. Może też wpadniesz?

– Drugiego muszę już być w pracy. Wyjeżdżam pojutrze rano.

– Próbujemy wszystkiego. Ba! Janusz, poznałeś go przed spektaklem, nawet umówił nam dziś spotkanie spirytystyczne. Będziemy szukać informacji o podpalaczu u duchów i zjaw. Chcesz się przyłączyć?

Karski zdecydowanie nie miał ochoty na zabawę w wywoływanie duchów, ale sprawa tajemniczych pożarów zaczęła go mocno intrygować.

– Komu mogło zależeć na spaleniu dwóch obiektów przy placu Teatralnym?

– Ludzie różne głupoty gadają – machnął ręką Osterwa.

Karski pomyślał, że środowisko aktorskie, mimo pozorów bliskości duchowej, często potrafi się wykazać zaskakującymi zawiścią i zazdrością. Szczególnie ci, którzy uważają się za wielkich artystów. Ale czy w tej sytuacji mogło dojść do próby likwidacji konkurencji wśród warszawskich teatrów?

Czytał też w „Kurjerze Warszawskim” o planach odbudowy Teatru Rozmaitości. Pożar właściwie mu się przysłużył. Przy odbudowie stawiano na nowoczesność i funkcjonalność. W miejscu nie do końca przystosowanych pomieszczeń miały powstać nowoczesne sale teatralne, poszerzone jeszcze o Sale Reduty. Nie chciał jednak o tym rozmawiać. Na razie.

– W pożarze mogli zginąć ludzie – stwierdził prokurator, rozlewając kolejną kolejkę. – Właściwie to cud, że obyło się bez ofiar.

– Podejrzewają ataki terrorystyczne bolszewików albo anarchistów – Poremba przegryzł kawałek śledzika i otarł usta. – Ale to trochę bez sensu. Bo po co bolszewicy mieliby niszczyć świątynie sztuki? Prędzej by zaatakowali budynki rządowe lub wojskowe. To się nie trzyma kupy.

– Może to jakiś młody adept sztuki aktorskiej, któremu odmówiono pracy na scenie?

– Trochę przesadna forma zemsty za odrzucenie wniosku o pracę, co? – skrzywił się Osterwa. – Choć z drugiej strony po wojnie nigdy nie wiadomo, co w człowieku siedzi. Niby znamy się kopę lat, a front mógł zmienić świętego w szatana.

– Nawet takiemu panu Zenkowi nie ufasz? – Poremba uniósł brwi ze zdziwieniem.

– Józek, ja sobie nie ufam, a co dopiero naszemu szatniarzowi – zaśmiał się znany aktor. – To co, jeszcze jedna mała flaszka i idziemy na rozmowę z duchami?

* * *

Z Oazy do mieszkania Pietrzyka na placu Wareckim mieli nieco ponad kwadrans. Nadłożyli trochę drogi, bo bramę Ogrodu Saskiego zamykano zimą już o dziewiątej wieczorem. Co

prawda Osterwa próbował wdrapywać się na ogrodzenie, ale został powstrzymany przez Porembę. Młody człowiek twierdził, że ostatnio, skacząc z płotu, rozdarł swoje najlepsze spodnie i nie ma zamiaru ponownie ryzykować. Karski też nie miał ochoty na wspinaczkę i wspólnie z Józefem ściągnęli Osterwę z ogrodzenia.

Zanim dotarli na miejsce, byli już nieźle zziębnięci.

- Znowu się spotykamy? - na widok prokuratora cień uśmiechu przemknął przez twarz Pietrzyka. - I na wspólnych rozmowach ze... zjawami.

Suchy, przesywający zimową noc szept aktora miał w sobie jakąś złowrogą nutę. Karski spojrział mu w oczy, ale nie znalazł w nich nic, co mogłoby go zaniepokoić.

- Kto wpadł na ten głupi pomysł? - zamruczał pośepnie Poremba.

- Jak to kto? Główny wyznawca wielkiego medium, księcia polskiego spirytyzmu, Stefana Ossowieckiego. Czyli nasz kochany Juliusz - zaśmiał się Pietrzyk. - Ciekawy jestem, jak mamy zrobić seans bez medium.

- Byłem nie raz, nie dwa na seansach z Ossowieckim. To nic trudnego, jakoś damy radę - machnęła ręką Osterwa. - Najpierw nalej nam po kieliszku Baczewskiego, bo zmarzliśmy po drodze.

Karski miał wrażenie, że seans spirytystyczny był tylko pretekstem do odwiedzin byłego kolegi z pracy.

- Masz mahoniowy stół zrobiony bez użycia gwoźdźcia? I potrzebne akcesoria?

- No nie do końca - zmieszał się Pietrzyk. - Ale wszystko w miarę przygotowałem.

Po chwili usiedli przy drewnianym stoliku. Gospodarz zapalił stojącą na nim świecę. Z chwilą gdy zgaszono resztę świateł, pokój natychmiast utonął w mroku. Cienie wyginały się na ścianach w dziwnym, ożywionym tańcu, jakby żyły własnym życiem. Czterech mężczyzn, mimo że jeszcze przed chwilą w zdecydowanie rozluźnionych nastrojach, teraz zamilkło w skupieniu.

Na stole Pietrzyk położył grubą kartkę, na której rogach wypisał: „TAK”, „NIE”, „NIE WIEM” i „NIE CHCĘ POWIEDZIEĆ”. Obok umieścił zwykły kawałek metalu, jakiego budowlańcy używają do wyznaczania pionu, który teraz awansował do poziomu przedmiotu okultystycznego. Całości tego przedsięwzięcia zdecydowanie daleko było do profesjonalizmu. *O ile jakimkolwiek tego typu spirytystycznym dziecinadom można w ogóle przypisać miano profesjonalnych*, pomyślał prokurator.

- Osterwa, ty jesteś masonem, masz doświadczenie w takich tajnych obrzędach, to może jakoś zaczniesz - Karski przerwał ciszę.

- Najpierw trzeba zwrócić się do Boga, żeby przysłał nam dobrego ducha - niepewnie mruknął jego przyjaciel.

- Którego boga? Ty jesteś katolik?

- Takiego ogólnie. Każdy ma swojego.

I dodał już pewniejszym głosem:

- Wzywam Cię, Boże, abys zachował nas w zdrowiu i pozwolił na wizytę ducha przyjaznego, w dobrej wierze i pomocnego nam.

Karski pokręcił głową. Coraz mniej podobała mu się ta zabawa. Szczególnie że każdy z nich był już nieźle pijany.

– Chyba powinniśmy jakoś połączyć rozpostarte dłonie, co? – zapytał szeptem Poremba. – I kto ma trzymać to wahadełko?

– Ja wezmę – Janusz sięgnął po przedmiot. – A Julek będzie robił za medium.

Na chwilę zapadła cisza, a potem Osterwa zawołał donośnym głosem:

– Duchu, przybądź i odpowiedz na nasze pytania. Duchu, przybądź! Wzywamy cię! Przybądź, wzywamy cię. Czy jesteś z nami?

Płomień świecy lekko zamrugał, ale mógł to być efekt szybkiego wypuszczenia powietrza z płuc przez któregoś z mężczyzn. Metalowy przedmiot na sznurku drgnął i skierował się w stronę napisu „TAK”.

– Julek, jaja sobie robisz – westchnął Poremba.

– Cicho! – zganiał go Osterwa. – Bo spłoszysz ducha! One nie lubią niedowiarków. Duchu, odpowiedz, czy podpalacz znów zaatakuje.

Wahadełko chwilę krążyło pomiędzy „NIE CHCĘ POWIEDZIEĆ” a „TAK”, ostatecznie zatrzymując się na tym drugim wyrazie.

– Czy nasz teatr jest zagrożony? – kontynuował prowadzący.

Tym razem duch natychmiast udzielił twierdzącej odpowiedzi. Osterwa otarł pot z czoła.

– Czy sprawcą jest osoba związana z Teatrem Wielkim?

Wahadełko ani drgnęło. Pietrzyk uniósł brwi i bezradnie wzruszył ramionami.

– Czy możesz nam wskazać, kto stoi za tymi podpaleniami? – w głosie Osterwy można było wyczuć napięcie. – Albo chociaż naprowadzić, kto to?

Metalowy pion, który jeszcze dwa dni wcześniej wyznaczał linię prostą stolarzom poprawiającym drzwi w salonie gospodarza, skierował się w ku zdaniu: „NIE CHCĘ POWIEDZIEĆ”.

– I kij ci w dupę! – warknął Poremba.

– Cizsa! – krzyknął Osterwa. – Bo się obrazi! Duchu, jesteś z nami? Pomożesz nam?

Przyrząd okultystyczny pozostał nieruchomy. Aktor spojrzał wściekle na młodszego kolegę.

– Duchu, nie zwracaj uwagi na tego kretyna, bo wódka zżarła mu pół mózgu. Wracaj do nas!

– Julek, ja mam dość – powiedział Karski, wstając od stołu. – W przeciwieństwie do ciebie nie wierzę w te bzdury. A powoli zaczyna mnie już suszyć.

* * *

Rano bolała go głowa. Skutek wcześniejszego kontaktu ze środkami pochodzenia spirytusowego lub spirytystycznego. Karski obstawiał zdecydowanie te pierwsze.

Po późnym śniadaniu i wlaniu w siebie dwóch mocnych kaw wyszedł z hotelu i skierował się na plac Teatralny.

Zbliżało się południe. Ciężkie, ołowiane chmury wisiły nisko nad miastem, zwiastując deszcz lub opady śniegu. Ludzie szybko przemykali chodnikami, trącając się łokciami i mamrocząc pod nosem słowa przeprosin. Przemiana pór roku nie odbywała się w sposób płynny. Zima wciąż walczyła o swoje prawo do decydowania o aurze.

Kiedy na krótko słońce przedarło się zza ciemnych obłoków i oświetliło budynek Teatru Wielkiego, gmach wydawał się jeszcze potężniejszy. Jakby stworzyli go prastarzy bogowie, by celebrować w tym miejscu duchowe obrzędy.

Pana Zenka zastał w szatni polerującego blat. Przykładał się do tej pracy, jakby od tego zależało dobre przyjęcie nowej premiery przez najsurowszych warszawskich krytyków.

– Aaa, to pan Karski – ucieszył się na widok prokuratora. Zapewne nieczęsto zdarzał mu się rozmówca o tej porze dnia. – Przyciąga pana magia opery?

– Coś wyczuwa się w tym gmachu – przyznał Adam. – Chciałem pobyc tu trochę i się przyrzec.

– A jest czemu – szatniarz aż pokraśniał z zadowolenia.

– Szkoda tylko, że Rozmaitości spłonęły. Kawał historii scenicznej poszedł z dymem.

– Niech szanowny pan nie porównuje naszej opery do tej szopki – oburzył się pan Zenon. – Tu jest sztuka z tradycjami, a nie to, co teraz wyprawiają na scenach różni niby-aktorzy. Jacy z nich artyści, proszę szanownego pana? Jeno jedno drugie prześciga, żeby coś dziwniejszego wyszło! Szkoda gadać. Spalił się i myślałem, że już spokój będzie, a teraz nie dość, że zajmują Sale Reduty, to jeszcze wielka odbudowa się szykuje!

– A Marywil?

Mężczyzna machnął ręką i z jeszcze większym zapałem zaczął polerować kamienny blat.

– Opera, panie Karski, to jest sztuka. Przez duże „S”. A nie jakieś hocki-klocki.

– Sądzi pan, że ktoś umyślnie spowodował pożar obu teatrów?

– A szanowny pan wierzy w takie przypadki? Nie dość, że prawie na jednej ulicy, to jeszcze dokładnie tego samego dnia. Drugiego. To, panie Karski, jakiś szalenciec! Pewnie anarchista albo komunista. Jutro od rana będę pilnował opery! Niech tylko spróbuje, a pokażę mu, co znaczy pan Zenek!

Szatniarz zamachnął się ścierką, jakby to nią miał zamiar pokonać tajemniczego podpalacza.

– Może zauważył pan coś dziwnego, coś, co pana zaniepokoiło?

– Interesuje się pan tymi pożarami? – pan Zenek zeszytniał i zaczął się uważnie przyglądać Karskiemu. – Dlaczego?

– Z racji zawodu. Proszę się nie denerwować. Jestem prokuratorem i zajmowałem się różnymi sprawami kryminalnymi. Może mógłbym pomóc.

– To niech pan pogada z panem Antonim Mateckim – mężczyzna spojrział już bardziej przychylnie. – To bardzo cichy, kulturalny człowiek. Ja kocham tylko operę, on kocha scenę. Chodził do Rozmaitości, Polskiego i Nowego. Nawet na operetki do Nowości. U nas dziś *Madame Butterfly*. Pan Antoni przyjdzie na pewno!

– Wolałbym spotkać się z nim wcześniej. Czas szybko ucieka, a pan Matecki na pewno ma ogromną wiedzę o teatrach. Może on coś zauważył? Wie pan może, gdzie go znaleźć?

* * *

Brama kamienicy przy ulicy Krochmalnej, w której mieszkał Antoni Matecki, powitała go chrzęszczącym pod nogami tynkiem, który odpadał płatami ze ścian, oraz ostrym fetorem

moczu. Lodowaty deszcz, który od kilku minut uwalniało ciemne niebo, bezskutecznie starał się zmyć brud z podwórza. Stojący w bramie młody człowiek z fantazyjną czerwoną apaszką na szyi przyglądał mu się uważnie. Kilka marek polskich skłoniło go do przełamania niechęci i udzielenia informacji, gdzie mieszka Matecki.

Karski minął bawiące się na korytarzu dzieci i zaczął wspinać się drewnianymi schodami na ostatnie piętro. Kiedy zapukał w próchniejące drzwi, początkowo odpowiedziała mu cisza. Dopiero kiedy uderzył parę razy pięścią, w mieszkaniu dał się słyszeć ruch, a po chwili chrobotanie klucza w zamku i odsuwanie zasuw.

– Pan sobie życzy?

W drzwiach stanął niski mężczyzna w kracastej koszuli. Spod kaszkietu wysuwały mu się tłuste strąki siwych włosów. W ręce trzymał solidny pogrzebacz do kominka.

– Szukam pana Antoniego Mateckiego.

– Brata nie ma. Wyszedł – mężczyzna wyrzucał z siebie słowa, jakby starał się je wypluć. Utykając, wyszedł na korytarz, prawie wypychając prokuratora za próg. – Nie ma go.

– Mógłbym wejść i poczekać? – Karski nie miał zamiaru jeszcze raz przychodzić w to miejsce.

– A po jaką cholere? – twarz Zygmunta Mateckiego poczerwieniała. – Co pan właściwie od niego chcesz?

– Porozmawiać o ludziach teatru. To dość pilna sprawa.

– Daj mu pan spokój! – krzyknął.

Piętro niżej otworzyły się drzwi i jakaś zaciekawiona lokatorka wyszła na korytarz. Kiedy napotkała wściekły wzrok mężczyzny, szybko cofnęła się do mieszkania. Drzwi pozostawiła jednak uchylone.

– A kiedy wróci?

– Nie mam pojęcia. To wolny człowiek. Żegnam pana.

Karski zacisnął zęby i się odwrócił. Bardzo liczył na tę rozmowę, a skończyło się na wymianie zdań z aroganckim typem.

Kiedy schodził schodami, słyszał jeszcze, jak Zygmunt Matecki, utykając, podchodzi do poręczy. Do jego uszu doszedł odgłos splunięcia. W ostatniej chwili odskoczył pod ścianę. Pačka śliny rozprysła się kilka centymetrów od jego butów. Z góry dobiegły go chrapliwy śmiech, kuśtykanie i trzaśnięcie drzwiami.

Zbiegł po schodach i z ulgą opuścił kamienicę, w której mieszkali bracia Mateccy.

Wizyty na Krochmalnej na pewno nie mógł zaliczyć do udanych. Czuł, że coś mu umyka. Przez chwilę przesuwały mu się przed oczami fragmenty spektaklu, który oglądał wczoraj. Zatrzymał się tak nagle, że idąca za nim straganiarka wyrzuciła go koszykiem w plecy. Rozejrzał się nieprzytomnym wzrokiem.

To musiało tak wyglądać! Musiał jeszcze tylko sprawdzić ostatnią poszlakę.

Postanowił zadzwonić z hotelu. Na szczęście kilku jego przyjaciół prawników postanowiło pozostać w wojsku i dalej robić karierę w ministerstwie. Informacje, które chciał uzyskać, na pewno nie były tajne.

– Jest pan pewien, że ten człowiek przyjdzie? I że nie jest niebezpieczny? – Emil Młynarski, dyrektor opery, nerwowo ocierał z potu łysą głowę chusteczką, mimo że było zaledwie kilka stopni powyżej zera. – Czy to w ogóle konieczne? Ta policja praktycznie w budynku Teatru Wielkiego? Przecież mogli pojechać po niego i aresztować go w domu.

Oparty o kolumnę w stylu jońskim prokurator tylko się uśmiechnął. Sam do końca nie był pewien, czy ma rację.

Stali pod mурowanym portykiem w wejściu do opery. Karskiemu towarzyszył Osterwa, który nerwowo palił papierosa. Udawali pochłoniętych rozmową, od czasu do czasu kiwnięciem głowy i uchyleniem kapelusza pozdrawiając co znakomitszych widzów zmierzających na spektakl.

O mało nie przegapili szczupłej postaci w szarym płaszczu, która drobnymi kroczkami zbliżała się do wejścia do teatru. Szybkie spojrzenie w twarz nie pozostawiało już żadnych wątpliwości. Karski podszedł zdecydowanym krokiem, machając jednocześnie na policjantów po cywilnemu.

– Pan Matecki?

– Tak – mężczyzna podniósł zdziwione oczy. – My się znamy?

– Cóż, to zależy. Pan pozwoli, że oddam pana w ręce policjantów. Muszą wyjaśnić kilka kwestii, dobrze?

– Ale ja niczego złego nie zrobiłem – Matecki wydawał się kompletnie zaskoczony. – Ja muszę na *Madame Butterfly*.

– Następnym razem – uśmiechnął się Karski, obejmując go ramieniem. – Zaraz przyjadę porozmawiać z panem. A teraz niech pan pomoże tym dzielnym policjantom.

Po chwili pozostali sami przed wejściem do teatru.

– Dziękuję panu, że wszystko odbyło się bez skandalu – Młynarski ucisnęła dłoń prokuratora. – Zatrzymanie podpalacza praktycznie w murach świątyni sztuki... To nie wygląda dobrze. Liczę na panów dyskrecję.

– Chyba nikomu nie zależy, by sprawa nabrała rozgłosu, prawda?

– Nie mogę uwierzyć, że podpalaczem jest ten sympatyczny człowiek, pan Antoni – Osterwa pocierał czoło. – Taki wrażliwy na sztukę. Taki grzeczny i kulturalny.

– Bo to może nie do końca on – odparł w zamyśleniu Karski.

– Nie rozumiem.

– Ja też długo nie rozumiałem. Potem przypomniałem sobie pewien fragment libretta *Balu maskowego*.

A cóż dla mnie? On zgładził mi brata

Płomień zemsty tli tu długie lata

Bez spoczynku duszę mą nęka,

Cóż dla mnie zostanie?!

- Co mam z tego zrozumieć? - Osterwa patrzył na niego jak na wariata. - Śmierć brata może spowodować głęboki uraz, czasem prowadzący do obłądzenia. Szaleństwa. To się często zdarza w każdych czasach. Ale w tym przypadku przecież obaj bracia przeżyli wojnę!

- Julek, nie było żadnych braci. Nie istniał Zygmunt Matecki. Sprawdziłem: Antoni miał tylko siostrę, która zmarła trzy lata temu.

- Przecież opowiadał, że brat go uratował!

- W czasie wojny Antoni Matecki doświadczył trzech koszmarnych, pełnych niewyobrażalnych cierpień dni - Karski poczuł, że zimny dreszcz przeszedł mu po plecach. Sam przeżył podobną sytuację. Nie chciał do tego wracać. - Trzy dni i trzy noce nawet bez łyka wody. Z ciągłym, powodującym omdlenia bólem. Kilkadziesiąt godzin odczłowieczających katuszy, kiedy załatwiał się pod siebie i opędał przed szczurami, które kąsaniem przywracały go do przytomności. Wreszcie ruszyła linia frontu i nieprzytomnego Mateckiego znaleźli sanitariusze. Odzyskał świadomość po dwóch dniach. Przeprowadzono skomplikowaną operację. Nogę udało się uratować, ale nie była już w pełni sprawna.

- Skąd masz takie dokładne informacje? - Osterwa wyciągnął w jego kierunku papierosnicę, ale Karski pokręcił przecząco głową.

- Mam kilku znajomych, którzy sprawdzili wszystko w archiwach wojskowych. Nigdy nie istniał ktoś taki jak Zygmunt Matecki.

- Przecież mówiłeś, że otworzył ci drzwi i mało kiejem nie potraktował.

- Widzisz, niecały miesiąc temu spotkałem się z niejakim Leonem Wachholzem. Mój dobry przyjaciel Wachholz rzuca zupełnie nowe światło na współczesną praktykę sądowo-psychiatryczną. Opowiadał, jak przed Wielką Wojną francuski psychiatra Pierre Janet zajął się kwestią dysocjacji, czyli zdwojenia osobowości. Mechanizm powstawania zjawiska nie jest dobrze poznany. Janet twierdzi, że na powstanie zjawiska osobowości mnogiej mogą wpływać między innymi traumatyczne przeżycia. Zazwyczaj obie osobowości nie wiedzą o sobie, choć nie jest to regułą. W przypadku Mateckiego to się nie sprawdziło. Może, leżąc na ziemi niczyjej, pomiędzy wrogimi wojskami, marzył o kimś bliskim, kto mógłby go uratować. I tak stworzył brata Zygmunta, będącego jego przeciwieństwem: silnego, brutalnego, ale zawsze gotowego wystąpić w jego obronie.

- Nie widziałeś wcześniej Antoniego. Jakim cudem po wizycie na Krochmalnej odkryłeś, że Zygmunt nie istnieje? - Osterwa zauważył błysk w oku Karskiego, zupełnie jakby prokurator tylko czekał na to pytanie.

- Niby-brat kulał - rzucił. - To raczej mało prawdopodobne, żeby obaj bracia mieli taką samą kontuzję.

- Ale skąd ta data? Dlaczego podpalał dokładnie drugiego dnia miesiąca?

- On nie planował podpaleń. Po prostu skąpe fundusze pozwalały mu odwiedzać teatr zaraz po otrzymaniu świadczenia. W jego przypadku to pierwszy dzień danego miesiąca. Był to dla niego szczególnie, odświętny dzień: siedł do świątyni sztuki. A tu otrzymywał bodziec, który uaktywniał jego drugie ego.

- Bodziec? Za chwilę powiesz mi, że sztuka szkodzi - skrzywił się Osterwa.

– Jeszcze kilkadziesiąt lat temu nic by się nie stało, ale dziś każdy spektakl w końcu przypominał mu traumatyczne wydarzenia z czasów wojny. Kiedy leżał ranny i czekał z nadzieją na nastanie nocy, licząc na pomoc...

– Reflektory!

– Otóż to. Reflektory sceniczne. One powodowały, że wspomnienia wracały i organizm zaczynał uruchamiać czynniki obronne. I wtedy pojawiał się Zygmunt, który, broniąc brata, postanawiał zniszczyć źródło jego cierpienia. Zresztą to tylko przypuszczenia i nie sądzę, żeby Antoni Matecki potrafił nam to wyjaśnić. Człowiek dotknięty dysocjacją osobowości może nie pamiętać zachowań i zdarzeń, w których uczestniczył jako druga osobowość. Sądzę, że tak właśnie jest w jego przypadku. Raz był wrażliwym miłośnikiem teatru Antonim, a raz przeistaczał się w prymitywnego i brutalnego Zygmunta.

– Życie urządziło mu bal maskowy – Osterwa smutno pokiwał głową.

W latach dwudziestych dwudziestego wieku pożary dwóch warszawskich teatrów budziły wielkie emocje i wywoływały lawinę spekulacji.

Seans spirytystyczny miał miejsce w mieszkaniu Kazimierza Kamińskiego, a brali w nim udział

Juliusz Osterwa oraz Teodor Roland.

Osterwa przed przeniesieniem się w tysiąc dziewięćset dziesiątym roku do Warszawy występował w Poznaniu, mógł więc tam spotkać się z Adamem Karskim.

¹ *Bal maskowy. Opera w trzech aktach, Lwów 1900, s. 41.*

² *Bal maskowy. Opera w trzech aktach, Lwów 1900, s. 53.*

GAJA GRZEGORZEWSKA

NIEBO POD NASZYMI STOPAMI

1958 Willa na Skarpie

Plama krwi przypomina kontynent afrykański w odbiciu lustrzanym. A ta poniżej wygląda trochę jak Australia, która przydryfowała tu przez Ocean Indyjski z zielonkawego marmuru. Pozostałe plamy nie budzą w nim żadnych konkretnych geograficznych skojarzeń. Może dlatego, że to mapa jakiegoś zupełnie innego, nieznanego świata.

Oficer niewiadomych służb, który nie przedstawił się ani nazwiskiem, ani stopniem, spozstrzega, na co patrzy gospodarz.

– Trochę jakby mieszkać w nawiedzonym zamku, co? Czemu pan tego nie usunie? Nie wymieni? Jest pan przecież architektem.

– Bo to ważne. To kawałek naszej historii. Trzeba pamiętać.

Brzmi to jakoś sztucznie, jak wyuczona lekcja, mimo że architekt naprawdę wierzy w to, co powiedział. To wszystko wina jego nocnego gościa. Przy takich jak on człowiek zawsze czuje się winny i nieszczerzy, czuje, jakby przez cały czas kłamał, nawet jeśli mówi prawdę płynącą prosto z serca. Oficer uśmiecha się ironicznie.

– Trzeba patrzeć w przyszłość – mówi dziarskim głosem, w którym czai się jednak niedopowiedziana groźba. Albo architektowi tak się tylko wydaje. Jest nadal oszołomiony.

– Odprowadzę pana – odpowiada więc tylko cicho i wskazuje drogę do wyjścia.

Na podjeździe przed budynkiem stoi zaparkowana czarna wołga. Jakże wymownie. A może wcale nie czarna. W końcu w nocy wszystkie wołgi są czarne. W księżycowym świetle błada twarz kierowcy wygląda jak oblicze sklepowego manekina i jest równie nieruchoma i pozbawiona wyrazu.

– Piękna noc – wzdycha gość bez imienia.

Gospodarz mimowolnie spogląda w gwiazdy. Tej nocy jest ich jakby więcej. Oficer również zadziera głowę i szczerzy kły w uśmiechu. Niczym jakiś obłąkany, który uciekł z pokoju bez klamek. Architekt nie zdziwiłby się, gdyby niezajomy nagle zawył do księżycyca. *Może to tylko sen, myśli. To wszystko nie ma sensu, więc to musi być sen.*

– Trzeba patrzeć do przodu. Zawsze do przodu. I do góry.

Architekt dyskretnie szczypie się w nadgarstek. Nie dość dyskretnie, gdyż wszystkowiedzące oko gościa rejestruje ten ruch.

– Wie pan, jak najłatwiej sprawdzić, czy to sen, czy jawa?

- Nie.

- Pokażę panu.

I rusza za róg willi. Jej zaskoczony właściciel podąża za nim. Nocny gość wyciąga z kieszeni latarkę i kieruje promień na kamienną ścianę, oświetlając napis.

- SCANDIVS DDAR FX T.AMRC+ - odczytuje z przesadnym mozołem. - Co to właściwie znaczy? Znaczy cokolwiek? A może nie ma żadnego sensu. W takim razie może to jednak sen?

Wybucha rubasznym śmiechem, który urywa się nagle. Gasi latarkę i znowu zapada ciemność. Wkłada do ust papierosa, a jego kanciastą twarz oświetla na moment płomień zapalki, wydobywając wszystkie upiorne krzywizny z gabinetu doktora Caligari. Pstryka palcami i rozżarzona zapalka szybuje w noc niczym kometa.

- Rozumiem, że musi pan przetrwać naszą sprawę - odzywa się niewyraźnie z podrygującym papierosem w ustach.

- Projekt jest już zaopiniowany...

- Przecież projektowanie to proces. W poniedziałek dostanie pan oficjalne uwagi radzieckich architektów dotyczące „przesunięć programowych, względnie funkcjonalnych”. Jakoś tak. Chodzi o zmniejszenie kubatury.

- A potem?

- Wspólnie realizujecie projekt. On się panu spodoba. To wizjoner. Jak pan. A nawet bardziej. Lub inaczej. Dogadacie się. Budowa potrwa oczywiście nieco dłużej, niż zakładaliście. Ale sam pan rozumie. Rozumie pan, prawda?

Cała jowialność znikła. Groźba zawarta w ostatnim pytaniu jest wyraźna jak gwiazdy zdobiące nocne niebo nad nimi.

- Oczywiście.

Potem patrzy, jak wołga odjeżdża, rozdierając nocną ciszę chrzęstem żwiru pod kołami. Przednie światła omiatają niewzruszony gład narzutowy, który wygląda, jakby strzegł willi. Ale jej właściciel wie, że gład niczego nie strzeże. Po prostu trwa.

Tej nocy raczej już nie zaśnie, więc wraca do biblioteki. Staje przy biurku i na swój stary projekt nakłada kalkę z planami, które otrzymał od gościa bez nazwiska. Wygląda i przypina kalkę pinezkami do papieru. Tak. To naprawdę jest do zrobienia. A potem wzdycha, nagle przygnieciony odpowiedzialnością za przyszłość. Siada ciężko w fotelu, zmęczony, ale już pogodzony z nową sytuacją. Jego wzrok błędzi po suficie i wmontowanych w beton ludowych misach, w półmroku tak bardzo przypominających księżycowe kraterzyki. Sięga po szkicownik i na pustej stronie zaczyna rysować kręgi, ubawiony myślą, która go usidla: *ukryty na widoku*.

Dużo później

Budzę się. Mam wrażenie, że spałam przez całą wieczność. Sny umykają mi spod powiek, które zaciskam mocno, jakby to mogło pomóc w odtworzeniu śnionych fabuł. Jak zwykle nic z tego. Jak zwykle? Ogarnia mnie nieprzyjemne uczucie, że coś tu nie gra. Coś jest nie tak. Otwieram oczy, lecz nadal jest ciemno. Nie, to moje oczy są wciąż zamknięte. A powieki ciężkie jak dwa kamienie. Chyba znowu zasypiam. I znowu się budzę. Wyczuwam postaci w ciem-

ności. Patrzą na mnie. Czekają. Szepczą. Obserwują. To pewnie tylko paraliż przysenny. Skoro wiem takie rzeczy, to chyba mogę się obudzić, chyba mnie na to stać.

– Możesz mieć problemy z odróżnieniem jawy od snów – słyszę pradawny głos drugiego medyka. – Jest na to łatwy sposób. Spróbuj coś przeczytać.

Jak mam czytać w tych ciemnościach? Z zamkniętymi oczami.

Szmer ciemnych głosów narasta. Coś uciska mi klatkę.

– Możesz oddychać samodzielnie. Spróbuj teraz coś powiedzieć.

Ależ to boli. Niech to się nareszcie skończy. Nie chcę mówić, tylko krzyczeć. Więc krzyczę.

No i wtedy budzę się naprawdę. Z zadyszka jak po biegu i przyspieszonym tętnem. Nadal jest ciemno. Szarawo, jak bywa tuż przed świtem. Widzę okno, a za nim niejasną obietnicę dnia, która wyśpiewuje już swoją pieśń: zgrzyt tramwaju na szynach, mlask kół na mokrym asfalcie, jęk karetki na sygnale. Wesołe trele porannych ptaszorów, szczeknięcie psa, miłosne zawodzenie podwórkowych kotów. Ktoś tu przynajmniej dobrze się bawi.

Macam ręką blat nocnego stolika, ale nie znajduję mojego tabla. Trudno. Nic się nie stanie, jeśli kolejne przygnębiające newsy poznam dziś nieco później. Zapalam lampkę przy łóżku. Siadam, ziewam, wszystko mnie boli i wcale nie czuję się wyspana. To podobno normalne. Taką mamy teraz normę. Wszyscy są zmęczeni i niezdrowi. Jak boli, to znaczy, że nadal żyję – tak mawiała moja babcia. Mimo zmęczenia czuję, że już na pewno nie zasnę. Więc wstaję powoli i ostrożnie, jakbym to ja była własną babcią.

– Nadal żyjesz, wnusiu – próbuję sobie żartować, ale nie poznaję własnego głosu. Brzmi obco, skrzeczy jak nienaoliwione zawiasy, a mówienie po prostu boli. Ten świat naprawdę nie jest wart mojej męki.

Człapię w kierunku drzwi. Zapalam światło w kiszkatym korytarzu. Odczytuję napis z tabliczki umieszczonej na ścianie: *Zakaz palenia*. Czytam, więc nie śpię. Odwiedzam łazienkę. Myjąc zęby, przyglądam się bladej, niezdrowej twarzy w lustrze. Jakoś inaczej ją zapamiętałam. Lepiej.

Nagle drżenie sprawia, że chwytam krawędź umywalki. Znowu wstrząsy. Trzęsienie ziemi. W Polsce. Kto to widział. Kiedyś tego nie było, mówiła prababcia. Kiedyś było lepiej. Podobno każde pokolenie tak gada, ale jak tak pomyśleć, to kiedyś naprawdę musiało być lepiej. Na przykład ludzie spacerowali po ulicach z uwiązanymi na smyczach psami. Absurdalny musiał to być widok, ale zarazem jakiś taki pocieszny.

Uśmiech w lustrze zamiera. Patrzę sobie w oczy. Zaglądam pod zaczerwienione powieki w przekrwione białka. Naciągam skórę, sprawdzam, czy to aby nie maska. Coś się nie zgadza. Znowu oblepiają mnie łęki. Czuję, jak lodowaty pot wycieka ze mnie jak z sita. Oddycham z trudem. I jeszcze ten ból w klatce, w gardle, w przełyku. Czyżbym zapomniała zażyć moje lekarstwa?

Otwieram szafkę za lustrem. Fiolki z lekami stoją w swoich przegródkach. Biorę ten poranny oraz ten na ataki paniki i łykam, popijając wodą przesączającą się na moją dłoń przez filtr na kranie. Za pół godziny poczuje się lepiej.

– To ogromnie pocieszające – częstuję samą siebie asekuracyjnym tekstem. Odkasłuję i pluję do umywalki krwią. To coś nowego. Może powinnam zadzwonić i powiedzieć, że jestem

chora. Wrócić do łóżka i śnić sny, których nie będę pamiętać.

Wiem, że nie mogę tego zrobić. Jesteśmy w końcowej fazie, chociaż nadal w tyle. Odliczamy, jak mawiają kontrolerzy. Prowadzimy wyścig, już nie z sąsiadami zza płotu i zza oceanu, tylko z czasem. Wszyscy ścigamy się już tylko z czasem. Nikt już nikomu nie zagląda w tajemnice, bo szkoda energii na taką dziecinadę.

Wyciągam porcję pełnowartościowego brykietu i podgrzewam. Kawa ma podły, zatęchły smak przedwczorajszego dnia, który sprawia, że przestaję żałować, że trzeba będzie z niej zrezygnować. Energetyczne tabletki są lepsze dla wątroby i zajmują mniej miejsca. Żując pozbawiony smaku brykiet, sięgam po tabla, którego zostawiłam ostatniego wieczoru na kuchennym blacie. Ekran rozświetla się i rozpoznaje moją twarz, mimo że mnie wydawała się obca. Przebiegam wzrokiem plan moich dzisiejszych roboczegodzin. Jakbym miała jakieś inne godziny! Ziutek, jak nazwałam mojego OSI (Osobista Sztuczna Inteligencja), też się przebudził ze swojego cyfrowego snu. Pojawia się w rogu planu dnia, przybierając postać spinacza, którą dla niego wybrałam z sentymentu. Nikt już nie używa spinaczy, bo nie ma nimi czego spinać.

- Wstałaś już? - pyta dziarsko Ziutek.

- Nie, kurwa, nadal śpię.

- Humor dopisuje. To dobrze. A forma jak? Wszystko gra na sto dwa?

- Doskonale. Chujowo, ale stabilnie. Spanie, sranie, pracowanie - wygłaszam nasze pracownicze motto, a Ziutek powiększa się na cały ekran, szczerzy zęby w uśmiechu i chwytą się za swój pozaginany brzuch, udając, że go to bawi. Próbuje bezskutecznie odsunąć go palcem, żeby przeanalizować plan. - Zjeżdżaj.

- Wiesz, że nie mogę, siostró. Procedury! Miejmy to z głowy. Jaki mamy dziś dzień?

To rutynowe pytanie, na które odpowiadałam już wiele razy, zaskakuje mnie swoją podejrzaną oczywistością. Spoglądam na nadgarstek, ale nie mam na nim zegarka. A datę na ekranie tabla blokuje Ziutek, wlepiając we mnie wytrzeszczone gały, podparty pod boki, w wyciekającej pozie.

- To idiotyczne.

- Ale konieczne. Jaki mamy dziś dzień? Podaj datę.

- Jestem zmęczona.

- Nie ty jedna. To nie wymówka. Miesiąc?

- Maj? - zgaduję, myśląc o rozśpiewanych ptakach za oknem.

- Blisko. Czerwiec. A rok?

Gorączkowo szukam w pamięci. Przywołuję ostatnie katastrofy z nagłówków i próbuję namierzyć towarzyszące im daty.

- Dwa tysiące dziewięćdziesiąty ósmy? - rzucam ostrożnie, a ten pytajnik na końcu niespodziewanie bardzo mnie zawstydza. I zaraz ogarnia mnie złość. - Nie mam na to czasu.

- To twoje zasady. Ty je wymyśliłaś. Dobrze ci idzie. Jeszcze kilka pytań - zachęca Ziutek przymilnym głosem. A ja się zastanawiam, dlaczego nie potwierdził daty. - Gdzie jesteś? Podaj dokładny adres, pod którym się znajdujemy.

To akurat łatwe.

- Warszawa. Plac Teatralny 3. Poziom czyścica.

- Dokąd zmierzasz?
- Do piekła. Jak każdego zasranego dnia.
- Czemu zaraz zasranego?
- Bo taki mamy klimat.
- Nad czym teraz pracujesz?
- Nad tym, co mi właśnie zasłaniasz.
- Nie pamiętasz?
- Nie wyspałam się.
- Wyśpisz się, jak zaśniesz.
- Mówi się: wyśpisz się po śmierci.
- Kiedyś się tak mówiło. Ale to już nieaktualne. To twoje słowa – Ziutek wyciąga ze swojego ubożego repertuaru min tę zafrasowaną i nakłada okulary, by wyglądać mądrzej. – Czy coś cię trapi, złociutka?
- To nadal test?
- Ty mi powiedz.
- Mam dziwne uczucie derealizacji.
- To normalne.
- To przez pracę – przekonuję bardziej siebie niż nadal irytująco współczującego Ziutka. – Opracowuję schematy wybudzeń. Od tego można ześwirować. No właśnie! Tym się zajmuję. Schematami wybudzeń.
- *Jam też po snów pływał morzu* – deklamuje Ziutek, unosząc palec w górę, na jego czubku wiruje niczym piłka do kosza trupia czaszka.
- *Hamlet*.
- Przeszła pani do kolejnego etapu!
- To najgorszy teleturniej na tej planecie.
- Ziutek w nagrodę odsłania ekran i Schemat Piąty Łagodny, do którego dobrałam sentencję: „Życie jest teatrem, aktorami ludzie. Reżyserem ja”. Przebiegam wzrokiem po własnych słowach: warunki są tu doskonale do stworzenia znajomego środowiska. Po wybudzeniu obiekt przez pewien czas będzie pozostawał w fazie zagubienia, kiedy to mózg łatwo zaakceptuje pewien poziom umowności. Odpowiednio przygotowany wcześniej Wybudzony sprawdzi przede wszystkim, czy nie śni, co jest niezbędne do realizacji dalszych kroków. Iluzja od samego początku powinna zawierać elementy, które zasieją w podświadomości Wybudzonego wątpliwości dotyczące natury rzeczywistości. Obiekt nie zarejestruje od razu błędów, ale wątpliwość będzie w nim spokojnie dojrzywać. Te błędy to elementy rzeczywistości niezgodne z tym, co Wybudzony pamięta. Takie jak...
- Zamyślałam się. Czuję, że utknęłam.
- To bardzo indywidualna sprawa – wzdycham.
- Najlepiej zacząć od własnego przykładu – wymądrza się Ziutek. – Co ciebie by zaskoczyło po przebudzeniu?
- Obce wnętrze.

- To za mocne. Można się nielecho przestraszyć. Ktoś mógłby dostać ataku paniki i zrobić sobie krzywdę.

Nagle gdzieś w głębi rozlega się przeciągły, żałobny jęk. Budynek drży w posadach. Chwyta tabla, jakby to on mógł pomóc mi zachować równowagę, gdybym zaczęła się przewracać.

- Muszę sprawdzić, co się dzieje.

- Poczekaj! - woła Ziutek.

Ala ja już pospiesznie zakładam kombinezon, buty, maskę. Człowiek nie potrafi pokonać własnej ciekawości. Zawsze musi sprawdzić, co się dzieje. Musi stać na moście, gdy idzie wielka fala. Robić zdjęcia trąbie powietrznej. Usiąść na murku pomiędzy żołnierzami wrogich armii, jak najbliższej wylotu luf, żeby nie uронić ani jednej kuli. Ciekawość pcha nas do przodu równie często, jak zabija. Chodzi o to, żeby zdążyć, zanim nas dopadnie.

- Ciekawość to pierwszy stopień do piekła - wygłasza sentencjonalnie Ziutek.

- To dobrze, bo właśnie tam się wybieram.

- Jakby co, ostrzegalem.

- Odnotowałam.

- A praca, a roboczogodziny? - marudzi Ziutek.

- Mogę iść i pracować.

- To mi się podoba. Tak trzymać, szefowo!

Włączam dyktafon w kombinezonie. Biorę latarkę. Sprawdzam, czy działa. Z puszek po ciastkach, pamiętającej wyprawy przodków na Zachód po lepsze jutro, wyjmuję Czechowa. To mój glock. Imię pasowałoby bardziej do strzelby, ale nie mam strzelby. Strzelby są dobre, jak jesteś pieprzonym fanatykiem i przez cały dzień tylko leżysz na dachu i strzelasz do kaczek. Ale dla zwykłego człowieka, który nie ma całego dnia, tylko roboczogodziny do wypracowania, strzelby są niepraktyczne.

- Tylko się nie rozpraszać!

- Wezmę cię ze sobą, co ty na to?

- No dobrze. Ale nie lubię być samym głosem, bez mojego pięknego ciała czuję się niepełny.

Wychodzę na korytarz w ciemność zarządzoną przez władze miasta. To oszczędność i bezpieczeństwo. Bo jednak nadal mogą znaleźć się tacy, co zapragną nam zrzucić na głowę problemy. A nawet tacy, którzy wiedzą o Operze i mogą spróbować ją przejąć. Na świecie zostało pięć osób na krzyż, ale świat to nadal za mało. Zawsze ktoś ma coś, czego akurat nie ma ten drugi. To się zaczyna i kończy zawsze tak samo. I z nami też tak pewnie będzie. Ale nie pozostaje nam nic poza próbowaniem. Mamy tu w końcu trzydzieści kilometrów korytarzy. Niezliczona liczba kombinacji, żeby się nigdy nie spotkać.

- Zastanawiam się, czy oni w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym roku przewidzieli, że my sto lat później będziemy spragnieni izolacji. I te korytarze to po to.

- Ja nie wiem, czy oni myśleli o ludzkości. Chyba raczej o potędze.

- Potędze z betonu.

Tą drogą szłam wiele razy, ale nawet najbardziej znajome miejsca w ciemności wydają się całkiem obce, a odległości trudne do oszacowania. Klimat robi się mroczny. Ciekawe, czy

Ziutka da się przestraszyć?

– Podobno raz, a było to w latach świetności tej instytucji, zaproszono tu na zwiedzanie grupę pisarzy. Mieli napisać kryminalne opowiadania do jakiegoś zbioru. Niewiarygodne, czym się zajmowali ci starożytni. Jedni pisali, a inni to potem czytali. Później już tylko pisali. No a jeszcze później to wiadomo. No i ci pisarze najpierw dali się grzecznie prowadzić swoim przewodnikom. Słuchali, nagrywali, robili zdjęcia. Ostrzeżono ich już na samym początku, żeby pod żadnym pozorem nie odłączali się od grupy, bo może się to dla nich bardzo źle skończyć. Ale kiedy ludzie słuchali ostrzeżeń? Kto idzie szlakiem, skoro można zboczyć w krzaki? Kto podąża chodnikiem, gdy obok jest murek? Zakaz wstępu to tylko delikatna sugestia... I oni zaczęli się stopniowo odłączać, wykruszać, rozplýwać. Aż nie było już nikogo. Nigdy nie wyjaśniono tej sprawy. Albo ją zatuszowano. Podobno gdy policja już odłożyła śledztwo na półkę, rodziny zaginionych literatów zrobiły ściepę na prywatnego detektywa. Ale ten prywaciarz to nie był żaden Holmes czy Poirot, tylko jakiś modnie odziany celebryta, który narobił szumu, pochodził, popytał, a potem skasował mocno zawyżoną sumkę, rozkładając ręce. I tyle go widzieli. Dosłownie, gdyż po nim również słuch zaginął. Więc zrobiono z tego jeszcze jedną legendę, a potem ktoś napisał sztukę. Albo odwrotnie. Nikt już później nie pamiętał, czy pierwsze było jajko, czy kura.

– Jajko. To zostało już dawno potwierdzone.

– To metafora, głuptasie. Pamiętasz wierszyk stanowiący kanwę, wokół której była osnuta fabuła sztuki *Dziesięcioro literatów*?

– Ja pamiętam wszystko! – chwali się Ziutek i zaczyna deklamować jak ośmiolatek na szkolnej akademii:

*Dziesięcioro gryzipiórków kiedyś teatr zwiedzać miało
Jeden poszedł do kibelka i dziewięciu pozostało*

*Dziewięcioro literatów na kwadrygę spoglądało
Jeden się wychylił nieco i ośmioro się ostało*

*Ośmiu twórców kryminałów scenę z łoży oglądało
Jeden się zapatrzył mocniej i siedmioro poszło dalej*

*Siedmiu pióra wirtuozów szukać przyszło inspiracji
Pokłócili się o temat no i jeden nie miał racji*

*Sześcioro autorów na rusztowaniach stało u góry
Pięciu zeszło, jeden skonał, bo zaplątał się we sznury*

*Pięciu mądrych ludzi słowa zapragnęło już kolacji
Tylko czterech wyszło cało, jeden utknął na libacji*

*Czterech pisarzy zbiegło schodami aż do piwnicy
Trzech wróciło, jeden został już na zawsze w tej ciemnicy*

*Trzech tymczasem się rozsiało w teatralnej garderobie
Dwóch życzyło, by ten trzeci se połamał ręce obie*

*Z tych dwóch ostatnich Kaliope wyznawców
Jeden nie spełnił wymagań wydawców*

*Ostatni autor samotny i smutny
Swoje bolączki zabrał do trumny*

– Ta legenda głosi, że utknęli w labiryncie korytarzy, a ich duchy nadal szukają wyjścia – mówię do Ziutka. – Dlatego gdy włącza się alarm, mówimy, że to wyją duchy literatów. A teraz mam wrażenie, że naprawdę tu są. Tylko ja i oni. Przypadkowi pasażerowie, którzy wsiedli do niewłaściwego teatru, a potem przegapili ostatni przystanek, dojechali do pętli i kręcą się w koło. Przewodniczka mówiła im, że w teatrze tworzy się magię, ale nie wspomniała, że również czarną. Mówiła, że tu powstają rzeczy, których nie ma. Niestety, my dziś już wiemy, że czasem jest na odwrót – coś, co istniało, nagle znika.

– Zawsze pozostaje nam iluzja – szepcze wzruszony Ziutek. – A iluzja bywa tak doskonała, że wydaje się prawdą nawet z bardzo bliska. Nawet w dotyku.

– I to, mój drogi, było inspiracją do opracowania piątego schematu wybudzania, gdy zawiodły pierwsze cztery. Były zbyt dosłowne. A dosłowność jest okrutna. Człowiek nie może znieść rzeczywistości w nadmiarze. A taki dopiero co wybudzony i zagubiony to już w ogóle jest jak przysłowiowe dziecko we mgle. Człowiek w głębi duszy pragnie być oszukiwany, jego mózg lubi być oszukiwany, chętnie poddaje się iluzji, zwłaszcza takiej, w którą pragnie wierzyć. Dlatego dosłowność pierwszych pokoi z drobiazgowo odtworzonym środowiskiem okazała się porażką. Szczegółowość przytłaczała, wymagała uwagi. Poszłam więc w kierunku teatru uboższego, zatrzymując się jednak w pół drogi. Zostawiłam to, co niezbędne. Dzięki temu lepiej mogły wybrzmieć kolejne pobudki, czyli te błędy, zgrzyty w rzeczywistości. Miały powoli sygnalizować obiektowi, że nie obudził się tam, gdzie zasnął. Szczekanie psów na ulicy, śpiew ptaków, jójczenie kotów. Przecież w naszym świecie od dawna ich nie ma. Mam być pierwszą osobą, którą oni zobaczą. A kto budzi budzącego? Czyli mnie. Oto jest pytanie!

– Komputer.

– Dlatego zamiast ludzkiej twarzy zobaczę Ziutkową.

– Brzmi to, jakbyś narzekała. To mnie rani.

– Ja to nagrywam w celach naukowych. Nie przerywaj.

– Jestem twoim pierwszym oficerem, do moich obowiązków należy wytykanie błędów i podważanie decyzji.

– Nie wiem, skąd wzięłeś tę definicję. Daj mi pracować. Ćwiczyliśmy to wiele razy. Ziutek uważa, że problemem jest moja niechęć do poddawania się moim własnym ustaleniom i zasadom. Potrafię go przegadać, pozostając w iluzji. Dlatego uruchamia się alarm. Żebym mogła opuścić moją scenę.

– Nadal nie łapiesz, co?

– Przymknij się, bo cię wyłączę.

– Nie możesz.

Przystaję w gęstym mroku.

– Zaraz. Zaraz? Kiedy zniknęły zwierzęta?

– Nie pamiętasz?

Kręcę głową w ciemnościach. Oświetlam ściany, po których biegną rury i przewody. Nie moja działka.

– Dokąd powinnam iść najpierw?

– Sygnał dochodzi z góry. Więc windą do nieba.

– Na górze znajdowała się kiedyś teatralna malarnia. Gdy przejeźliśmy budynek, znaleźliśmy tam ogromną płachtę przedstawiającą błękitne niebo upstrzone wełniastymi chmurkami, niewinnymi jak baranki. Nikt z nas nigdy takiego nie widział. Więc przez dobrą chwilę staliśmy jak urzeczzeni, gapiąc się na niebo pod naszymi stopami. Zostawiliśmy to niebo tam, gdzie było. Wiem, że niektórzy chodzili na górę, by na nie popatrzeć w chwilach zwątpienia. Tak jak ja teraz.

– Nadal wątpisz?

– Wątpię, więc jestem. Myślisz, że niebo jest tam nadal? – pytam, gdy winda się zatrzymuje.

– Tego akurat nie wiem. Chwila prawdy. Jesteś gotowa?

– Czy ktokolwiek może być kiedykolwiek gotowy na cokolwiek? Gdybyśmy czekali, aż będziemy gotowi, to już by nas nie było.

Drzwi windy się rozsuwają. Za nimi jest śluza. Ziutek wysłała komendę. Wchodzę do pomieszczenia, w którym dawno temu mieściła się malarnia. Zapalają się listwy boczne. Trochę się tu pozmieniało. Ukryte podczas rozbudowy pod cementem, kamieniem, tynkiem i gipsem konstrukcje ze stopu lekkich metali połyskują teraz matowo obnażone, całkiem na widoku. Bo już nie trzeba niczego ukrywać. Izolacja wygląda niezbyt ładnie, ale trzyma się dobrze. Pośrodku mostka stoi konsola nawigacyjna arki. To również nie moja działka. Teraz za stery odpowiada autopilot, będący w stałym kontakcie z Ziutkiem. W końcu spoglądam w wizjery otaczające całą rotundę. Kosmos jest naprawdę czarny. Lecz w oddali, jeszcze malutkie, widać nasze nowe słońce, a tam, na czwartej planecie, czeka nasz nowy świat. Mimo to ogarnia mnie niewyobrażalne poczucie osamotnienia. Jakbym właśnie odkryła, że jestem bezdomna.

– I co teraz? – pytam, czując narastającą panikę.

– Wdech i wydech, siostrzo. Możesz zdjąć skafander. Środowisko działa. Filtry w pełni sprawne.

Wygrzebuję się ze skafandra jak z kokonu, chociaż żaden ze mnie motyl. Wdech i wydech.

– I co teraz?

– Czeka nas wiele roboczogodzin. Realizujemy schemat piąty dla pozostałej dziewiątki. W końcu jesteśmy w teatrze. Tworzymy iluzję. I wybudzamy.

1962

Dziennikarz rozgląda się po pustej widowni.

- Maksymalnie pomieści tysiąc dziewięciuset sześciu pasażerów – opowiada architekt, zataczając dłonią okrąg.

- Pasażerów? – dziennikarz przestaje notować, unosi głowę. Okulary w grubych oprawkach zsuwają się na koniec chudego nosa. Poprawia je.

- Widzów. Pasażerów w podróży, jaką oferuje teatr – odpowiada z uśmiechem architekt. Bawi go ta cała dwuznaczność. Ukryte na widoku.

- A to ładne! Pasażerowie w podróży. Teatr jako środek transportu. Nie, to nie brzmi zgrabnie. Raczej okręt wiozący pasażerów przez nieznane wody ku nieodkrytym lądom.

Dziennikarza zachwyca własna zabawa słowem.

- Powierzchnia użytkowa wynosi dziewięćdziesiąt tysięcy metrów kwadratowych – objaśnia tymczasem architekt.

- Wspaniały ten sufit! – dziennikarz zadziera wysoko głowę i obraca się wokół własnej osi.

- Misy z porcelitu mają imitować księżycowe kratery. Dzięki nim głos dobrze się roznosi.

- Księżycowe kratery? To dla uczczenia człowieka w kosmosie? Ciekawe inspiracje. Interesuje pana podbój kosmosu?

- Raczej ucieczka.

- Chyba niestety nie ma co liczyć na polski program kosmiczny. Rakiety z betonu? – dziennikarz chichocze rozbawiony własnym żarciem. Czuje się dziś wyjątkowo elokwentny.

Ogarnięty niespodziewanym wzruszeniem architekt wlepia zamglone spojrzenie w kratery nad nimi. *Nawet nie wiesz, jak blisko prawdy jesteś. Na wyciągnięcie dłoni.*

JANUSZ ONUFROWICZ

WYSOKIE C

(C TRZYKRĘŚLNE)

Publiczność była zachwycona. Opera, mimo że muzyka nie należała do łatwych, wciągała nawet tych widzów, którzy siedzieli na widowni z przypadku. Bo towarzyszyli komuś, kto lubił operę, albo snobizm wymagał od nich bywania na wydarzeniach kulturalnych.

Na scenie dużo się działo. Scenografia i światła uwodziły oczy. Mrok rozpraszany neonowymi pstrokatymi refleksami. Landrynkowe poblaski odkrywające miejsca zdarzeń. Fosforyzujące detale na kostiumach baletu grającego ruchliwy tłum. Hipnotyzujące elementy fantastycznego miasta, wyciągniętego z cyberpunkowych utopii. A może takie miasta już istnieją? Zatłoczone gwarne uliczki azjatyckich metropolii? Rozrywkowe dzielnice Amsterdamu, Berlina, Paryża? Gdzie nocą rozpala się wielokolorowy blask ludzkich namiętności i grzechów, i żądz. Ciasno. Tłoczno. Gęsto. W dźwiękach i obrazie.

A w kontraście – biel. Szkło i stal. Srebrne lśnienie chromowanych elementów. Sterylne laboratorium głównego bohatera. Złotnika. Jubilera. Pedantyczny porządek w jego pracowni. On elegancki. Wymuskany. Tworzący swoje dzieła ze szlachetnych metali i drogocennych kamieni. Precyzyjnie. Pod mikroskopem. W skupieniu. W chłodnym szaleństwie, które dopada każdego, kto swoje dzieło sztuki stawia ponad wszystko inne.

To jest operowa opowieść o seryjnym mordercy. Jubiler zabija. Zamknął się w perfekcyjnym, pustym świecie swojego rzemiosła, a zbrodnia jest jedynym sposobem, w jaki potrafi się kontaktować z drugim człowiekiem. Wyzolował się w samotności. Świat zewnętrzny to dla niego niezrozumiały chaos.

Są trupy. Jest detektyw. Jest psychologia, trochę groteski. Wizja reżysera sprawiła, że współczesny widz odczytuje znane mu z kryminałów *noir* schematy. Publiczność rozpoznaje je, bawi się nimi i zachwyca.

Jak na operę ta historia jest dość nowatorska. Chociaż powstała przed drugą wojną światową. W roku tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym. A w oryginale akcja dzieje się jeszcze wcześniej, bo w siedemnastym wieku. Ale ta inscenizacja! Wszystko się zgadza!

Muzyka drapieżnie wciskała się do uszu, dopełniając mistrzostwo inscenizacyjne. Gwałtowne cięcia smyków. Muśnięcia instrumentów dętych. Operowy chór, który tworzy harmonię zmasowaną jak gęste, wypełniające przestrzeń powietrze. Soliści wyśpiewujący pogmatwane losy swoich postaci. Zachwycający kunszt operowy. Wszystko doskonałe.

Wrażenie robi nowoczesna scenografia. Pomieszczenia są kostkami. Same krawędzie. Szkielety. Budynku. Pokoju. Są podłoga, sufit, ale brak ścian. Miejsca akcji, które machina sceniczna w magiczny sposób przemienia przed oczami widzów w miarę upływu akcji.

Wiszące ekrany poszerzają wirtualnie przestrzeń. Czasami nie wiadomo, na co patrzeć. Mimo że to przedstawienie sceniczne, odczucia są bardzo filmowe. Reżyser dobrze operuje w swojej wizji zbliżeniami i szerokimi planami. Operowa iluzja zbliża się do najbardziej zachwycających występów telewizyjnych magików.

Anioły na wrotkach. Upiorny sobowtór. Sen miesza się z jawą. Piekło z niebem. Jest nadekspresyjnie. Kolorowo. Jaskrawo. Nocna chmura miasta wiruje wokół sterylnego świata głównego bohatera.

Jubiler śpiewa swoją arię. Początek drugiego aktu. Gorzka ballada z towarzyszeniem łkającego saksofonu. Nikomu nie przeszkadza to, że opera jest po niemiecku. Przed wejściem na widownię można kupić libretto z tłumaczeniem słów. To właściwie sam początek arii. Płyną słowa.

*Mag Sonne leuchten!
Aus Erdenklüften,
viel dunkler als die Nacht,
ist Gold gewachsen.*

Główną rolę śpiewa światowej sławy polski bas-baryton Karol Zachwycki. Po polsku ten fragment przetłumaczono: „...Słońce może nawet świecić! Z głębi ziemi, ciemniejszej niż noc, wyrosło złoto”.

W wersji „ist Gold gewachsen” na słowie „Gold” śpiewak musi wyciągnąć trzykreślne C. Dla niskiego głosu, jakim jest bas-baryton, to wyzwanie, ale mamy do czynienia z talentem na skalę światową.

Dźwięk brzmi pięknie. Jest przedłużony, ale się kończy i aria zaczyna płynąć dalej. Orkiestra. Śpiew...

Nie słychać, że coś się dzieje na górze, nad sceną.

Zjeżdża podwieszane do scenicznej maszyny wielkie słońce. Element scenograficzny z innego przedstawienia. Jeszcze go nie widać. Zasłania je góra okna scenicznego. Ale opuszcza się o wiele za szybko. Jednak kiedy pojawia się w polu widzenia publiczności, wszyscy myślą, że tak ma być.

Karol Zachwycki kontynuuje śpiewanie arii głównego bohatera. Jeszcze nie usłyszał, co się dzieje. Ale czuje publiczność, więc zerka w górę. Niestety, jest już za późno.

Mimo że odruchowo próbuje uciekać przed siebie, to opadające wielkie słońce uderza go z góry w kark. Śpiewak traci równowagę. Przewraca się na scenie, a ciężki element scenografii przyniata z impetem jego tułów. Stuknięcie ginie w dźwiękach muzyki. Wszystko trwa sekundy. Jeszcze nikt się nie zorientował, że tak nie miało być. Dyrygent nie zdążył zareagować na to, że śpiew się gwałtownie urwał.

Linki podtrzymujące słońce luzują się. Wielkie złote koło waha się przez moment. Przetacza się trochę w lewo i wraca w prawo, miażdżąc ciało Karola Zachwyckiego jeszcze bardziej.

Wreszcie scenograficzne słońce przewraca się na płask i przygniata leżącą postać.

Niecała. Bo od zmiążdżonego korpusu oddzieliła się głowa. Toczy się w przód, do kanału dla orkiestry, która wciąż gra. Wszystko naprawdę wydarzyło się zbyt szybko.

Po widowni rozeszły się już szmery. Ale wszyscy raczej myślą, że to fantastyczne efekty specjalne i element przedstawienia.

Głowa Karola Zachwyckiego wpadła między muzyków. I wtedy pojawiają się pierwsze zgrzyty i fałsze. Dyrygent przestaje dyrygować. Zastyga z batutą.

Po kilkunastu sekundach kakofonii dźwięków, w jaką zamieniła się muzyka zagubionych instrumentów, robi się nagle cicho. Aż rozlega się krzyk jednej ze skrzypaczek. Po niej drugi. Trzeci. Kilka następnych.

Na widowni wrze. Chociaż w dalszym ciągu ludzie nie są pewni, co się dzieje. W końcu przyszli na operę o seryjnym mordercy. Nie dane jest jednak co bardziej ciekawskim przyjrzeć się dokładnie scenie ani zajrzeć do orkiestronu, bo inspicjent zareagował przytomnie i opadła kurtyna. Orkiestra zjechała zaś zapadnią do podziemi opery.

Uspokajający głos lektora nakazuje publiczności udać się na kilkunastominutową przerwę. To oszustwo. Ale konieczne w tej sytuacji. Nie chciano, żeby wybuchła panika. Lepiej, żeby ludzie do końca zastanawiali się, czy tak miało być, czy nie, niż powiedzieć im w tej chwili wprost, że na ich oczach doszło do okrutnej śmierci.

* * *

Dwóch śledczych kręciło się po scenie Opery Narodowej. Nie wyglądali jak policjanci. Młodszy ubrany w dżinsy i bluzę z kapturem, pod tym koszulka z logo Foo Fighters. Starszy z pokaźnym brzuchem. W beżowym, wymiętym prochowcu.

– Wszyscy czują się tutaj zagubieni – powiedział uśmiechnięty młody człowiek, który zbliżył się do nich. Rozłożył ręce na boki i wzrokiem przejechał od lewej do prawej po olbrzymiej scenie operowej. – Robi wrażenie, co?

– No...

– To prawdziwy gigant. Bardzo długo ta scena, na której stoimy, była największą sceną operową na świecie – młodzieniec nie przestawał się uśmiechać. – Dopóki Chińczycy nie wybudowali opery w Pekinie. No, ale w dalszym ciągu jesteśmy gigantyczni, a drugie miejsce też nie jest złe – mrugnął do nich kumpelsko.

– Jasne – westchnął młodszy śledczy, który nerwowo międlił w ustach niezapalonego papierosa. – A pan wie, co się tutaj stało?

Pracownik Opery Narodowej, wciąż się uśmiechając, zatrzepotał niepewnie powiekami.

– Nie czujemy się zagubieni – mruknął brzuchaty starszy śledczy. – Po prostu czekamy, aż koledy skończą swoją pracę.

Trzech rozmawiających mężczyzn stało mniej więcej w centrum rozległej sceny. Na jej przodzie, przed kanałem dla orkiestry i widownią, uwijali się technicy policyjni. Na podłodze rozstawiono numerki. Błyskały flesze aparatów. Trzech z pięciu techników zbierało próbki z miejsca zdarzenia. Niczego jeszcze nie sprzątnięto. Wszystko wyglądało tak jak dwie godziny

temu, kiedy w tragiczny sposób zakończył żywot Karol Zachwycki. Bezgłowy korpus leżał przygnieciony przez okrągły element scenograficzny. Plamy krwi polyskiwały w światłach.

Wcześniej zabezpieczono jedynie głowę, która razem z orkiestrą zjechała zapadnię do podziemi. Pozwolono ją już zabrać do chłodni.

– Rozumiem – młody człowiek stojący przy dwóch śledczych odchrząknął. – Mikołaj Wąsowski. Jestem asystentem dyrektora do spraw technicznych. Jak mogę panom pomóc?

– Komisarz Henryk Wabicki – przedstawił się starszy, gruby śledczy w prochowcu.

– Podkomisarz Tomasz Kalisiak – dopełnił prezentacji młodszy policjant, przekładając niezapalonego papierosa z lewego kącika ust do prawego.

Policjanci uścisnęli dłoń pracownikowi opery.

– Proszę nam pomóc zrozumieć, co tu się stało.

– Koszmarny wypadek – Wąsowski zmarszczył brwi.

– Wypadek? – dopytał młodszy śledczy.

– No chyba nie podejrzewacie panowie, że mogło tu dojść... że to co innego? To niemożliwe.

– Dlaczego?

– Wszystko tutaj ma zabezpieczenia... pracują tutaj sprawdzeni ludzie. Pasjonaci. Profesjonaliści. Poza tym nie uważacie panowie, że to dosyć... niezwykle sposób... żeby kogoś poznać życia?

– Jasne – Kalisiak żuł niezapalonego papierosa. – Operowy. Widowiskowy.

– Po co? Dlaczego? – asystent dyrektora potarł czoło.

– No ale skoro twierdzi pan, że wszystko tutaj jest doskonałe, i do tego są zabezpieczenia...

– Tak. To tragedia – zasmucił się Wąsowski. – Kilka lat temu podobny wypadek miał miejsce w Rosji. W teatrze Bolszoi. W trakcie zmiany dekoracji aktor został zmiażdżony.

Gruby śledczy w prochowcu zanotował sobie ten fakt w notesie.

– Ten element to co to jest? – zapytał Wabicki.

– To słońce z *Aidy*. Innego przedstawienia operowego.

– I ono sobie tam wisiało?

– Tak. To normalne. Elementy scenograficzne z innych spektakli są chowane w bocznych kieszeniach. Czy też podwieszane na sztankietach. Publiczność widzi tylko wycinek wszystkiego przez okno sceniczne. Drugie tyle jest schowane przed oczami widzów.

– Jasne – Kalisiak wyciągnął na chwilę papierosa z ust. – I to normalne, że element scenograficzny z innego spektaklu zjeżdża sobie w trakcie trwania przedstawienia... Jaki tytuł?

– *Cardillac* – odpowiedział pracownik opery.

– A to słońce jest z *Aidy*? – zapytał brzuchaty śledczy, postukując długopisem w notes. – To nie dziwne?

– Dziwne.

Starszy śledczy sobie to zanotował.

– Dalej pan myśli, że to wypadek?

– Ale...

– Kto jest odpowiedzialny za opuszczanie dekoracji? – zapytał wprost Kalisiak.

Wąsowski troszeczkę przygaśł. Jego entuzjazm zaczynał wyhamowywać wobec okropieństwa tego, co się wydarzyło.

– Przy jednym spektaklu pracuje nawet do czterystu osób. Całe zaplecze, garderobiani, charakteryzatorzy, strażacy, pielęgniarki plus orkiestra, tancerze, chór, soliści i obsługa techniczna. Montażysty, tapicerzy, mechanicy, napędowcy, elektrycy, realizatorzy dźwięku, zespół technologii audiowizualnych. Około osiemdziesięciu osób kręci się tutaj przy zmianie dekoracji.

– I wszystkie te osoby mają dostęp do tych... – Wabicki pokazał w górę – ...jak to się nazywa?

– Sztankietów?

– Jak się tym steruje?

Młody człowiek poprowadził śledczych przez wielką scenę do bocznej kieszeni, gdzie znajdowało się skomplikowane urządzenie przypominające futurystyczne pianino. Lampki. Przełączniki. Dzwignie. Przyciski.

– To jest konsola, którą steruje się wyciągami i mostami świetlnymi.

– I każda z tych kilkudziesięciu osób może sobie tutaj to przełączać?

– Nie... – zawahał się Wąsowski. – Teoretycznie nie. Jest wyznaczony operator do tego. Ale... nie mamy tutaj aż takich kontroli jak na przykład na lotnisku. Takie rzeczy się u nas nie zdarzają. Tutaj pracują zaufani ludzie.

Starszy śledczy westchnął. Pokiwał głową. Ale nic nie powiedział. Za to młodszy mruknął.

– Jasne. Aż tu nagle...

– Proszę niczego nie dotykać – stanowczo zakomunikował brzuchaty śledczy, po czym popatrzył na Kalisiaka. Młodszy policjant odszedł w stronę ekipy technicznej.

– Krzysiek! – krzyknął.

Jeden z ubranych w białe kombinezony techników, szef grupy, oderwał się od pracy i popatrzył.

– Zebrałście próbki z tej konsoly tutaj? – pokazał Kalisiak.

– Następna w kolejce – odkrzyknął. – Nie rozerwiemy się. Kończymy tu i przenosimy się tam. Łaskawie nie zapaprajcie nam tam śladów, co?

– Sie wie.

Doświadczeni śledczy trzymali się z dala od konsoli sterującej zawieszonymi nad sceną mechanizmami. Nie podchodzili bliżej niż na pięć metrów.

– Podsumowując – Wabicki zerknął do notesu – trwał spektakl, wszystko szło zgodnie ze scenariuszem. Aż tu nagle w trakcie arii pana... – przeczytał – ...Karola Zachwycykiego, z góry zjechała dekoracja z innego spektaklu i go przygniotła.

Asystent dyrektora pokiwał głową. Było widać, że jest zdruzgotany.

– Kto był odpowiedzialny za te – Wabicki wskazał ręką do góry – wszystkie rzeczy?

– Dzisiaj wieczorem operatorem był Mirek Boryś.

Wabicki zapisał personalia.

– Od lat u nas pracuje. Zasłużony pracownik.

– Jasne. Pomylił się? – zapytał Kalisiak, przesuając niezapalonego papierosa w lewego kąć ust do prawego. – Zawiodła technika? Co pan myśli?

– Nie wiem. Minęło zaledwie kilka godzin. Wszyscy są załamani i zmęczeni. Nic takiego się tutaj nigdy nie wydarzyło. Wszystko trzeba przeanalizować, zbadać.

– No tak... Ale przecież są jakieś kontrole techniczne. Mówił pan o zabezpieczeniach.

– Wszystko jest doskonałe.

– Zatem czynnik ludzki – powiedział Wabicki znad swojego notesu.

– Trudno mi się z tym pogodzić. Dopuścić to do świadomości – asystent dyrektora spuścił głowę. – My tutaj jesteśmy jak jedna wielka rodzina.

– No oczywiście... – skrzywił się młodszy śledczy.

– No właśnie. Czy pan Karol Zachwycki miał jakichś wrogów? Słyszał pan o jakichś kłótniach, nieporozumieniach? Groźbach?

– Nie... nie wiem nic... Tu się nie dzieją takie rzeczy...

– Akurat... – prychnął Kalisiak. – Panie, wszędzie takie rzeczy się dzieją. W każdej rodzinie. Może pan po prostu nie wie.

Asystent zrobił głupią minę.

– Nie wiem, jak mogę jeszcze panom pomóc. Czy można już puścić pracowników do domu? Jest noc. To jest ponad trzysta osób.

– Naradzimy się i damy panu znać. Chcemy jeszcze, żeby pan pokazał nam, jak wejść na tamte balkoniki – Wabicki pokazał palcem w górę. Schowany w bocznej wnęce na wysokości kilkunastu metrów balkon był pomalowany na czarno, podobnie jak ściany.

– Da się z tego balkonu coś zrobić z tymi...

– Ma pan na myśli sztankiety? – dopytał Kalisiak. – Nie jestem pewien. Raczej to wszystko jest sterowane elektronicznie.

– Jasne.

Przespacerowali się na górę. Popatrzyli na ogromną scenę z wysokości. Wielkość tego miejsca, choć nie chcieli tego przyznać, robiła wrażenie. Zeszli na dół i odprawili asystenta dyrektora.

Zostali sami.

– Prawie czterysta osób do przesłuchania – westchnął brzuchaty Wabicki ubrany w prochowiec. Poskrobał się po głowie.

– Tiaaa – Kalisiak nerwowo mamlał papierosa w ustach. – I tyle samo podejrzanych.

– Nie obejdzie się bez pomocy. We dwóch to możemy do emerytury robić.

– Ty na pewno, dziadek – wyszczerzył się młodszy śledczy.

Wabicki puścił to mimo uszu.

– Pierwsza w nocy – powiedział. – Jutro czeka nas długi dzień. Jedź się trochę przespać. Ja się tutaj jeszcze pokręcę. Pogadam z technicznymi i znajdę jakąś kanapę.

– Młodszy jestem.

– No właśnie. I jeszcze rośniesz – tym razem to starszy śledczy się uśmiechnął.

– Wiesz, że gdybyś nosił do tego prochowca kapelusz, to wyglądałbyś jak detektyw Marlow?

– Wiem – Wabicki nie dał się zbić z tropu. – Najedzony Marlow – poklepał się po wydatnym brzuchu. – A ty, gdybyś nie był glina, to braliby cię za nedorobionego hiphopowca.

– Taa, na pewno...

– Zrobię plan przesłuchań na jutro. Musimy zacząć od sceny. To tutaj się wszystko wydarzyło. Ktoś coś musiał widzieć. Aktorzy. Techniczni. I będziemy poszerzać krąg do tych pracujących za sceną.

Kalisiak pokiwał głową.

– Przypilnuj laboratorium, żeby na jutro już coś było – powiedział, przesuwając papierosa z jednej strony ust na drugą.

Przybili piątkę. Młodszy śledczy pojechał się przespać. Wabicki zwołał przetrzymywanych do tej pory na zapleczu całą obsługę techniczną spektaklu oraz artystów.

Wrócił na scenę. Ekipa techniczna kończyła. Pakowali sprzęt i próbki do walizeczek i toreb. Wabicki stał w jasnych, ostrych światłach. Scenografii nie usunięto. Została tak jak w scenie opery, kiedy doszło do tragedii. Zniknęły tylko bezgłowe zwłoki.

Starszy śledczy spojrzał na widownię z perspektywy aktora. Mimo że w roboczych światłach nie działała magia sceniczna, i tak poczuł muśnięcie tego, co w tym zawodzie fascynowało artystów. Mógł zrozumieć, dlaczego wybierali taką karierę. Otaczał go ogrom sceny. Przenosząca w inny wymiar scenografia. Prawie tysiąc osiemset krzesełek, które co wieczór wypełniały się widzami. To był nieznan mu dreszcz. Nie zamieniłby swojego życia na takie, ale rozumiał, dlaczego inni tego pożąдали.

* * *

Popijali kawę z papierowych kubków.

– Przypominasz sobie coś takiego? – zapytał młodszy śledczy.

Siedzieli sami na pustej widowni. Prawie tysiąc osiemset miejsc. I wszystkie wolne oprócz dwóch.

– Pierwszy raz jestem w operze – odpowiedział Wabicki. – No, właściwie drugi...

– I co? Wciągnąłeś się?

– Wyglądasz gorzej, niż wtedy, gdy odesłałem cię spać.

– Bo musiałem się zbudzić. Za to ty wyglądasz jak zawsze. Jak podeptana wykładzina w starym hotelu – wyszczerzył się Kalisiak. – Spałeś w tym prochowcu?

– No to bierzemy się do roboty – brzuchaty śledczy zignorował pytanie i przetarł twarz dłońmi.

– Jak chcesz przesłuchać czterysta osób?

– Systematycznie.

– Jasne.

– Poprosiłem o wsparcie. My bierzemy ludzi, którzy pracowali wczoraj na scenie. Dwudziestu funkcjonariuszy będzie przesłuchiwać resztę.

– To i tak po dwudziestu na łebka.

– Dzień, dwa i się wyrobimy – Wabicki wzruszył ramionami. – Może coś szybciej wyniknie.

A na pewno laboratorium odezwie się z wynikami. Pracowali przez noc. I dalej pracują.

- Zdjęcia?

Wabicki podał koledze wydruki fotografii z miejsca tragedii. W czasie, kiedy młodszy kolega je oglądał, starszy śledczy patrzył na scenę, na której ciągle niczego nie zmieniono. Dekoracje do przedstawienia i wielkie złote koło, które było słońcem w innej operze. Wreszcie Kalisiak odłożył fotografie. Też zapatrzył się na dekoracje.

- To chyba, niestety, proste - westchnął młodszy śledczy.

- Może. Ale jeżeli tak, to od razu pojawia się pytanie, co się za tym kryje.

- Facet śpiewa arię - młodszy śledczy wskazał na scenę. - Wszystko przebiega zgodnie ze scenariuszem. Nagle z góry zjeżdża scenografia. On tego nie zauważa, bo gra orkiestra. Śpiewa. Patrzy przed siebie. Dopiero kiedy jest za późno, próbuje uciekać, ale to - pokazał na wielkie złote koło - go przygniata.

- Nie było żadnej usterki. Żadnej pomyłki.

- No tak.

- Ktoś precyzyjnie, dokładnie w określonym momencie, opuścił to koło.

- Jasne. Może nie trzeba będzie przesłuchiwać czterystu osób.

- I właśnie dlatego mi się to nie podoba.

* * *

Przesłuchania, które prowadzili Wabicki z Kalisiakiem, odbywały się na scenie. Starszy śledczy specjalnie tak zdecydował, żeby znaleźli się w przestrzeni, gdzie doszło do tragedii. To było dwanaście osób, które w momencie śmierci Zachwyckiego znajdowały się najbliżej. Inspicjent. Operatorzy wózków, na których wjeżdżała dekoracja, operator poziomych wyciągów scenicznych i śpiewaczka, która grała córkę głównego bohatera.

- Czym pan się zajmuje w Operze Narodowej? - zapytał Wabicki znad notesu.

- Jestem inspicjentem.

- Czyli? - zapytał Kalisiak, żując papierosa.

- Kontroluję całe przedstawienie na podstawie rozpiski inscenizacyjnej i scenariusza. Wydaję polecenia, co będzie się działo na scenie, kto ma się na niej pojawić i jakie będą zmiany w scenografii.

- To pan wydał polecenie opuszczenia złotego słońca z *Aidy*? - mruknął brzuchaty śledczy, notując.

- Nie - inspicjent podniósł głos. - W życiu!

Trzy krzeselka były ustawione tak, że przesłuchiwany znajdował się w dekoracji feralnej opery. Po lewej miał pracownię-laboratorium jubilera, a przed sobą, trochę za dwoma śledczymi, wciąż leżał element dekoracji, który zabił Zachwyckiego. Niczego jeszcze nie usunięto ani nie sprzątno. Czerwień krwi na czarnej powierzchni nie była widoczna. Jej smugi rysowały się ciemniejszymi plamami cienia na podłodze. Podłużnie w stronę orkiestronu. Kilka czerwonych plam zostało za to na złocie wielkiego koła.

- Denerwuje się pan? - Wabicki wbił przenikliwy wzrok w przesłuchiwanego.

- Wszyscy jesteśmy zdenerwowani - odpowiedział strachliwie inspicjent. - Nic takiego się wcześniej tutaj nie zdarzyło. A jeszcze te insynuacje.

- Jakie insynuacje? – zdziwił się Kalisiak.
- Panowie mnie podejrzewają, tak?
- Niczego takiego nie powiedzieliśmy – powiedział starszy śledczy, notując coś w notesie. – Prowadzimy przesłuchania.
- Rutynowe działanie – młodszy śledczy przerzucił papierosa z lewego do prawego kącika ust i puścił oko.
- Ja... ja... owszem, dyryguję wszystkim. Pilnuję, żeby nikt nie spóźnił się na scenę, żeby dekoracje były na czas. Ale niczego bezpośrednio nie robię.
- Nie wydał pan polecenia, żeby opuścić tę dekorację?
- Nie. To było totalne zaskoczenie.
- Jasne. Kto mógł to zrobić?
- Konsola do opuszczania sztankietów, mostów świetlnych i wyciągarek jest po przeciwnej stronie sceny. Jest za nią odpowiedzialny operator.
- Mirosław Boryś?
- On miał dyżur. Tak. Ale to bez sensu. To mógł być każdy – obaj śledczy wbili w niego pytające spojrzenie. – Teoretycznie każdy. Tutaj, w bocznych kieszeniach, na zasceniu, w kulisach kręci się dużo osób.
- Jasne... – Kalisiak leniwie żuł papierosa.
- I niczego pan nie widział?
- To działo się tak szybko, że było już za późno. Krzyczałem do Borysia, żeby zatrzymał dźwig, ale... – zwiesił głowę – było już za późno...
- Mirosław Boryś... mógł pana nie słyszeć? Mogło go nie być przy konsolce? – zapytał Wabicki, zerkając do zapisków w notesie. – To normalne, żeby zostawił konsolę bez nadzoru?
- Teoretycznie... jeżeli miał chwilę, że nie było żadnej zmiany dekoracji...
- Przez chwilę przyglądali się sobie nawzajem.

* * *

- Była pani za kulisami w feralnym momencie?
- Tak. Czekałam na swoje wejście, miałam później duet z Karolem. Ojciec z córką.
- To normalne?
- Co? – śpiewaczka popatrzyła na nich dziwnie, jakby pytali, czy normalne jest, że ojciec ma córkę. – Nie jestem aż taka stara, żeby nie zagrać córki o niecałe dziesięć lat ode mnie starszego kolegi. To normalne. Opera ma swoje prawa.
- Jasne... – odruchowo mruknął Kalisiak.
- Wabicki uspokoił zdenerwowaną śpiewaczkę gestem otwartej dłoni.
- Czy to normalne, że kręciła się pani w kulisach? – wytłumaczył jej, co miał na myśli, zadając pytanie. – Widziano panią.
- Nie ukrywałam się. I... to nie jest zabronione – śpiewaczka przyglądała się drgającemu w ustach Kalisiaka papierosowi tak, jakby sama miała ochotę teraz zapalić. – To pozwala mi się lepiej skupić. Słucham muzyki. Reakcji publiczności. Podążam za akcją na scenie. Wchła-

niam tę całą energię. Ja po prostu tak mam, że w garderobie bym nie usiadła, czekając na wejście.

– Oczywiście...

– Gdzie się pani kręciła za kulisami? – zapytał brzuchaty śledczy.

– No... od Wierzbowej?

– Jasne.

– To znaczy, tak tutaj to nazywamy. Nie lewa–prawa, tylko od Moliera albo od Wierzbowej. Jak się patrzy z widowni, to po prawej stronie.

– No właśnie. Czyli po przeciwnej stronie niż inspicjent, a po tej samej stronie co konsoleta do sterowania górnymi wyciągami.

– No... tak.

– Co pani widziała?

– Ciemność widzę, ciemność...

Obaj policjanci popatrzyli na nią podejrzliwie.

– Przepraszam. To wszystko, ten koszmar odreagowuję głupawką. Tak mam.

Zamilkła, a jej oczy powiększyły się z przerażenia na myśl, że śledczy teraz na pewno wezmą ją za główną podejrzaną.

– Wróćmy do pytania...

– Było ciemno, ja sobie krążyłam za kulisami, myśląc o swojej arii. Techniczni pchali wózki sceniczne. Zmieniali coś w dekoracji. Na niczym się nie skupiałam. Aż do krzyku z orkiestry, kiedy muzyka ucichła i zaczęło się zamieszanie.

– Niczego pani nie dotykała?

Teraz ona spojrzała na nich, jakby byli kosmitami.

* * *

– Jak się pan nazywa?

Siedział przed nimi starszy, siwawy mężczyzna z wąsami, pod siedemdziesiątkę.

– Mirosław Boryś.

– Czym się pan zajmuje w operze?

– Steruję wyciągami i mostami świetlnymi. Jestem operatorem.

– Jasne.

Wabicki zanotował coś w notesie.

– Czy był pan w pracy wczoraj? Na przedstawieniu – zerknął w notatki – *Cardillac*?

– Oczywiście – odpowiedział słabym głosem staruszek.

– Czy pracuje pan sam?

– Tak. Pracowałem sam.

Starszy śledczy westchnął. Zadając pytania, przyglądał się uważnie rozmówcy.

– Czy w trakcie przedstawienia odchodził pan od stanowiska pracy?

– Od konsoli? Nie. Nie musiałem.

- Jasne - mruknął Kalisiak, żując papierosa. - Co pan robił, kiedy doszło do... - wciąż nie wiedzieli, jak to nazywać. Nie postawiono nikomu zarzutów. To ciągle mógł być wypadek. - ... nieszczęścia?

- No... stałem. Przy konsoli. Nie było dla mnie akurat wtedy żadnej zmiany, więc stałem. Czekałem na zmianę dekoracji.

- Ale to złote koło - wskazał palcem Wabicki - zjechało w dół i zmiażdżyło człowieka.

Starszy śledczy powiedział to twardo, wręcz agresywnie, chcąc przycisnąć przesłuchiwanego i zobaczyć, jak zareaguje. Czy puszcza mu nerwy?

- Wiem - starszy mężczyzna przełknął ślinę. - Ale nie wiem, jak do tego mogło dojść.

- Kto mógł jeszcze opuścić tę dekorację?

- Nikt - zrobił zagubioną minę. - Ja tam byłem sam.

Patrzył na nich jak zbity pies.

- Jasne.

- Dobra - odchrząknął Wabicki. - Czyli co się stało?

- Awaria. To musiała być jakaś awaria. Bo co innego?

- Jasne.

* * *

Trzeciego dnia pojawił się prokurator. Mieli przesłuchaną dopiero połowę personelu.

- A ten co tu robi? - mruknął Kalisiak, bardziej nerwowo międląc w ustach niezapalonego papierosa.

- Karierę... - Wabicki wzruszył ramionami.

- Pewnie. Już prawie zapomniałem, jak wygląda, tak dawno nie pofatygował się na miejsce zbrodni.

- To głośna sprawa. Medialna. Jak złapie mordercę, będzie na topie.

Starszy i młodszy śledczy czekali na scenie na przyście kolejnego przesłuchiwanego, kiedy zauważyli idącego ku nim prokuratora Sylwestra Gromickiego. Pięćdziesięciolatek ubranego tak elegancko, jakby wybierał się w odwiedziny do królowej angielskiej. To w sumie był nie tyle garnitur, ile uszyta z materiału pewność siebie granicząca z arogancją i ego, które ledwie mieściło się w najwyższym punkcie drugiej co do wielkości sceny operowej na świecie.

- Co wy tu jeszcze robicie? - zaatakował ich, zanim się zatrzymał.

- Czekamy na kolejnego przesłuchiwanego - sapnął Wabicki, postukując długopisem w notes. - To pan?

- Nie przeginaj, Wabicki - pogroził mu prokurator.

- Jasne - zachnął się Kalisiak, swoim zwyczajem przesuwając papierosa z lewego kącika ust do prawego. - Wykonujemy swoje obowiązki, panie prokuratorze. Tak, jak trzeba - ostatnie zdanie zaakcentował, jakby chciał dać do zrozumienia, że prokurator idzie na łatwiznę.

- Marnujecie pieniądze podatnika - Gromicki wymierzył w nich palec wskazujący.

- Psie pieniądze w porównaniu z prokuraturą.

Zmierzyli się wzrokiem, ale bez słów.

- Przecież wiadomo, kto jest winny - prychnął prokurator.

– Jasne – prychnął Kalisiak i musiał złapać papierosa, który wypadł mu z ust.

– I nie ma pan żadnych wątpliwości? – Wabicki zmrużył oczy. Nie przestawał nerwowo postukiwać w notes.

Prokurator westchnął.

– Jest nowy dowód w sprawie – zaskoczył ich promiennym uśmiechem odslaniającym hollywoodzkie zęby. – Widzieliście?

– Taa... – skrzywił się młodszy śledczy.

– Skoro jest pan taki szczęśliwy, to chyba nie widzieliśmy – dość opryskliwie odpowiedział brzuchaty śledczy.

– Wypraszam sobie, co pan insynuuje?

– Że... – bardzo chciał powiedzieć: „Że jest pan karierowiczem i ma pan w dupie współpracę z policją”, ale powiedział tylko: – ...my ciągle mamy wątpliwości.

– No to zapraszam – powiedział prokurator Gromicki, jakby mówił do much, które chce przegonić.

Wyciągnął sporych rozmiarów tablet i puścił nagranie wideo.

– Co to jest?

– Zapis ze stołu inspicjenta – wyjaśnił chłodno prokurator. – Tutaj jest dużo kamer roboczych. Inspicjent dzięki kamerom może kontrolować, czy wszystko na scenie dzieje się prawidłowo.

– Aha.

– Tutaj – pokazał palcem. – W prawym górnym rogu.

– Aha. Kamera łapie stanowisko operatora.

Prokurator rozszerzył dotykowo kadr filmu. Obraz nie stracił na ostrości aż tak bardzo. Wyraźnie było widać człowieka, który stał przy konsolce i ją obsługiwał. Kiedy prokurator wznowił odtwarzanie filmu, Mirosław Boryś akurat stał i nic nie robił. Chyba obserwował, co się dzieje na scenie. Tak to wyglądało. Nagle jego ręce sięgnęły do konsolki. Palce wcisnęły jakieś przyciski i przesunęły dźwignie. Po mniej więcej dwudziestu sekundach dłonie oderwały się od konsolki i wrócił do pozycji sprzed chwili. Obserwował scenę. Prokurator zatrzymał nagranie.

– To był ten moment?

– Tak – odpowiedział zadowolony Gromicki.

– Jest dźwięk?

Prokurator cofnął film i odtworzył jeszcze raz. Tym razem krótszy fragment. Po prostu moment, kiedy ręce Mirosława Borysia wędrują do konsolki i ją obsługują. Pogościł.

W tle, ale wyraźnie, było słycać orkiestrę i bas-baryton Karola Zachwyckiego.

– Ta opera była po niemiecku? – zapytał Kalisiak.

– Chyba tak – wzruszył ramionami prokurator.

Nie rozumieli słów. Melodia wyraźnie szła do góry. I urywała się. Wtedy doszło do tragedii. Wszystko wskazywało, że to było morderstwo. I wiedzieli, kto zabił.

Prokurator Sylwester Gromicki asystował przy wyprowadzaniu z budynku Opery Narodowej mordercy Karola Zachwyciego. Niepozorny, wąsаты staruszek, Mirosław Boryś, wyglądał bardziej jak ofiara. Zapadł się w sobie po usłyszeniu zarzutów.

Zakuto go w kajdanki i poprowadzono do policyjnego radiowozu. Garbił się pod ciężarem, który na niego spadł. Reporterzy i fotografowie mieli problem, żeby zarejestrować jego zgnębną twarz.

Wabicki i Kalisiak przyglądali się temu przedstawieniu z głębi holu Opery Narodowej. Wabicki trzymał dłonie w kieszeniach prochowca. Miał zmarszczone czoło. Młodszy śledczy, jak zwykle, międlil w ustach niezapalonego papierosa, przesuwając go od czasu do czasu z jednego kącika ust do drugiego.

- Są jakieś inne dowody? - zapytał brzuchaty śledczy.

- A mało ci? - westchnął Kalisiak.

- Rozmawialiśmy z nim - Wabicki się skrzywił. - To nie jest morderca.

- Oczywiście. Wszystkie odciski palców na konsolocie należą do Borysia. Moment uchwycony na filmie pasuje idealnie. Po zbliżeniu okazało się, że cała sekwencja wciskania przycisków i przedstawiania jajek była zgodna z zachowaniem się tej dekoracji. To on zabił.

- Prokurator ma ofiarę - starszy śledczy nie mógł się z tym pogodzić. - Sprawa zamknięta. Chujek. Sprawę ma wygraną.

- Pewnie - wzruszył ramionami Kalisiak. - Procent skazań będzie mu się zgadzał. A że za dwadzieścia lat jakieś archiwum X połowę z tych, których on posadził, uniewinni i będzie skandal w polskim wymiarze sprawiedliwości, to kogo to interesuje?

- Teraz skazania mu się zgadzają - westchnął Wabicki, wypychając pięściami kieszenie swojego prochowca. - A za dwadzieścia lat on już będzie na jachcie na Morzu Śródziemnym popijał drinki albo będzie w ministerstwie.

- Też ci coś tu śmierdzi?

- Mówiłem ci. Za proste. Za oczywiste. Głupie.

- Jasne. I facet za Chiny nie wygląda na mordercę.

- Tylko co tam się wydarzyło?

* * *

- Proszę się przyjrzeć.

Wabicki i Kalisiak przesłuchiwali znowu Mirosława Borysia. Tym razem w areszcie. Starszy pan zapadł się w sobie. Trzęsły mu się siwe wąsy, jakby bezgłośnie płakał.

- Proszę się przyjrzeć - powtórzył Kalisiak, jak zawsze z niezapalonym papierosem w ustach.

Staruszek nie spojrzał na wyświetlacz, dopóki nie podsunęli mu go prawie pod nos. Uparcie wbił wzrok w stół, przy którym siedzieli, i dopiero kiedy tablet znalazł się w miejscu, na które patrzył, podniósł głowę.

- Ale...

- Czy to pan?

Na wyświetlaczu Boryś sięgał dłońmi do konsoli i manipulował przyciskami w tym momencie przedstawienia, kiedy zginął Zachwycki.

- Ja... ale to niemożliwe.

- Przecież pan widzi.

- Ale nie pamiętam tego. Nie jestem aż taki stary. Niczego takiego nie robiłem.

- To co pan robił?

- Nic. Stałem. Patrzyłem na scenę i czekałem na sygnał do następnej zmiany dekoracji.

- Nikt inny nie dotykał konsoli. Są tylko pana odciski palców. Pana ślady genetyczne. No i ten film.

- Nic nie rozumiem. Dlaczego miałbym to robić? - zaczął histerycznie kręcić głową. - Nie rozumiem... nie rozumiem...

- A może coś pan wie, czego pan jeszcze nie mówił? Jakies plotki z teatru? - naciskał Wabicki. - Komu mogłoby zależeć na śmierci Zachwyckiego? Próbujemy panu pomóc.

- Rozumie pan swoją sytuację? Prokuratura postawiła już na panu krzyżyk - młodszy śledczy starał się mówić jak najłagodniejszym tonem. - Tylko my możemy jeszcze coś zrobić, ale musi nam pan pomóc.

- Ale jak? - Boryś prawie już płakał. - Ja nic nie zrobiłem. Ja nic nie rozumiem.

* * *

Ubrany w sprane dżiny, podkoszulek z logo Metalliki i szarą bluzę z kapturem Tomek Kalisiak palił nerwowo.

- To beznadziejne, Heniek. Już po nim.

- Ale też czujesz, że coś tu nie gra? - Wabicki machał swoim notesem.

- Jasne. Facet jest stary, ale nie głupi. Gdyby chciał ukatrupić Zachwyckiego, mógłby wymyślić sto lepszych sposobów, żeby zrobić swoje i się z tego wywinąć.

Doszli do samochodu, ale nie wsiadali, dopóki młodszy śledczy nie skończył palić.

- Jaki kretyn wymyśla takie morderstwo, że jest na świeczniku?

- Jasne. No właśnie... kretyn.

- Ktoś, kto chciałby zostać złapany. A wygląda ci ten dziadzio na takiego?

- Nie.

- Desperat? Świr? - bruczaty śledczy pokręcił głową. - Patrzcie, zakatrupiłem sławnego śpiewaka i się tego nie wstydzę. Patrzcie, jaki jestem super. Jak super to zrobiłem.

- Jasne... - Kalisiak skończył palić.

- To nie ten dziadek - Wabicki wsiadł od strony pasażera.

- Kurwa, Heniek, jestem z tobą. Ale jak nie on, to kto? I jak?

* * *

Szef Wabickiego i Kalisiaka, ponieważ był szefem, nie musiał się hamować. I korzystał z tego. Nie przebierał w słowach.

- Ochujeliście? Co was podkusiło, żeby drażnić dalej tę sprawę?

- Mamy wątpliwości - chrząknął Wabicki.

- Kurwa, wątpliwości? Ja mam wątpliwości, czy wy normalni jesteście! Chcecie odpalić bombę, żeby prokuratura nas zajęła?

- Ale... szefie... ten Boryś nie miał żadnego motywu - Kalisiak wyjął papierosa z ust i schował, bo nie odważył się go żuć przy komendancie.

- Chuj to kogo obchodzi, skoro jest bohaterem filmu o jednym takim, co poprzestawiał wachy i ukatrupił śpiewaka!

- To nie jest kretyn. Dlaczego miały zabić Zachwyckiego, od razu kierując na siebie podejrzenia?

- Bo jest chorym psychicznie starym zębem? A wy jesteście debilami, że to drążyacie? Widzieliście nagranie? Zapoznaliście się z dowodami?

- Ma się rozumieć...

- Co to, kurwa, za odpowiedź?

Komendant wyglądał jak uwięziony na łańcuchu bulterier, który tylko dzięki smyczy nie rzucił się jeszcze na swoich śledczych i nie poprzegryzał im gardła.

- Znacie dowody? - ryknął znowu.

- Taa...

- Jasne...

- To o chuj wam chodzi? Czemu mąćcie?

- Bo...

- Wiedźcie, że Gromicki, pieprzona gwiazda prokuratury, najjaśniejszy nasz, zgnoi nas, jeśli nie przestaniecie mu psuć roboty.

- Kumamy...

- To wypieprzajcie i zajmijcie się czymś pożytecznym.

Jak niepyszni opuścili gabinet szefa. Wyszli przed budynek komendy. Przez chwilę nie odzywali się do siebie. Kalisiak wreszcie mógł tutaj zapalić. I palił tak, jakby to miał być jego ostatni w życiu papieros.

- Jeszcze chwila i zacznę myśleć, że Gromicki jest w to zamieszany - młodszy śledczy wydmuchał z siebie słowa razem z dymem.

- No jest. Wyobraź sobie, że to my mamy rację - mruknął Wabicki, wbijając nerwowo ręce w kieszenie prochowca. - On już został obcałowany przez opinię publiczną, wygłaskany, bo rozwiązał sprawę. A my nagle dowodzimy, że jest tępym karierowiczem, który poszedł na łatwiznę.

- Jasne. Zrobi wszystko, żeby nie było po naszymu.

- Boryś nie miał motywu. Musimy pogrzebać w przeszłości Zachwyckiego. Tak, jak byśmy to robili, gdybyśmy nie zamknęli sprawy.

- No dobra. I jak chcesz to zrobić?

- Normalnie, po psiemu. Nie ma skrótów. Krok po kroku.

Kalisiak zapalił kolejną fajkę.

- Sie wie. Tak tylko pytałem, czy może od ostatniej naszej sprawy wymyślono coś lepszego.

- Nie. Żmud i trud. Ty bierzesz internet. Bo jesteś lepszy w tym. A ja tradycyjnie będę wypytywał ludzi. I jesteśmy na łączach.

- Jasne.

* * *

Wszedł wejściem dla pracowników Opery Narodowej.

- Dzień dobry. Komisarz Henryk Wabicki.

Wylegitymował się starszej pani w portierni.

- A to nie złapaliście mordercy? - zdziwiła się słabym głosem.

- A pani co myśli?

- Ja tylko w portierni pracuję - przybrała zachowawczy ton. - Panie, ja się nie znam.

- Prywatnie pytam - uśmiechnął się, na wszelki wypadek chowając do kieszeni prochowca notes. - Bez protokołu. Sprawa zamknięta, ale coś mi nie daje spokoju.

- Ba. Ja tam nie wiem - użaliła się portierka. - Ale pan Mirek muchy by nie skrzywdził.

- No widzi pani. Tego mi potrzeba. Jeżeli odkryję coś nowego, to zawsze można niewinnego człowieka wypuścić.

Starsza pani się zamyśliła.

- To się wszystko tak szybko wydarzyło. Śmierć pana Zachwyckiego, a trzy dni później już zamknęli Borysia. Nikt nawet nie chciał ze mną rozmawiać.

- Ja chcę. Pani tu jest zawsze. Na pewno dużo pani widzi i słyszy.

- A widzę i słyszę. I też coś mi tu nie gra - zmrużyła chytrze oczy. - Ktoś inny za tym stoi. Pan Mirek za poczciwy jest.

- Miał jakichś wrogów? Ten śpiewak, Karol Zachwycki?

- Nooo, aniołem nie był. Niby wybitny artysta. Za granicą częściej niż w Polsce. Ale pijany prawie ciągle. Cham dla ludzi. Nikogo nie szanował. Tylko reżysera. Może kilku śpiewaków. A tak gwiazda, panie. Skakać koło niego trzeba było. Jak panisko jakieś za pańszczyzny się zachowywał.

- Klócił się z kimś?

- Bali się go wszyscy prawie. Gdyby nie to, że gwiazda, to by dawno po gębie dostał.

- Ktoś szczególnie chciał mu dać w mordę?

- Pan garderobiane przepyta. One najbliżej były. Ja to tylko plotki słyszę i jak mnie ludzie mijają to parę słów z nimi zamienię. Ale kilku montażyстів chciało mu zrobić numer, żeby pokory trochę nabrał.

- Numer?

- Ja nie wiem. Ale słyszałam coś. Do orkiestry się przyczepiał, że fałszują. Nie smakowało mu jedzenie w bufecie i trzeba było specjalne dania z restauracji przywozić. Mówię, co słyszałam.

Wzrok brzuchatego śledczego zatrzymał się na stercie ulotek leżących na blacie pod okienkiem portierni.

- A to co? - zainteresował się wiedziony przecuciem.

- Zostawiają tutaj różne ulotki - portierka wzruszyła ramionami. - Ludzie szukają sposobów, żeby rzucić palenie.

Wabicki pokiwał automatycznie głową. Zamyślił się, czytając informacje na ulotce. Czyżby to było coś, co mogło tłumaczyć zachowanie Mirosława Borysia? Ale zgañił się w myślach, że oznaczałoby to czystsze szaleñstwo.

Wtedy przypomniał sobie cytat z Sherlocka Holmesa, którego przygody lubił czytaç w dzieciñstwie:

„Kiedy wyeliminujemy juź wszystko, co niemożliwe, cokolwiek by zostało, jakkolwiek byłoby nieprawdopodobne, musi być prawdą”.

- A Borys palił? - zapytał portierkę, machając ulotką?

- Jak smok. To akurat pamiętam bardzo dobrze - uśmiechnęła się zadowolona. - Też wziął tę ulotkę i mu pomogło.

Wabicki odszedł, potakując głową swoim myślom.

* * *

- No nie był łatwy. Ale to nie pierwszy taki - garderobiana uśmiechnęła się kwaśno. - Nie wszyscy sławni są gnojnikami, ale to też nic nowego.

Wabicki zanotował coś w swoim notesie.

- Bardzo dawał się ludziom we znaki?

- Wie pan, to jest tak, że na równi traktował tylko kolegów ze sceny, reżysera, dyrygenta, scenografa i to chyba tyle. Reszta? To były parobki, które miały służyć na pstryknięcie palcem.

- Nie wszystkim się to podobało?

- A komu się to podoba? Ludzie mają świadomość, że są nieudacznikami. Nie trzeba im tego jeszcze przypominać i wytykać. Po co?

- A nie zauważyła pani czegoś podejrzanego przed tragedią? Coś może zwróciło pani uwagę?

Garderobiana się zastanowiła.

- No pił więcej.

- Tak?

- Profesjonalista był - pokiwała z uznaniem głową. - Nic na scenie nie było widać, że pijany. Naprawdę mistrz. Ale poza sceną...

- Tak. Słyszałem, że burak.

Przez chwilę panowała cisza.

- Dostawał jakieś esemesy i telefony miał, po których aż cały chodził. I jeszcze bardziej pił. Gadał do siebie. Rzucił się, jakby duchy go otaczały - odpowiedziała w końcu.

- Coś pani słyszała?

- Przepraszał jakoś. Urwane słowa. Bełkotał coś, że nie chciał.

Popatrzyła na niego, jakby to ona go przepytowała i czekała, aż za nią dokończy.

- To wszystko? - zapytał po chwili Wabicki.

- Ja nie podsłuchuję! - oburzyła się. - Panie władzo, nic więcej nie wiem. Tyle to po prostu nie dało się nie usłyszeć.

- Oczywiście, oczywiście.

* * *

Po kilku godzinach rozmów z pracownikami Opery Narodowej Wabicki zadzwonił do Kalisiaka.

– Masz coś?

– Jasne – mruknął młodszy śledczy. – Same laurki. Wybitny śpiewak. Już od studiów w warszawskiej akademii muzycznej. Bardzo szybko wyjechał po studiach do Niemiec i tam się zadomowił na kilkanaście lat, a później to już się potoczyło. Występy we Francji, Włoszech, w Nowym Jorku. Cały świat u stóp.

– No widzisz. A klasa robotnicza z opery twierdzi, że cham, prostak i pijak.

– Są motywy?

– Muszę pogadać jeszcze z technicznymi od sceny.

– Boryś był technicznym od sceny.

– W hierarchii tutaj on był specjalistą. Obsługiwał elektroniczne urządzenia. Prawie arystokracja. Ci gorsi techniczni od pchania i przenoszenia mieli na pieńku z gwiazdorem.

– OK. Internetowe dane sięgają jakoś do końca lat dziewięćdziesiątych. Wtedy to już pan Karol był och i ach i cacy i nasz narodowy skarb operowy. Ale studiował na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. To też powinniśmy sprawdzić.

– Działaj. Ty jesteś techniczny, ja rozmawiam z ludźmi. Zachwycki dostawał jakieś dziwne esemesy podobno.

– Jasne. Zapomnij.

– I dzwonił ktoś do niego przed zabójstwem. Podobno bardzo się wściekał po tych telefonach.

– Może teściowa? – zażartował Kalisiak.

– Trzeba to sprawdzić – poważnie odpowiedział starszy śledczy.

– Jak? – prychnął młodszy śledczy. Wabicki usłyszał, że kolega zapala nerwowo papierosa. – Mało ci zjebki u szefa? Pomagam ci hobbystycznie. Ale nie narażę kariery dla jakiegoś wątpliwego tropu. Heniek! – zakrztusił się dymem. – Nie dostaniemy nakazu. Na wszystkich dowodach trzyma łapę prokuratura. A Gromicki może nas załatwić, jak się dowie. Ty zaraz idziesz na emeryturę. Ja mam jeszcze trochę lat do odbębnienia.

– Skończyłeś?

– Pewnie – westchnął z rezygnacją młodszy śledczy.

– To wykombinuj coś.

* * *

Brzuchaty policjant znowu był na ogromnej scenie. Przygotowano już dekoracje do nowego przedstawienia.

– Kto z was chciał zrobić krzywdę Zachwyckiemu? – zapytał bezceremonialnie z rękami w kieszeniach prochowca.

To była grupka pięciu mężczyzn ubranych na czarno. Przepychali wózek z dekoracją. Zatrzymali się jak wryci. Wbili w śledczego podejrzliwe spojrzenia.

– Co?

- Podobno szykowaliście numer dla gwiazdy? Bo załatwił wam za skórę?
- To nieprawda – odburknął jeden, trochę zbyt panicznie.
- Nic nie zrobiliśmy – poparł go drugi.

Zaległa cisza. Pięciu technicznych patrzyło na grubego policjanta, jakby szykowali się do bójk.

- Spokojnie – mruknął Wabicki, podnosząc pojednawczo ręce. – Nie oskarżam nikogo, tylko sprawdzam wszystkie poszlaki. Tak?

- I dlatego wyskakuje pan, że chcieliśmy mu zrobić krzywdę? A gościu nie żyje?
- Przecież macie winnego? – hardo odezwał się chyba najstarszy z nich. – Mirek to zrobił.
- Na pewno?
- Na pewno nie my.

To powiedział mężczyzna stojący najbliżej śledczego, ale wszyscy popatrzyli na niego tym samym wzrokiem.

- Znaliście Borysia?
- No, wiele lat. Równy chłop.

Jak na komendę wzruszyli ramionami.

- I co? On to zrobił?
- A my?
- Jeżeli nie on ani nie wy, to kto? Pytam tylko.

Rozluźnili się już trochę. Poskrobali po głowach.

- Trudno powiedzieć – po chwili odezwał się najstarszy. – Przecież tysiąc siedmiuset ludzi widziało, jak umarł. Tu nie ma cudów.

- Nie ma cudów? – Wabicki przypomniał sobie o ulotce, którą zabrał z portierni. Zamyślił się.

- No nie ma. Panie komisarzu... Spadła na niego dekoracja. A tylko Mirek był przy konsolach, która tym sterowała.

- Jak byśmy mieli to niby zrobić?
- Nie wiem – Wabicki ocknął się z zamyślenia.

Po całym dniu zadawania tych samych pytań też się już gubił. Nie grało mu coś, ale – tak jak mówili ci faceci – fakty były jednoznaczne. Chociaż ta ulotka nie dawała spokoju.

- OK. Myśmy faktycznie chcieli mu numer zrobić, ale taki, żeby rekwizytu nie mógł znaleźć na scenie.

Rozgadali się.

- Albo krzesło podpiłować, żeby se dupę obić. Nic takiego, jak się stało.

Wabicki westchnął ciężko.

* * *

Spotkali się wieczorem w komendzie. Starszy śledczy myślał o swoim przecuciu.

- Patrz – zmusił Kalisiaka, żeby pochylił się nad tabletem.
- Co?

Wabicki sam już kilka razy obejrzał fragment filmu dowodowego, na którym oskarżony Mirosław Boryś odwraca się do konsoli sterującej i przełączając przyciski, doprowadza do śmierci Zachwyckiego.

- Nie wydaje ci się, że reaguje trochę nerwowo?

- No jest coś takiego. Taki drobny przeskok - przyznał Kalisiak po kolejnym powtórzeniu video. - Jak czasami film przeskakuje o jedną klatkę, kiedy się zacina.

- Tylko że to nie wada filmu - sapnął starszy śledczy. - To Boryś się lekko wzdyga. I od razu z łapami do konsolety. I ta dam.

Odsunęli się od tabletu, rozparli na krzesłach. Obaj się zamysłili. Młodszy śledczy żuł niezapalonego papierosa.

- A jak to jest fejk? - zapytał zapatrzony przed siebie, w ścianę. - Ktoś jednak sfalszował nagranie?

Wabicki pokręcił głową przecząco.

- Laboratorium sprawdziło nagranie. Zapomniałeś? - brzuchaty śledczy nerwowo stuknął długopisem w swój notes. - Nikt przy nim nie mieszał.

- Już gonię w piątkę - skrzywił się Kalisiak, zerkając na tablet i po swojemu przesuwając papierosa z prawego do lewego kącika ust. - No ale co z tego wynika? Że Boryś ma ten... jakby dreszcz, zanim uruchamia dekorację?

- Nie wiem - westchnął zmęczony Wabicki. - Jeszcze nie wiem.

- Jasne... Dlaczego mam wrażenie, że nie mówisz mi wszystkiego?

Starszy śledczy położył ręce na wydatnym brzuchu i zmarszczył czoło, co chyba miało nadać jego twarzy niewinny grymas. Zmienił temat.

- Jak leciał ten fragment, kiedy doszło do tragedii?

Kalisiak przeczytał z notatek:

Mag Sonne leuchten!

Aus Erdenklüften,

viel dunkler als die Nacht,

ist Gold gewachsen.

- Po polsku to znaczy: „...Słońce może nawet świecić! Z głębi ziemi, ciemniejszej niż noc, wyrosło złoto”.

- I wysokie C? Ten charakterystyczny przedłużony dźwięk?

- Tak mi powiedzieli. Nie znam się. Trzykreślne C, cokolwiek to znaczy, na słowie „Gold”.

Zamyślony Wabicki pokiwał głową.

- Pamiętasz, żebyśmy mieli kiedyś taką popieprzoną sprawę?

Starszy śledczy nie słyszał tego pytania. Przeczucie nie dawało mu spokoju.

* * *

Henryk Wabicki wbił adres w nawigację. Kazał tam jechać Kalisiakowi. Sam jak zwykle siedział na miejscu pasażera. Był dziwnie tajemniczy. Jakby coś ukrywał.

- Co ty kombinujesz? - dopytywał się młodszy śledczy. - Dokąd jedziemy?

Wabicki podał partnerowi ulotkę, dopiero kiedy byli już w połowie drogi.

- Co to jest?

- Będziesz rzucał palenie – wyszczerzył się brzuchaty śledczy.

- Jasne.

- Skup się na prowadzeniu.

- Jasne.

Na ulotce, którą Wabicki zabrał z portierni Opery Narodowej, było napisane: „MARCIN CHUDZIEWSKI – SKUTECZNE RZUCANIE PALENIA DZIĘKI HIPNOZIE”.

- Ja ci przeczytam – powiedział starszy śledczy. - „W badaniu przeprowadzonym przez »Time Magazine« hipnoza okazała się najbardziej skuteczną metodą na rzucenie palenia. Hipnoza jest piętnaście razy bardziej efektywna niż siła woli. Przystudiowano wyniki ponad sześćuset indywidualnych badań z udziałem ponad siedemdziesięciu dwóch tysięcy osób!! Ponadto raport opublikowany w »American Journal of Clinical Hypnosis« wykazał, że współczynnik powodzenia w przypadku rzucania palenia za pomocą hipnozy to aż 90,6 procenta!!”.

- Jasne – prychnął Kalisiak znad kierownicy, jak zwykle nerwowo żując niezapalonego papierosa. - Co ty kombinujesz, Heniek?

Wabicki nabrał głęboko powietrza i je wypuścił.

- No dobra. Myślę, że Boryś został zahipnotyzowany.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Starszy śledczy poprawił się na siedzeniu, wygładzając prochowiec. Zerknął na kolegę, żeby sprawdzić, czy ten ma go za kompletnego szaleńca.

- Co? – wykrztusił wreszcie z siebie Kalisiak, aż mu prawie papieros wypadł z ust.

- Przypomnij sobie wszystko. To jego dziwne zachowanie, którego nie pamięta. Ktoś się o to postarał, żeby nie pamiętał. I żeby to zrobił.

- Ktoś? – skrzywił się Kalisiak.

- Tę ulotkę zgarnąłem z recepcji Opery Narodowej.

- Ale... po co? Kto to jest?

- Marcin Chudziewski? Nie wiem.

- I uważasz, że zahipnotyzował Mirosława Borysia, żeby ten zabił Karola Zachwyckiego?

- Jeżeli to nie Boryś, a tutaj jesteśmy zgodni...

- Jasne...

- Nie ma innego wytłumaczenia – bronił swojego Wabicki. - Kiedy wyeliminujemy już wszystko, co niemożliwe, cokolwiek by zostało, jakkolwiek byłoby nieprawdopodobne, musi być prawdą.

- Nie cytuj mi tu Sherlocka Holmesa – wkurzył się Kalisiak i mało nie rozgryzł filtra papierosa, który trzymał w ustach. - To jest realne życie. Nie literatura.

- I dokładnie tak to działa w realnym życiu. Nieprawdopodobne, ale możliwe.

Młody śledczy pokręcił głową, jakby chciał przegonić zły sen. Ciągłe nie dowierzał, że choćby rozważy taką możliwość.

- Ale to nie działa. Hipnoza nie działa. To pic.

- Nieprawda.

- Pięć razy rzucałem palenie. Byłem u psychologa. Ssałem tabletki. Łykałem tabletki. Byłem na akupunkturze. To nie działa. Hipnoza nie działa.
- Ale jeszcze nie próbowałeś.
- Nie możesz zahipnotyzować nikogo, żeby zrobił coś wbrew swojej woli. To by oznaczało, że Boryś chciał zamordować Zachwyckiego.
- Nie. On tylko poprzelęczał pstryczki i wajchy. Zmienił dekorację. Tak jak zawsze robił. Nie wiedział, jakie będą konsekwencje.
- To nie działa. Hipnoza nie działa.
- Żuł nerwowo papierosa. Odruchowo sięgnął po zapalniczkę.
- Tylko nie waż się zapalić w aucie – pogroził mu Wabicki.
- Podjechali przed starą kamienicę. Kalisiak popatrzył na szyld.
- Trzecie piętro. Bez windy.
- Dam radę. Ja nie palę.

* * *

Idąc po schodach, jeszcze rozmawiali.

- Ale jaki motyw?
- Nie wiem.
- Jasne. Chcemy niewinnąć Borysia, bo nie miał motywu, ale hipnotyzer, który nie ma motywu, jest OK?
- Coś w tym stylu. Ale mówię ci, to jest to. I znajdę motyw.
- Aaa... no jasne, chyba że tak. W takim razie w porządku.
- Starszy śledczy w odpowiedzi na kpinę kolegi wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i poklepał się po wystającym brzuchu. Zirytował tym kolegę jeszcze bardziej.
- Mówię ci, że hipnoza nie działa!
- Kalisiak wyciągnął papierosa z ust i przed drzwiami hipnotyzera schował go do kieszeni.

* * *

Przywitał ich około pięćdziesięcioletni mężczyzna. Szczupły. Szpakowaciejący na skroniach. Ubrany ze sportową elegancją w koszulę, dżinsowe spodnie i szelki, które były bardziej stylowym gadżetem niż koniecznością. Mówił z charakterystyczną chrypą.

- Marcin Chudziewski – uśmiechnął się dobrodusznie. – Co panów do mnie sprowadza?
- Kalisiak spojrział na kolegę. Nie wiedział, czy mają się przyznać, że są z policji, czy to będzie inaczej rozgrywane? Zanim się jednak odezwał, starszy śledczy wyciągnął rękę do hipnotyzera.
- Henryk Wabicki. Dzień dobry. Kolega chce rzucić palenie.
- Jasne – uśmiechnął się Kalisiak.
- No to dobrze panowie trafili – zachrypniętym głosem odpowiedział hipnotyzer.
- Wiemy.
- Gospodarz poprowadził mężczyzn przez mieszkanie. Bo to było przestronne lokum w kamienicy. Zapewne także tu mieszkał.

- A skąd panowie mieli mój adres? Ktoś mnie polecił?

- Kilku znajomych tu było - zdawkowo odpowiedział starszy śledczy.

Wymienili spojrzenia. Kalisiak zrozumiał, że nie będą się przyznawać, że są z policji.

- A kto?

Minęli przedpokój. Przeszli przez pokój, który był urządzonej jak poczekalnia, chociaż w domowym klimacie. Po prostu mały salonik pozbawiono zbędnych mebli. Postawiono tylko stolik kawowy i dwa krzesła pod ścianą. Stały tak, że oczekujący mogli podziwiać certyfikaty Marcina Chudziewskiego. Było przytulnie i bardzo profesjonalnie.

- Kurczę - Wabicki udawanym gestem poskrobał się po głowie. - U nas pracuje tysiąc osiemset osób. Nie pamiętam konkretnie, ale ludzie mówią, że to działa.

- A... panowie z opery? - wychrypiął hipnotyzer.

- Tak. Pracujemy na modelatorni. Scenografie robimy.

- Rozumiem. Obaj panowie na terapię?

Stali przed drzwiami.

- Nie. Kolega tylko - uśmiechnął się jowialnie brzuchaty śledczy. - Jak mówiłem, ja tylko, żeby mu było raźniej. I chciałem zobaczyć, jak to wygląda.

- Rozumiem. Ale... - hipnotyzer uśmiechnął się profesjonalnie - niestety to nie jest publiczny pokaz hipnozy scenicznej. Muszę mieć bardziej intymny kontakt z pacjentem.

- Jasne - mruknął milcząco przez dłuższy czas Kalisiak.

- To znaczy? - zapytał Wabicki.

- Żeby terapia zadziałała, nic nas nie może rozpraszać - zachrypniętym, ale miłym głosem wytłumaczył gospodarz. - Będzie pan musiał poczekać przed gabinetem.

- No trudno.

W gruncie rzeczy Wabicki na to liczył. Sam by się wyprosił z tej hipnozy, gdyby gospodarz nie zaproponował.

- A ile to potrwa?

- Około piętnastu, dwudziestu minut.

- Jest co poczytać - starszy śledczy wskazał na magazyny rozrzucone na blacie stolika. Wszystkie dotyczyły opery. - Interesuje się pan?

- Nie tylko operą. Muzyką klasyczną. Ale tak. To moje hobby.

- To wiele tłumaczy - uśmiechnął się Wabicki.

- Różnych mam klientów. Nie tylko z opery.

- Jasne.

- A gdzie jest toaleta? - zapytał jeszcze starszy śledczy.

- Tak jak do wyjścia, tylko w lewo i pierwsze drzwi po prawej.

Hipnotyzer był gotowy zabrać pacjenta do gabinetu i rozpocząć seans.

- Niech się pan postara, bo on już tak kopci, że się wytrzymać nie da.

- Pewnie - Kalisiak wznosił oczy ku górze. Ciągle był naburmuszony, że kolega wpakował go w taką kabałę.

Kiedy Wabicki został sam, od razu odłożył czasopismo, które dla niepoznaki wziął do czytania. Zerknął na zegarek. Hipnotyzer mówił, że piętnaście do dwudziestu minut. Zatem on da sobie dziesięć.

Bo miał zamiar trochę pomyszkować po mieszkaniu Marcina Chudziewskiego. Czuł, że dobrze trafili. Są na właściwym tropie. To wydawało się popieprzone, ale miało też jakiś sens.

Mieszkanie wydawało się puste, jednak gdyby się na kogoś natknął, to wymówiłby się szukaniem toalety.

W korytarzu oprócz wejścia do toalety było troje drzwi, a kończył się on zakrętem w stronę kuchni. Starszy śledczy cofnął się i zaczął działać systematycznie. Wszedł do pokoju sąsiadującego w łazienką. Sypialnia. Tak jak wszystko tutaj urządzona w starym stylu. Miało się wrażenie, że wystrój wnętrza zrobiono w tym samym czasie, kiedy wybudowano kamienicę. Co oczywiście było iluzją, bo meble i wykończenia pochodziły z dwudziestego pierwszego wieku. Ale wszystko miło harmonizowało ze starymi murami.

Ciężkie, duże łóżko. Komoda. Stary gramofon na stoliku. Śledczy omiół wzrokiem przestrzeń. Kilka fotografii na komodzie. Rozpoznał młodsze wersje Chudziewskiego w otoczeniu różnych osób. Pewnie rodzina. Na wszelki wypadek wyciągnął komórkę i zrobił dokumentację fotografii w ramkach. Spojrzał na zegarek. Minęły dwie minuty. Zerknął jeszcze na płytę na talerzu zabytkowego gramofonu. Maria Callas. Nie znał się na operze, ale tyle, że to była śpiewaczka, to obito mu się o uszy.

Wrócił na korytarz i nacisnął klamkę drzwi naprzeciwko. Wszedł do gabinetu. I tu odnosiło się wrażenie, że to wnętrze muzealne, zaprojektowane w zabytkowym stylu. Dwie biblioteczki, biurko z ciemnego drewna. Fotel. Gruby dywan.

Śledczy zaczął od biurka. Przeglądał papiery. Ale to były jakieś faktury i rachunki. Zerknął na zegarek. Mniej niż siedem minut. Jeżeli chciał jeszcze zobaczyć, co jest za drzwiami trzeciego pokoju, musiał się streszczać. Powysuwał szuflady w biurku. Poprzeglądał pobieżnie papiery. Pstryknął, ile się dało, zdjęć komórką. Do przejrzenia później. Gdyby coś przegapił, to mając więcej czasu, może trafi na jakąś ciekawostkę.

Sprawdził godzinę. Mniej niż pięć minut. Nacisnął klamkę ostatniego pomieszczenia. Zamknięte. Oho... szkoda, że nie zaczął stąd. Przeszedł go dreszczyk i poczuł gęsią skórę. Zbliżał się do czegoś. Czuł to.

Z wewnętrznej kieszeni prochowca wyciągnął zestaw wytrychów. To był stary zamek w drzwiach do pokoju. Nic trudnego. Manipulując dwiema przypominającymi druty pałeczkami zagiętymi na końcu, otworzył drzwi w niecałe pół minuty. Schował narzędzia. Znowu nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Takie znaleziska to był Święty Graal dla śledczego! Właściwie teraz niewiele więcej było potrzeba, żeby zakończyć sprawę!

Przez kilka sekund Wabicki nie mógł oddychać. Po prostu stał oniemiały. Wreszcie wypuścił wstrzymywane w płucach powietrze. Rozluźnił się i zaczął przyglądać się ścianom i rzeczom rozrzuconym na stoliku w tym małym pokoiku.

Po pierwsze, zdjęcia i artykuły o Karolu Zachwyckim. Było tego tak dużo, że obsesja była oczywistością. Wabicki się przyjrzał. Wycinki i wydruki pochodziły z różnych okresów, ale sięgały nawet trzydziestu lat wstecz. Przyczepiono je do ściany taśmą klejącą. Ale był jeszcze

jeden mężczyzna, którego wizerunek widniał na ścianie tego małego pomieszczenia, oraz jakaś kobieta. Śledczy nie wiedział, kim oni są lub byli.

Zerknął na zegarek. Pozostały mu dwie minuty. Nie miał czasu czytać ani przyglądać się temu, co znalazł. Skupił się na skopiowaniu wszystkiego. Najpierw widok ogólny. Ściana pokryta kilkudziesięcioma kartkami i karteczkami. Później fotografował detale.

Skończył w ostatniej chwili. Wyszedł na korytarz. Wrócił do poczekalni, usiadł przy otwartym czasopiśmie, sięgnął po nie i udawał, że przez cały czas tu był. Ale w środku odmłodził o trzydzieści lat i schudł trzydzieści kilogramów. To właśnie dla takich uniesień chciało się być gliną.

* * *

– Pacjent będzie żył? – zażartował Wabicki, kiedy wreszcie drzwi się otworzyły i wyszli z nich Kalisiak z gospodarzem, Marcinem Chudziewskim.

– Aż do śmierci – odpowiedział zachrypniętym głosem hipnotyzer, uśmiechając się.

Młodszy śledczy spojrzał na brzuchatego kolegę i teatralnie wywrócił oczami, co można było zrozumieć jako: „Kurwa, co to był za pomysł!? I kto to wymyśli!?”

– Wypala prawie dwie paczki dziennie, więc to może być niedługo – zażartował Wabicki.

– Jeżeli będzie konieczna kolejna wizyta, to jest gratis.

– To mnie przekonuje – pokiwał z uznaniem głową starszy policjant. – Musi pan być pewny swojego fachu.

Hipnotyzer uśmiechnął się.

– Tafili tu panowie z polecenia, prawda?

– Jasne.

– No tak – cmoknął starszy śledczy z uznaniem. – Renoma u naszych kolegów pana wyprzedza.

Przeszli przez poczekalnię, przedpokój i byli już przy wyjściu na klatkę schodową. Na odchodnym, zanim Marcin Chudziewski zamknął za nimi drzwi, Wabicki zapytał: – Czy da się zahipnotyzować kogoś, żeby zrobił coś złego?

– To znaczy?

– Skrzywdził kogoś?

Hipnotyzer pokręcił głową.

– Nie da się zahipnotyzować kogoś, żeby zrobił coś wbrew swojej woli.

– Aha.

– Lubi pan operę, co?

– Tak. Może lepszym słowem byłoby powiedzieć, że to moja obsesja.

– Dlaczego pan nie spróbował?

– Z takim głosem? – dotknął gardła i jego charakterystyczny zachrypnięty tembr stał się jeszcze wyraźniejszy.

– Wie pan, Tom Waits... Sting...

– Nie znam. Ale jeśli chodzi panu o głos, to w operze nie miałbym szans.

Zamykające się drzwi ucięły jego uśmiech, który wyglądał jak uśmiech kota z *Alicji z Krainy Czarów*.

* * *

– To nie działa – warknął wkurzony Kalisiak, sięgając po papierosa i z olbrzymią satysfakcją go zapalając.

– Jak było?

– Srak.

– Niczego nie zauważyłeś?

– Gadał do mnie tym swoim zachrypniętym głosem. Wypytywał, jak długo palę. Jeździł mi przed oczami papierosem. Odliczał coś. Pytał, czy jestem pewny, że chcę rzucić – zaciągnął się z taką siłą, że spalił od razu jedną trzecią papierosa. – Wisisz mi pięć stów.

– Ile?

– Tyle. Nie sądzę, żeby budżet policyjny mi to zwrócił.

Kalisiak wyciągnął od razu kolejnego papierosa i zapalił.

– Ale w aucie nie będziesz jarał.

– Jasne – zachnął się młodszy śledczy. – Co ci się udało ustalić?

Zatrzymali się przy samochodzie, ale nie wsiadali do niego.

– To on – uśmiechnął się z satysfakcją Wabicki.

– Znalazłeś dowody? – młodszy policjant ze złością wydmuchał dym. – Nawet jeśli zahipnotyzował Borysia, to to nie działa, mówię ci.

– Włamałem się do jednego z pokojów i ma tam całą gazetkę ścienną na temat Zachwyckiego. Jakby to był ołtarzyk. Zobacz.

Wabicki podał komórkę koledze. Wyświetlił galerię zdjęć.

– Poczekaj, poczekaj... – Kalisiak przyglądał się fotografiom. – To jest młody Chudziwski. Zobacz.

– Faktycznie. Nie miałem czasu dokładnie się przyjrzeć.

Patrzyli na sfotografowane wycinki gazet sprzed trzydziestu lat.

– Niezwykły talent... Nagroda wojewody... Zwycięzca krajowego konkursu operowego...

– Chudziwski? Dlaczego nic o nim nie słyszeliśmy, skoro był taki rewelacyjny za młodu?

Kalisiak dalej przeglądał zbliżenia zdjęć.

– Studiowali razem z Zachwyckim.

– Koledzy z roku.

– Jasne... Aresztujemy go?

– Jeszcze nie – pokręcił głową starszy śledczy. – Jedziemy na komendę. Musimy poskładać wszystko w sensowny raport i pogadać z szefem. Nakaz. I te rzeczy. Pamiętaj, że jaśnie pan prokurator, pies mu mordę lizał, będzie robił wszystko, żeby nie odszczekać swoich decyzji.

– Pewnie...

Kalisiak dopalił papierosa, chciał go rzucić na chodnik, ale Wabicki tak na niego spojrział, że grzecznie pomaszerował do najbliższego kosza i tam wyrzucił peta.

Wsiedli i ruszyli w stronę mostu na starówkę.

- Ale to nie działa.

- Co?

- Hipnoza. To najstabszy element układanki. Jeżeli nie da się pod hipnozą rzucić palenia, czego ja jestem najlepszym dowodem, to sąd nie uzna, że Boryś został zahipnotyzowany.

Młodszy śledczy westchnął ciężko. Zadzwoił jego telefon. Charakterystyczna melodyjka. Highway to Hell – AC/DC. Kalisiak wzdrygnął się, jakby jego własny dzwonek go przestraszył. Nawet nie podniósł komórki do ucha, tylko odebrał połączenie i podał ją Wabickiemu. Chwylił mocniej kierownicę i zapatrzył się na drogę przed sobą.

- Halo? – niepewnie powiedział gruby śledczy.

- Poznał pan moją tajemnicę – usłyszał zachrypnięty głos hipnotyzera.

No tak!, zbeszał się w myślach za gapiostwo. Nie zamknął pokoju po włamaniu się do niego. Gospodarz łatwo się domyślił, że ktoś w nim był, skoro drzwi były otwarte.

- Ma pan coś do dodania?

- Trzydzieści lat temu nie było internetu. Dlatego tak dużo papierowych wycinków.

- Niech pan nam pomoże to zrozumieć, zanim zdobędziemy nakaz.

Nie trzeba było już niczego udawać, można było grać w otwarte karty.

- Byłem lepszy niż Zachwycki.

- Tak. Widziałem. Wygrywał pan konkursy. Pisano o panu jako o polskim fenomenie.

- Karol był zawsze tym drugim. W cieniu. I cholernie źle to znosił, bo był bardzo ambitny.

- I co się stało?

- Poszliśmy na imprezę – mówił spokojnym, zachrypniętym głosem. – Wie pan. Szaleństwa młodości. Alkohol. Kobiety. Trafiliśmy na kilku miejscowych, którym się nie podobało, że ich dziewczyny się nami interesowały.

- Skąd my to znamy.

- Właśnie. Była bójka. Jeden z tych koleś uderzył mnie w gardło i zmiażdżył krtań.

Wabickiego aż zabolalo, jak to sobie wyobraził.

- To bardzo poważna sprawa. Zmiażdżona krtań to zagrożenie życia. Przez pół roku nie wychodziłem właściwie ze szpitala. Musiałem wziąć dziekanę na studiach. A w końcu zrezygnować. Nie mogłem już śpiewać.

- Przykre – szczerze powiedział Wabicki.

- Prawda? Zwłaszcza kiedy się okazało, że Karol to wszystko zaplanował. Zapłacił koleśiom, żeby nas zaczepili i temu jednemu zakapiorowi, żeby mnie okaleczył.

Wabicki wypuścił głośno powietrze, bo miał na tyle wyobraźni, żeby połączyć wszystkie fakty i zrozumieć motyw hipnotyzera.

- Może więc pan teraz zrozumieć?

- Tak.

- Dziękuję – starszy śledczy miał wrażenie, że mężczyzna po drugiej stronie się uśmiechnął.

- Ten drugi mężczyzna na ścianie...

- To on zmiażdżył mi krtań.

- Nie żyje?

Zamiast odpowiedzieć, hipnotyzer powiedział:

- Kobieta to moja narzeczona, która odeszła do Karola.

- Tak... - w zamyśleniu mruknął Wabicki. - Borysia uruchomiło wysokie C?

- Wszystkiego się pan domyślił. Brawo. Trzykreślne C na słowie „Gold” - złoto.

Przez chwilę obaj milczeli.

- Proszę pozdrowić Karola - wychrypiął nagle hipnotyzer.

- Jakiego?

- Zachwyckiego.

- On nie żyje.

Połączenie się przerwało. Dopiero teraz Henryk Wabicki zdał sobie sprawę z tego, jak szybko jadą. Zerknął na prędkościomierz. Sto sześćdziesiąt, a wciąż się rozpędzali. Zerknął na partnera. Kalisiak zaciskał dłonie na kierownicy i sztywno patrzył przed siebie na drogę.

- Co ty wyprawiasz? Tomek! Zwolnij!

Młodszy śledczy nie zareagował. Uśmiechał się dziwnie.

- To nie działa, Heniek - powiedział.

- Tomek! Kurwa! Jedziesz sto osiemdziesiąt przez most!

- Hipnoza nie działa - uśmiech Kalisiaka zaczął wyglądać upiornie.

Nagle, kiedy byli na środku mostu, gwałtownie skręcił w prawo. Rozpędzone auto uderzyło w barierkę. Strefa zgniotu przy tej prędkości dosięgnęła pasażerów, a samochód przerwał balustradę i runął do wody.

- Tomek! Zabijesz nas! - wrzeszczał histerycznie Wabicki.

- To nie działa, Heniek... hipnoza nie działa... - z pogodnym uśmiechem odpowiedział mu kolega, kiedy nieuchronnie spadali w ciemność.